

Grass: pisze, Olbrychski: gra, Marianne: Faithfull

PRZE

Numer 11/2960 17 marca 2002 r.

KRÓJ

Cena 3 zł 50 gr (w tym 7% VAT)

**POD NOSEM FIDEŁA
w Guantanamo
terroryści przestali
pluć na Amerykanów**

**CIECHOWSKI
był miłą, młodą
dziewczyną**

**W TYM TYGODNIU
FILUTEK BEZ FAFIKA,
ALE Z KOCIAKIEM!**

PENELOPA PACHNĄCA WANILIA

**Wprawdzie Tom Cruise
jest głównym bohaterem
filmu „Vanilla Sky”,
ale w tym tygodniu
bardziej podobają się nam kobiety**

ISSN 0033-2488

11



9 770033 248021

Indeks 371424 • Y-9013-C

Zadzwoń i podziel się radością



wybrane numery
międzymiastowe

Ktoś nowy pojawił się w Twoim życiu? Uważasz, że jest jedyny w swoim rodzaju, słodki, uroczy – i nie możesz przestać o nim mówić? Zadzwoń i podziel się radością, jest taniej niż myślisz – jedna minuta rozmowy międzymiastowej z trzema najbliższymi osobami już od 16 groszy.

od **16** gr
za **1** minutę

TP
TELEKOMUNIKACJA
POLSKA S.A.

O „NIECHU”

Jestem troszkę zawiedziony, że pan prof. Jerzy Bralczyk w swoim przesympatycznym „Daję słowo” – a chodzi tu o „Niech” („P” 9/2958) – nie zechciał wzbogacić przytoczonych przykładów zastosowania tego słowa znaną Mu zapewne fraszką Szaudyngera:

*Był maj, las i mech.
Powiedziała: niech.*

Z przedwiosennymi pozdrowieniami
JAN PAULEWICZ, Lublin

NA PRZEKÓR RZECZYWISTOŚCI

Chciałem bardzo podziękować za piękną serię zdjęć, którą przygotowaliście Państwo na tak zwane walentynki. Numer ten (7/2956) wpadł mi w ręce dopiero teraz. I nawet się cieszę z tego opóźnienia, bo kto wie, czy nie odrzuciłbym go wcześniej z powodu tej niechlubnej okazji, jeśli można tak pleonastycznie napisać.

Najpierw o zdjęciach – wspaniale! Tak trzymać – niebanalne, ale wzruszające. Roniące łzę, ale nie kiczowate. Fotos z umierającym mężczyzną i siedzącą u jego boku żoną to jeden z najpiękniejszych o b r a z ó w, jakie widziałem w życiu. Ciekaw jestem, kto jest jego autorem i czy nie można by zobaczyć innych jego dzieł.

I druga sprawa to ta wspomniana okazja – czy my musimy tak wszystko ściągać z kul-

tury zachodniej? Naprawdę jest dużo przejawów jakości życia w Stanach Zjednoczonych czy w Europie Zachodniej, które moglibyśmy z powodzeniem implantować – na przykład segregację śmieci, działania lokalnych społeczności itp. A my tak wyłącznie to, co z wierzchu – błysk, blichtr, „halolinki” i walentynki. Czekam, kiedy rozpocznie się szaleństwo biegania za indykiem w związku z tradycyjnym polskim Świętem Dziękczynienia.

Na koniec: wspomniany numer nie był mój, a bardzo chciałbym mieć tamte zdjęcia. Czy jest szansa wysłania mi go przez Państwo?

PATRYK WIECZOREK, Gniezno

PS Czy istnieje możliwość sprawdzenia losu sfotografowanej pary? Tak bardzo chciałbym się dowiedzieć, że żyją dalej i są szczęśliwi, tak bardzo chciałbym takie właśnie rzeczy czytać w „P”. Na przekór rzeczywistości.

OD REDAKCJI

Wysyłamy Panu ostatni zachowany w redakcji siódmy numer „P”.

ŁGARSTWO NIECH SIĘ BRONI SAMO!

Szanowni Czytelnicy, drodzy wesołkowie! Miło nam poinformować, że redakcja „P” dołączyła w tym roku do grona współtwórców Ogólnopolskiego Turnieju Łgarzy w Bogatyni. Organizowany już po raz 19. turniej jest otwarty dla wszystkich, którzy nadesłali oryginalny, nigdzie niepublikowany, własny tekst

lub pomysł na rozbawienie publiczności (piosenka, monolog, skecz, pantomima itp.). Prace konkursowe w dowolnej liczbie można też przysyłać na kasetach audio lub video. Prace opatrzone godłem, z dołączoną załakowaną kopertą zawierającą imię i nazwisko, adres z kodem i ewentualnie numer telefonu autora, należy przesłać do 22 marca br. (decyduje data stempla pocztowego) pod adresem:

Polskie Radio Program III SA
ul. Myśliwiecka 3/5/7
00-977 Warszawa

z dopiskiem na kopercie „Turniej Łgarzy”. O to, co trzeba i co można, jeśli chce się wziąć udział, pytamy Artura Andrusa z PR III i z ostatniej strony „P”:

– Niekoniecznie trzeba umieć kłamać albo zmyślać. Dobrze jest umieć rozbawić publiczność, a jeszcze wcześniej członków komisji kwalifikacyjnej tegorocznego Turnieju Łgarzy. Na najlepszego Łgarza czeka w Bogatyni 3,7 tysiąca złotych, i to są pieniądze.

Koncert finałowy odbędzie się 6 kwietnia. Szczegółowych informacji na temat Turnieju udzielają: Biuro Stowarzyszenia Turnieju Łgarzy, ul. Pocztowa 2a, 59-920 Bogatynia, tel./faks (0-prefiks-75) 773 23 79; Sekcja Rozrywki Programu III PR, ul. Myśliwiecka 3/5/7, 00-977 Warszawa, tel. (0-prefiks-22) 645 55 88. W naszym imieniu zapewniamy publikację najlepszych utworów na łamach „P”. Że nie są to czcze obietnice, niech dowiedzie fakt, iż Przemysław Jurek, autor naszego cotygodniowego „Kinoteatryku”, jest jednym z laureatów Turnieju Łgarzy. Naprawdę.

W imieniu redakcji
– Paweł Sito, szef „przekrojowej” rozrywki

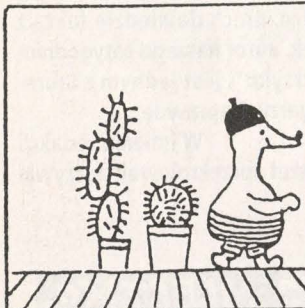
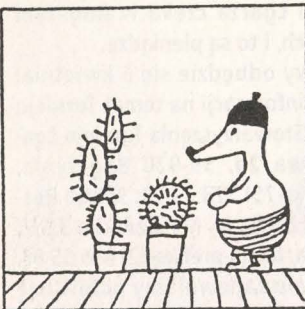
„PAN ZENEK WESOŁY SANITARIUSZ” — ANDRZEJ MLECZKO.



PODOBAJĄ SIĘ NASZE OKŁADKI

Muszę przyznać, że jestem pod rosnącym wrażeniem Waszych okładek! Nareszcie jakaś niesztampowa propozycja dla inteligentnego Czytelnika (za którego śmiem się uważać). Podoba mi się ich ascetyczna estetyka. Jeśli mogę coś zasugerować, to pójście za ciosem: róbcie nadal czarno-białe okładki. „P” znów jest w awangardzie! Trzymam kciuki i cze-

BIBI



kam na kolejne świetne pomysły graficzne – także wewnętrzne pisma.

MONIKA JAZŁOWIECKA,
Wrocław

SMUTNA PANI HOFF

Droga Redakcjo, lubię Wasze pismo, więc czytuję je (i oglądam) bardzo uważnie. I dociec nie mogę, dlaczego pani modelka na fotografii w tekście Barbary Hoff w nr. 9 [2958 – przyp. red. „P”] ma taką smutną minę? Wolałbym oglądać u Was weselsze dziewczęta.

Mimo wszystko pozdrawiam. Ale poprawcie się.

STEFAN WILCZESKI,
Toruń

OD REDAKCJI

✍️ Mina, o której był Pan łaskaw napisać, nie jest smutna, tylko zamyślona.

ECO I CYCERON

Z żalem przyznać muszę, iż „P”, którego czytelniczką jestem od ponad 40 lat, po raz pierwszy sprawił, że opanowało mnie niezadowolenie z powodu stroniczości zamieszczonego w nr. 10/2959 artykułu Umberta Eco.

Prawdą jest, iż rzesze rzekomych bioterapeutów i uzdrowicieli znalazły świetne i niewysychające źródło utrzymania, do którego „dzięki” cierpieniu innych pieniądze spływają niczym rwące górskie potoki. Jednakże tylko człowiek ograniczony mógłby pokusić się o podpisanie się pod słowami, że wszyscy są oszustami. W ślad za tym tokiem rozumowania w naszym kraju, ba, na całym świecie, czyhają na nas w białych kitlach stada morderców żadne naszego zgonu, aby wzbogacić stan swego konta. A to nieprawda, wielu wspaniałych lekarzy służy nam swoją wiedzą i możliwościami, jakie daje współczesna medycyna – nie po to, aby nas dobić, lecz uzdrowić. Tak też się sprawa miewa, jeżeli chodzi

o bioterapeutów, hipnotyzystów i wróżbitów. W każdym z tych i innych niewymienionych zawodów znajdziemy fałszerzy i fuzerów. Łatwo jest natomiast psy wieszać na dziedzinie, której nie da się pomnożyć, podzielić, włożyć pod mikroskop i zbadać. Nie sądzę, aby Umberto Eco nie był człowiekiem światłym. Możliwości są dwie: zamieszczony tekst jest wrywką większej wypowiedzi autora – co uzasadniałoby jego jednostronność; lub też – tu pozwolę sobie przytoczyć cytaty Cicerona:

„... nie znam doprawdy żadnego narodu ani tak dalece wykształconego, ani tak bardzo dzikiego i na tyle nieokrzęsanego, iżby nie przyjmował, że przyszłość można przewidzieć i że niektórzy ludzie są w stanie widzieć ją i wieszczyć”.

(A więc jednak ograniczenie poglądów...)

Sama od ponad ośmiu lat prowadzę Gabinet Wróżb i Terapii Niekonwencjonalnej, zajmując w nim nie tylko pozycję szefa, lecz także wróżki. Czuję się zbulwersowana receptą Pana Eco, jak podejść cierpiącego bliźniego. Do gabinetu przychodzą ludzie z problemami – to fakt. Kiedy ktoś jest szczęśliwy, to porady, jak żyć, są mu niepotrzebne. Lecz nie lada wysiłek umysłowy jest konieczny i iskra boża, jaką posiada wróż z prawdziwego zdarzenia, aby przewidzieć koleje toczących się ludzkich spraw.

Pomagam ludziom przejść przez trudne chwile w życiu, a działając od wielu lat – śmiem twierdzić – z powodzeniem – mam sporo stałych klientów. Tym bardziej więc zasmuciła mnie postawa autora felietonu.

JOLANTA WALKOWSKA

OD REDAKCJI

✍️ Wyjaśniamy Pani wątpliwości: felietony Umberta Eco publikowane są przez nas w całości.

PRZE KRÓJ

Założył w roku 1945 w Krakowie
Redaktor **MARIAN EILE**

REDAKTOR NACZELNY:

Roman Kurkiewicz

ASYSTENTKA REDAKTORA NACZELNEGO:

Maria Świątklik

SEKRETARZE REDAKCJI:

Magda Bauman (szef), Ewa Biała,
Magda Gędziorowska, Lucyna Olszewska

ODDZIAŁ W KRAKOWIE:

Joanna Gromek Ilg, Leszek Mazan, Kazimierz Targosz
Bogdan Krężel (foto)
tel. (0-prefiks-12) 422 59 54 (redakcja),
(0-prefiks-12) 422 70 61 (biuro reklamy)

DZIAŁY:

KULTURA: Marcin Baran (szef), Bogna Świątkowska (z-ca),
Paweł Dunin-Wąsowicz, Tadeusz Nyczek, Marcin Sendeki,
Justyna Sobolewska

WYDARZENIA: Dariusz Rosiak (szef), Filip Tobodziński,
Wojciech Maziarz, Jakub Mielnik, Wawrzyniec Smoczyński,
Anna Tamowska, Michał Wójcik

REPORTAŻ: Monika Piątkowska, Leszek Talko (szefowie),
Marcel Andino

NAUKA: Jan Stradowski (szef), Olga Woźniak

ROZRYWKA: Paweł Sito (szef)

PRACOWNIA GRAFICZNA: Piotr Gidlewski (szef),
Maria Klich, Łukasz Dziedzic, Dwie Dominiki

FOTOEDYCJA: Agnieszka Steinhagen (szef),
Anna Majewska, Ewa Morgunow, Marek Szczepański

KOREKTA: Lucyna Dyczkowska (szef), Tatiana Tercjak

ARCHIWUM: Wanda Lacrampe

PRODUKCJA: Agencja Poligraf – Maciej Kowalski

REDAKTOR TECHNICZNY: Alan Jawor

ADRES REDAKCJI: ul. Wiejska 16, 00-490 Warszawa,
tel. (0-prefiks-22) 627 23 06 do 08, faks (0-prefiks-22) 627 23 05
e-mail: redakcja.przekroj@edipresse.pl

WYDAWCA: Edipresse Polska SA, ul. Wiejska 16,
00-490 Warszawa, tel. (0-prefiks-22) 628 05 29,
faks (0-prefiks-22) 621 19 76

PREZES WYDAWNICTWA: Zbigniew Napierała

DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY: Ewa Redel

DYREKTOR FINANSÓW: Paweł Satkowski

DYREKTOR DS. ROZWOJU I KONTAKTÓW

MIĘDZYNARODOWYCH: Agnieszka Smit

DYREKTOR WYDAWNICZY: Ewa Niezbecka

DYREKTOR MARKETINGU: Izabela Bochenek

DZIAŁ DYSTRYBUCJI: tel. (0-prefiks-22) 628 05 29 w. 233,
Grzegorz Barej – dyrektor

DZIAŁ PROMOCJI: Marcin Fedisz (kierownik),
Agata Obrębska

BIURO REKLAMY:

Agata Eigner – dyrektor, Maciej Stożek, Bartek Kluczny,
Adriana Olczak, Marzena Kiedacz (Kraków)
Warszawa, ul. Wiejska 12, tel./faks (0-prefiks-22) 627 23 09,
626 96 17

DRUK: Winkowski Sp. z o.o., ul. Okrzei 5, 64-920 Piła,
tel. (0-prefiks-67) 210 84 00

PRENUMERATA: u Wydawcy – Izabela Dębska,
Agnieszka Bogdańska tel./faks (0-prefiks-22) 625 08 20,
tel. (0-prefiks-22) 628 05 29 w. 210

przez pocztę – przedpłaty przyjmują urzędy pocztowe
na terenie całego kraju
przez Ruch SA – informacja tel. (0-prefiks-22) 532 87 31,
faks (0-prefiks-22) 532 87 32



Artykułów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian
i skrótów w nadesłanych artykułach i listach.



NUMER 11/2960
17.03.2002

Listy **3**

Ilustrowany „Przekrój” tygodnia **6**

Baza Guantanamo
– o amerykańskiej bazie wojskowej
na Kubie pisze specjalnie
dla „P” **BELKIS CUZA MALÉ**
– poetka, dziennikarka,
malarka, opozycjonistka **12**

Powrót jajogłowych
– felieton **PAULA JOHNSONA** **18**

Bobosi poza rajem
– na wpół burzuje, na wpół artyści
TOMASZ PRANGE-BARCZYŃSKI **20**

List z Izraela
Na sankach po Golanie
ANNA LIBROWSKA **25**

Aktor nie powinien być idiotą
– z **DANIELEM OLBRYCHSKIM**
rozmawia
KAZIMIERZ TARGOSZ **26**

Krótką przerwą
Ludzie! Nie utwardzajcie mnie
– **MRÓWKOJAD** **31**

Nauka **OLGA WOŹNIAK**
Mowa od ręki **32**

MARZENNA NOWAKOWSKA
Koń by się uśmieł **35**

Zakręcona. Banalnym z pozoru
problemem, jakim jest odkręcenie
słoika, zajmuje się poważna nauka
– odkryła **OLGA WOŹNIAK** **36**

Marianne, czyli niedole niecnoty
– o **MARIANNE FAITHFULL**
pisze **FILIP ŁOBODZIŃSKI** **38**

Kulisy reklamowych sztuczek
– jak syn legendarnego
Maksa von Sydowa kręcił
w Polsce reklamówkę proszku
do prania. **TOMASZ LIPKO** **42**

Obywatel metafory
– o **GRZEGORZU CIECHOWSKIM**
pisze **PAWEŁ**
DUNIN-WĄSOWICZ **48**

OKŁADKA – Film
Śnić jak Tom Cruise
LENA KOMSZCZYŃSKA **54**

Monty Python – nie tylko
dla inteligentów. Polemika
DOBROŚŁAWA RODZIEWICZA
z Andrzejem Saramonowiczem **56**

Książki
Opium dla pisarzy!
O książce Thomasa De Quinceya
„Wyznania angielskiego
opiumisty i inne pisma”
pisze **MICHAŁ PAWEŁ**
MARKOWSKI **58**

Okienko z wierszem
JULIA HARTWIG „Widziałam” **59**

Literatura
fragment nowej książki
GÜNTERA GRASSA
„Idąc rakiem” **60**

Kulinarne **PIÓRO** Polski
Zjeść Masę **64**

HOFF Mundurek wiosenny **66**

Inne pytania
MARIA CZUBASZEK rozmawia
z politykiem
MACIEJEM PŁAŻYŃSKIM **67**

W „Mieszance firmowej”
między innymi **CHRISTIAAN**
VAN LIEROP Wujek Andrzej **68**

Krzyżówka, jolka
i **MORDILLO** **72**

Co Pan na to, Panie **LEM?** **74**

Rozmaitości **76**

12 Amerykańska baza wojskowa w Guantanamo



38

Marianne
Faithfull
– przytułki
dla bezdomnych,
narkotyczne
śpiączki, odwyki
wytarły
aksamit z jej
dziewczego
głosu



60

Tylko
w „Przekroju”
fragment
najnowszej
książki
Güntera Grassa
„Idąc rakiem”





W języku Indian Kayapo Bóg to Wódz Nieba. Przedstawiciele tego plemienia znad Amazonki 7 marca przyjechali do stolicy Brazylii na uroczystości zorganizowane przez Kościół katolicki. Działalność misyjna Kościoła została uwieńczona wielkim sukcesem. Wśród Kayapo jest wielu chrześcijan, w ich języku wydano nawet Nowy Testament.

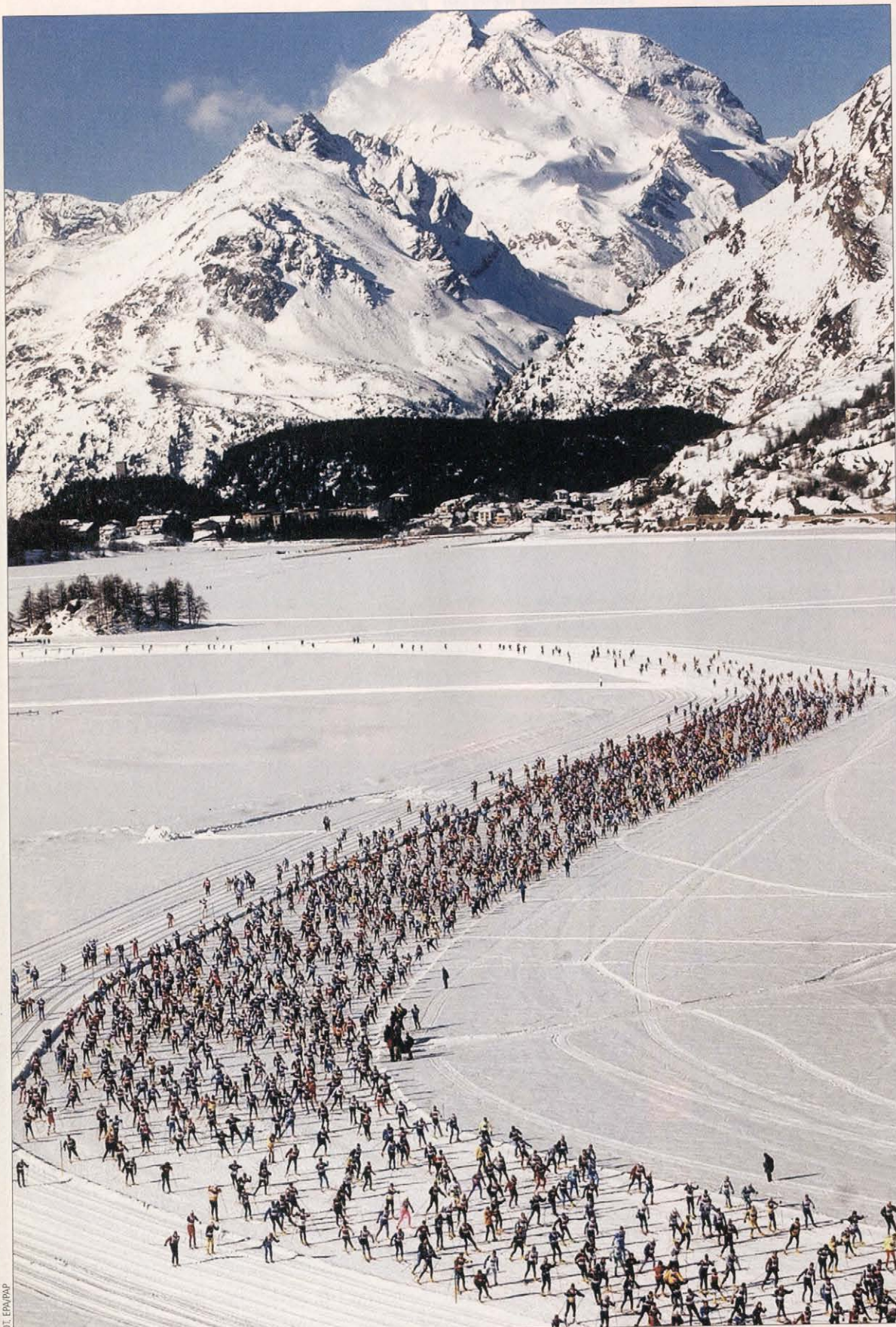
Wszechświat jednak jest beżowy, czyli mniej więcej taki , a nie turkusowy, jak pisaliśmy w siódmym numerze „P”. To nie my się pomyliliśmy, lecz uczeni, którzy dodali komputerowo kolory 200 tysięcy galaktyk. Wyszedł im kolor zbliżony do jasnego turkus, ale okazało się, że w programie sumującym barwy był błąd. Po jego usunięciu kosmos zrobił się beżowy z domieszką różu. O, mniej więcej taki .



Laur Konrada, główną nagrodę V Ogólnopolskiego Festiwalu Sztuki Reżyserskiej „Interpretacje” w Katowicach (1–7 marca), przyznano – głosami Adama Hanuszkiewicza, Gustawa Holoubka i Franciszka Starowieyskiego – Wojciechowi Smarzowskiemu za widowisko „Kuracja”. Po raz pierwszy w historii „Interpretacji” uhonorowano reżysera przedstawienia Teatru Telewizji. Nagrodę wręczył dyrektor Festiwalu Kazimierz Kutz. Najbardziej znanym dziełem Smarzowskiego był dotąd film „Małżowina” z Marcinem Świetlickim w roli głównej.



Na czworakach biegła podczas rozprawy przed sądem w Los Angeles adwokat Nedra Ruiz. Pani mecenas próbowała odtworzyć scenę, w której pies jej klientów zagryzł sąsiadkę.



Zamarznięte jezioro St. Moritz.
Ponad 11 tysięcy zawodników
uczestniczyło w niedzielę
10 marca w maratonie narciarskim
w Szwajcarii.

MYŚL TYGODNIA



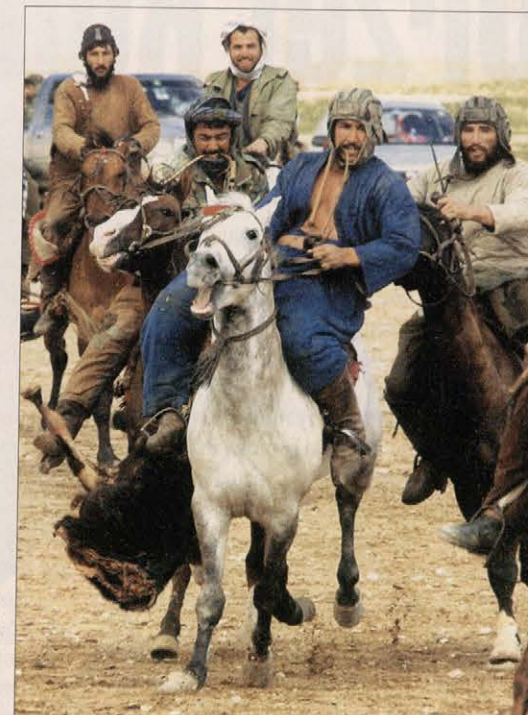
**W Szwajcarii
jest demokracja.
Jak ktoś
nie chce mieć
w domu
telewizora,
to nie musi.**

*Simon Ammann,
podwójny złoty
medalista
w skokach narciarskich
na olimpiadzie
w Salt Lake City*

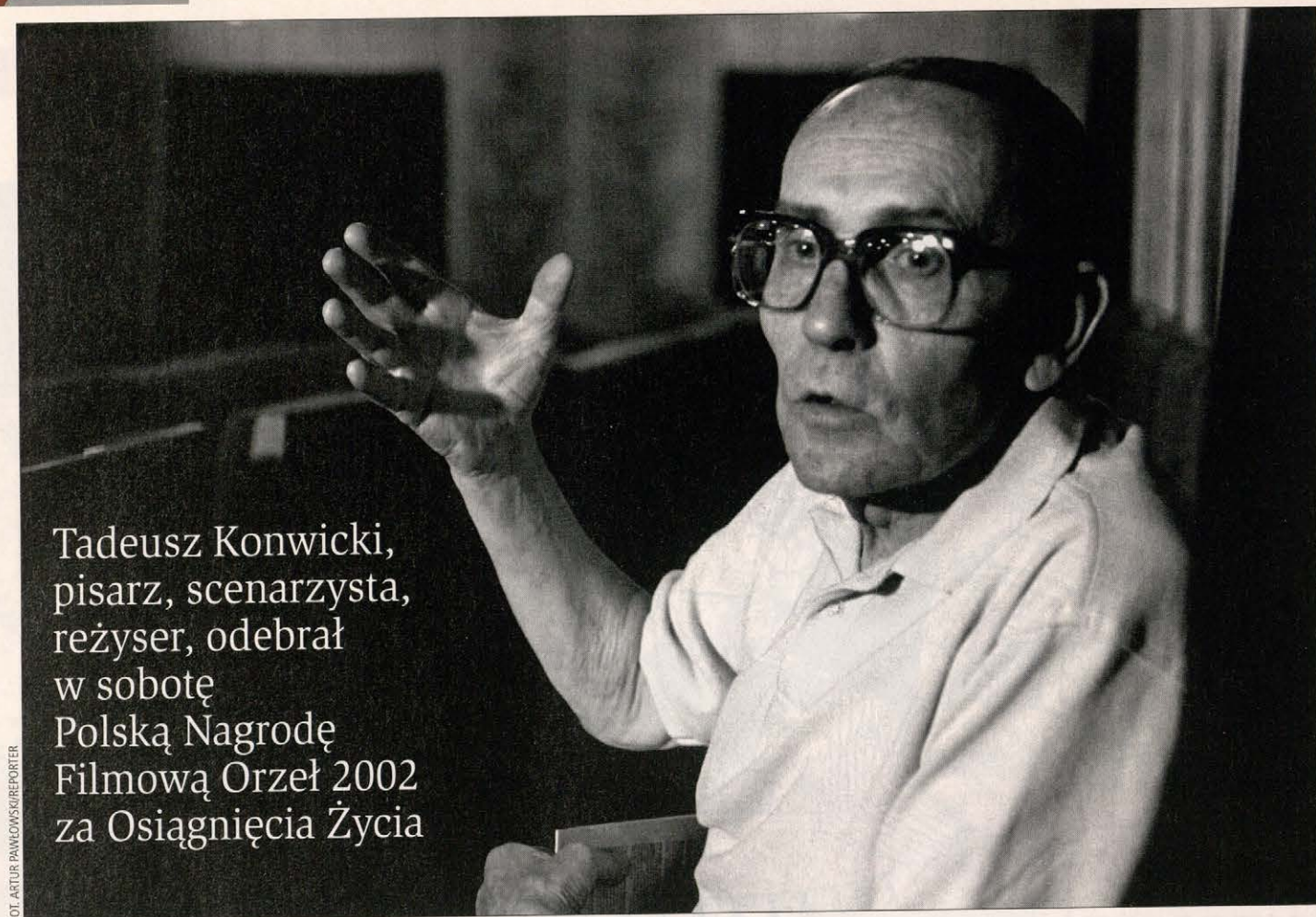
czeczot **PRZE KROJ**



Poligon w Drawsku Pomorskim. Prezydent Aleksander Kwaśniewski przybył tu na ćwiczenia NATO Strong Resolve 2002 – czyli Mocne Postanowienie 2002. Prezydent powziął mocne postanowienie, że pojedzie takim oto pojazdem. Dosiadł go i z uśmiechem pomknął przed siebie.



Tradycyjny afgański sport buzkashi przypomina polo, tyle że zamiast piłką gra się tuszą 70-kilogramowej kozy. 8 marca w Mazar-i-Szarif wygrała drużyna w hełmofonach.



Tadeusz Konwicki,
pisarz, scenarzysta,
reżyser, odebrał
w sobotę
Polską Nagrodę
Filmową Orzeł 2002
za Osiągnięcia Życia

FOT. ARTUR PAŃKOWSKI/REPORTER

Orzeł Konwicki

MAGDA SENDECKA: Serdecznie gratulujemy. Jak Pan przyjął tę nagrodę?

TADEUSZ KONWICKI: Bardzo mnie ona cieszy, zwłaszcza że to dowód uznania środowiska filmowego, które zresztą zawsze traktowało mnie życzliwie, mimo że byłem w kinematografii trochę intruzem. Teraz czuję się wreszcie pasowany na filmowca.

Czym jest dla Pana filmowy rozdział twórczości?

– Działalność filmowa stanowi drugą część mojej osobowości. Z natury jestem wzrokowcem i coś związanego z wizualnością zawsze mi groziło. Film jest rodzajem uzupełnienia moich książek. Niektóre filmy są wręcz polemiką z książkami, prowadzą z nimi dialog.

Czy ma Pan jeszcze ochotę robić filmy?

– Tak jak w sporcie pływanie jest konkurencją dla nastolatków, tak w sztuce film jest dziedziną ludzi młodych, dynamicznych, pełnych energii, wiary w siebie i swoje posłannictwo. Nie powinno się go uprawiać w zaawansowanym wieku. Potwierdzają to liczne przykłady

mistrzów światowego kina, którzy na starość robią filmy wzruszające, ale wyzbyte magii, którą miały ich wcześniejsze dzieła.

A gdyby dzisiaj miał Pan 30 lat?

– Kino staje się dzisiaj demokratyczne. Coraz odważniej wkraczają do niego amatorzy, coraz łatwiej zrobić film, nie mając profesjonalnego przygotowania ani wielkich pieniędzy. Telewizje korzystają z materiałów przypadkowych uczestników zdarzeń. Coraz więcej ludzi bierze udział w tym ruchu audiowizualnym.

Ale gdy coraz więcej osób robi filmy, coraz mniej jest zainteresowanych ich oglądaniem...

– Już dawno mówiłem, że rosną szeregi autorów książek, a maleją czytelników. Teraz z podobnym zjawiskiem mamy do czynienia w filmie. Nie wiem, czy to przejściowe, czy staniemy się niedługo jedyną w galaktyce planetą artystów. Wszyscy będą komponować, pisać albo malować. I bardzo dobrze!

Rozmawiała **MAGDA SENDECKA**

Wręcane od czterech lat Orły to polski odpowiednik Oscarów. W tym roku najwięcej nagród zdobył film Roberta Glińskiego „Cześć, Tereska”: za najlepszy film, reżyserię, scenariusz i główną rolę męską Zbigniewa Zamachowskiego. Film otrzymał także przyznaną po raz pierwszy nagrodę publiczności. Za najlepszą główną rolę kobiecą uznano kreację Kingi Preis w „Ciszy” Michała Rosy. Nagrodami specjalnymi uhonorowano Agnieszkę Holland i Sławomira Idziaka. Jednak oczywiście najważniejszy jest Orzeł za Osiągnięcia Życia, którym – po Wojciechu Hasie i Andrzeju Wajdzie – wyróżniono Tadeusza Konwickiego. Statuetkę wręczyła Irena Laskowska, odtwórczyni głównej roli kobiecej w filmie Konwickiego „Ostatni dzień lata”.



FOT. JACEK TURCZYŃSKI

SITA
MÓJ ŚWIAT www.sita.pl

Naucz się języka obcego
– będziemy we wspólnej Europie



Badając system SITA prof. Rainer Dieterich stwierdził: „... osoby poddane testom przyswoiły w ciągu tygodnia średnio 1138 słów i zwrotów. Tyle przeciętnie opanowuje słuchacz rocznego kursu prowadzonego metodami tradycyjnymi”. Przekonało się o tym już wiele renomowanych firm i kilkaset tysięcy nastawionych na sukces Europejczyków.



TAK, chcę szybko nauczyć się języka obcego

ZAMAWIAM: (zaznaczając X)

- ☐ Zestaw SITA Mini **999,-**
☐ Kurs podstawowy języka angielskiego **328,-**
☐ Kurs podstawowy języka niemieckiego **328,-**

Ceny ważne do 31 marca 2002 roku

- ☐ Proszę o bezpłatną informację o systemie SITA

**PRZYJMUJEMY ZAMÓWIENIA TELEFONICZNIE:
0-801 33 55 33**

imię, nazwisko _____ PESEL _____
firma _____ NIP _____
ulica _____
kod _____ miasto _____ tel. _____

potwierdzam zamówienie na sumę: _____ zł
Wyrażam zgodę na wystawienie faktury VAT bez mojego podpisu.

data _____ czytelny podpis _____ PRZEKRÓJ 10/02

SITA

01-022 Warszawa, ul. Bellottiego 1
tel. (22) 771 92 22, fax 771 91 46

Ceny zawierają podatek VAT, ważne do 31 marca 2002 r. Płatne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi odbiorca (np. kurs + urządzenie = 32 zł). Urządzenia SITA posiadają 12 miesięczną gwarancję. Dla dobra naszych klientów istnieje możliwość zwrotu urządzenia oraz kursów dostarczonych wysyłkowo w ciągu 14 dni. Urządzenie prosimy zatrzymać tylko w przypadku, gdy jesteście Państwo w zupełności przekonani o jego skuteczności. W przypadku rezygnacji prosimy o odesłanie zakupionego towaru i podanie numeru konta, na które odeślemy pieniądze.

BAZA

BELKIS CUZA MALÉ

Dorastałam za płotem Bazy, w której dziś więzieni są jeńcy z al Kaidy – pisze specjalnie dla „Przekroju” kubańska opozycjonistka i poetka. Dziwny zbieg okoliczności: al Kaida znaczy właśnie „Baza”

Urodziłam się w Guantanamo, gdzie ponoć jest bardzo pięknie. A mnie się tu nie podobało. Nigdy nie darzyłam miasta Guantanamo miłością. Poczucie obcości ogarniało mnie tu od momentu narodzin aż po okres dojrzewania. Miasto i ja byliśmy jak dwoje obcych. Swoje miejsce odnalazłam dopiero w leżącym niespełna dwie godziny drogi na zachód Santiago de Cuba. „Oto prawdziwe miasto” – powtarzałam z tupetem nastolatki, którą Santiago uwiodło uroczą patyną.

Jednak gdy na zaproszenie kuzynki odwiedziłam na powrót Guantanamo pod koniec czerwca 1960 roku, odkryłam niespodziewanie, że mój bunt przeciw czasom dzieciństwa przysłonił wiele pięknych

wspomnień z tego miasta położonego malowniczo nad rzeką Guaso, która dała mu nazwę. Rzeką miejscami tak płytką, że można przejść ją niemal suchą nogą. Nie zapomnę mojej matki, jak siedzi, młodzieńczo i roześmiana, na gładkich kamieniach rzecznych – zdjęcie nie pozwala dostrzec ciąży. Zrobiono je chyba w styczniu 1942 roku, bo parę miesięcy później się urodziłam. Może właśnie owe fale spacerujące po brzuchu mojej matki są winne temu, że po dziś dzień boję się wody.

Ale prawdziwym strachem napały mnie później inne spaceru – te, które tak uwielbiał mój ojciec. Chodziliśmy po żelaznym moście San Justo, jakby zawieszonym w powietrzu. Stapało się po metalowej

Flota Atlantycka USA w zatoce Guantanamo w roku 1927

konstrukcji, spod której wyzierała otchłań paraliżująca wyobraźnię małej dziewczynki. Zdjęta przerażeniem zamykałam oczy i szłam jak ślepiec, ufając tylko instynktowi.

Z kolei morza, które dostojnie obmywa znane mi wówczas tylko z nazwy plaże – Yateritas, Tortuguita i tak dalej – tego morza nie dane mi było poznać w dzieciństwie. Zobaczyłam je dopiero jako dorastające dziewczę, po przeprowadzce do Santiago de Cuba. Tam trudno go nie zauważyć. W Guantanamo zaś trzeba było morza poszukać, wysłedzić je, podjąć regularną wyprawę.

W Guantanamo morze wydawało się nierzeczywiste, równie nierzeczywiste jak żołnierze amerykańskiej piechoty morskiej, którzy w każdy czwartek całymi falami hałaśliwie zalewali ulice miasta. Byli nierealni, ponieważ ich nieskazitelnie białe mundury przywodziły na myśl postacie z jakiegoś hollywoodzkiego filmu w rodzaju „Deszczowej piosenki”. To oni byli MORZEM. Morze oznaczało coś zakazanego, pachniało z cudzoziemską i przemawiało innym językiem. Bawiliśmy się w parku w ten język, znienacka pytając o *time* i znikając natychmiast jak małe czarodziejki.

Marines spadali na miasto w czwartki jak grom z jasnego nieba. Przyjeżdżali na przepustkę i potem leżeli pijani na rogach ulic. Ich przyjazd kładł kres naszej swobodzie – dorośli zabraniali nam wystawać po bramach, a zwłaszcza jeździć na wrotkach czy odwiedzać sąsiadów. A wszystko przez straszliwy chaos i harmider, jaki wprowadzali przybylsze, szczególnie gdy siadali na kozłach bryczek do wynajęcia koło parku i urządzali wyścigi po ulicach miasta przemienionego nagle w prerię z Dzikiego Zachodu.

W owym czasie Baza Marynarki Wojennej zatrudniała właściwie wszystkich mężczyzn w Guantanamo. Nie było rodziny, w której przynajmniej jedna osoba nie pracowała w Bazie. Poza tym w mieście z trudem można było zarobić na życie, możliwości ograniczały się do kilku sklepów, barów i paru fabryczek wytwarzających podły, ale mocny rum.

Mój ojciec nie był wyjątkiem. Pracował w Bazie, od kiedy pamiętam. Wychodził bardzo wcześnie rano na stację, wsiadał w pociąg i wracał dopiero wieczorem. Kubańczy-

kom powierzano tam wszelkiego rodzaju prace, od inżyniera po sprzątacza. Ojciec był mechanikiem zatrudnionym w wielkich warsztatach, ale nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek opowiadał jakieś historie o Bazie. Od krewnych dowiedziałam się później, że podczas II wojny światowej remontował okręty wojenne, by jak najszybciej powróciły na morze. Kilka z nich uszkodziły hitlerowskie łodzie podwodne.

Jego milczenie tłumaczyłam sobie nacjonalizmem: nie mógł pogodzić się z obecnością amerykańskiej Bazy na ojczyźnej ziemi. Jak wielu Kubańczyków zgodził się tam do pracy, bo nie bardzo miał wybór, ale to obce ciało napawało go wstrętem. W przeciwieństwie do wielu krewnych, na przykład do Faustina, męża Paquity, jednej z moich ciotecznych babć, ojciec nigdy nie zabierał nas na imprezy organizowane w Bazie dla pracowników. A ja przyglądałam się, jak ciocia-babcia wraca z tych *parties* z torbami pełnymi prezentów i niespotykanych aromatów, które przywodziły mi na myśl jakieś niedosiężne raje. Winę za to ponosi w pewnym sensie sam ojciec, który jednak, o dziwo, co wieczór przynosił mi w kieszeniach kartki z kolorowych czasopism. Z ilustracji emanowało szczęście pod postacią schludnych i ślicznych widoczków: były tam równo przycięte, dumne świeże zielenią trawniki, domki jak z bajki ustawione w monotonne rzędy na nieskazitelnym przedmieściach, a wszystko sprawiało wrażenie pięknego snu. Od tamtej pory kolekcjonuję pisma poświęcone dekoracji wnętrza i uważam je za najlepszą literaturę publikowaną w Stanach Zjednoczonych.

Baza nas karmiła i zaopatrywała. Co jakiś czas organizowała wyprzedaże, na których ojciec kupił między innymi wywrotkę i furgonetkę. Dostaliśmy stamtąd dwie ogromne szafy metalowe, typowe meble wojskowe. Nie lubiłam ich, bo były brzydkie i nie pasowały do wystroju domu.

Mijały lata, ojciec porzucił Bazę i zaczął najmować się jako mechanik w okolicznych cukrowniach. Cukier. Produkowano go tu od niepamiętnych czasów, był tu dużo wcześniej niż Baza. Amerykański rysownik i podróżnik Samuel Hazard pisał w drugiej połowie XIX stulecia: „15 mil na północ od przystani

OPOZYCJONISTKA W SIECI

Belkis Cuza Malé to wielka postać kubańskiej diaspory w USA. Poetka, dziennikarka hiszpańskojęzycznych gazet z Miami, malarka i działaczka. Świat usłyszał o niej w roku 1971, kiedy razem z mężem, wybitnym poetą Herberto Padillą, trafiła na Kubę do więzienia. Powodem był poemat Padilli „Poza grą”, wprawdzie nagrodzony trzy lata wcześniej na prestiżowym konkursie literackim, lecz uznany przez władze za wywrotowy. Belkis osobiście zaniósła rękopis do siedziby jury konkursu, więc bezpieka oskarżyła ją o „podżeganie męża do działalności antypaństwowej”. Wypuszczona z więzienia wcześniej niż Herberto rozpoczęła akcję na rzecz uwolnienia męża. Jej próśby o wstawiennictwo zignorował Gabriel Garcia Marquez. Poskutkowało dopiero list intelektualistów – między innymi Alberta Moravii, Maria Vargasa Llosy, Octavia Paza i Jean-Paula Sartre’a.

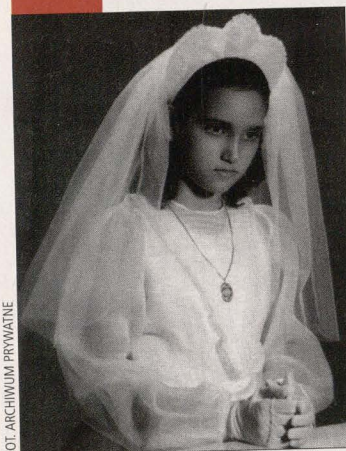
Uwolnienie okazało się jednak pozorne: Padilla i Cuza Malé żyli odtąd w areszcie domowym, poecie nie wolno było ruszać się z Hawany bez zezwolenia ani rozmawiać z dziennikarzami, a jego książki wycofano z bibliotek. Zarabiał na życie tłumaczeniami – anonimowymi, bo zgodnie z wolą Fidela Castro nazwisko Padilli miało zniknąć z ludzkiej pamięci.

Belkis udało się w roku 1979 wyjednać u władz pozwolenie na wyjazd do chorej matki w Miami. Natychmiast po przybyciu do USA rozpoczęła kolejną akcję na rzecz wydobycia męża – tym razem z większego więzienia, jakim jest cała Kuba. Miesiące jej starań zaowocowały interwencją polityków hiszpańskich, amerykańskich, a także Jana Pawła II. Herberto Padilla dołączył do żony w New Jersey w 1980 roku.

W marcu 1982, po przeprowadzce do Teksasu, obydwie założyły pismo „Linden Lane Magazine” poświęcone twórczości literackiej pisarzy latynoskich na emigracji. Gazeta wychodziła nieprzerwanie przez prawie 19 lat, aż do śmierci Padilli, i stała się jedną z najważniejszych instytucji kulturalnych kubańskiej diaspory w Ameryce.

Herberto Padilla rozstał się z żoną na kilka miesięcy przed śmiercią, która nastąpiła we wrześniu 2000 roku. Belkis Cuza Malé nadal mieszka w Fort Worth w Teksasie, publikuje artykuły w „El Nuevo Herald” i innych pismach. Należy do najwybitniejszych poetek latynoskich działających w Stanach.

W zeszłym roku trafiła na pierwsze strony gazet, tym razem o tematyce informatycznej. Ktoś wpuścił w sieć WWW wirusa o nazwie *Belkis Cuza Malé*. Komentatorzy podejrzewają, że zrobili to komuniści kubańscy, którzy chcieli nie tylko zdeorganizować systemy komputerowe znenawidzonego Wuja Sama, lecz także zdyskredytować znaną z bezkompromisowości dysydentkę. Sama poetka oświadczyła wówczas: „Czuję się trochę jak gwiazda filmowa, dodam sarkastycznie, że zrównanie przez komunistów mojej osoby z robakiem poczytuje sobie za zaszczyt. Wiem natomiast, że wojny cybernetycznej Castro nie wygra – ani z Ameryką, ani z własnymi poddanymi”. (FL)



Belkis Cuza Malé
w dniu Pierwszej Komunii

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE



FOT. CORBIS/RETNA

Rok 1922. Marynarze Floty Atlantycznej USA wychodzą z Bazy na ćwiczenia

Guantanamo leży równina, a na niej niewielkie miasteczko Santa Catalina del Guaso, niegdyś nazywana Saltadero (Kaskada), od wodospadu na pobliskim strumieniu. Z tej miejscowości do portu jedzie się zaciętym pociągiem, regularnie wożącym niezmiernie ilości cukru, kawy i melasy. Te produkty magazynowane są w Santa Catalina, skąd statkami płyną na cały świat.

Jednak już wtedy, w spokojnej epoce cukru i kawy, rząd Stanów Zjednoczonych zaczął uważać zatokę Guantanamo za miejsce ważne strategicznie, w którym można zaopatrywać w opał i remontować okręty. Dlatego zaraz po wybuchu wojny amerykańsko-hiszpańskiej w roku 1898 USA wysłały batalion piechoty i zajęły 45 mil kwadratowych, które dziś noszą nazwę Bazy

Marynarki Wojennej w Guantanamo, a niekiedy też bywają nazywane atlantyckim Pearl Harbor. W roku 1903 Stany Zjednoczone formalnie wydzierzały Bazę od Kuby za pięć tysięcy dolarów rocznie.

Dziwna to myśl, że tak wielu ludzi ten rejon przyciągał, światowe potęgi walczyły o niego, a ja czułam się tu tak obco. Dużo bardziej obco niż wielu amerykańskich żołnierzy

i oficerów, którzy wracali tu wielokrotnie, korzystając z tropikalnego klimatu i kubańskiego stylu życia.

Jednak pod koniec lat 50., w miarę jak zbliżała się kubańska rewolucja, sytuacja wokół Bazy zaczęła się zmieniać. Narastało napięcie. Kulminacyjnym momentem stało się porwanie grupy *marines* przez rebeliantów pod wodzą Raula Castro, brata Fidela. Ed Bookhard,



Członkowie al Kaidy w chwilę po przywiezieniu do Bazy. Transportowano ich z zasłoniętymi uszami i oczami. Na ustach mieli maseczki, bo pluli na żołnierzy USA

emerytowany pułkownik armii USA oddelegowany do Bazy w 1958 roku, wspomina to wydarzenie na swojej stronie internetowej:

„O północy 27 czerwca 1958 r. autobus dostawczy wracał jak zawsze z miasteczka Guantanamo do Bazy. Wiózł około 30 marynarzy i *marines*, których trzeźwość pozostawiała wiele do życzenia. Kilka mil od miasta napotkali na środku drogi pojazd z dużą liczbą mężczyzn w poszarpanych ubraniach. Tamci obokoczyli autobus i przy akompaniamencie strzałów w powietrze zmusili kierowcę do zjechania na pobocze. Pasażerom pod bronią kazali zgromadzić się z tyłu autobusu, szoferowi zaś – jechać wąską i niebezpieczną drogą górską. Gdy teren zrobił się zupełnie skalisty, partyzanci porzucili autobus i popędzili jeńców pieszo całonocnym mar-

szem w głąb Sierra Maestra. O świcie porwani żołnierze dotarli do niewielkiego obozu, gdzie dostali trochę owoców i kawy, a następnie zostali zaprowadzeni w kolejne miejsce. Pod wieczór doprowadzono ich do miejsca przeznaczenia, gdzie spędzili resztę niewoli.

Podczas pobytu – ciągnie pułkownik swoją relację – byli nieustannie obserwowani, choć nie torturowano ich ani nie przesłuchiowano. Spali i jedli tak samo jak ich strażnicy. Podstawą jadłospisu była sucha fasola i ryż, czasami wzbogacane kawałkami mięsa przynoszonymi przez okolicznych wieśniaków. Castrycy wznieśli szałas, ale większość porwanych i tak spała pod gołym niebem, na ziemi albo na hamakach sporządzonych z plecaków rozwieszonych między drzewami. Miejscowi nie mówili po angielsku,

marines z trudem dukali po hiszpańsku. Z tego względu trudno im się było porozumieć i nikt z Amerykanów nie znał powodu porwania. Podejrzewali, że porywaczom chodziło o zwrócenie uwagi świata na walkę Fidela. Ale mijały dni i tygodnie, a Amerykanie nie usłyszeli ani słowa na temat Bazy Marynarki Wojennej lub rządu Stanów Zjednoczonych. I nagle, bez widocznego powodu, zostali uwolnieni. Śmigłowiec zabrał ich z umówionego miejsca i wywiózł do Bazy, gdzie zostali przesłuchani i oddelegowani do swoich jednostek. Zapadła cisza.

Nie wiem, czy to na skutek tamtego incydentu, czy w następstwie działalności wyrotowej braci Castro, w każdym razie wszystkie wyjścia i przepustki z Bazy zostały anulowane. Bramy wjazdowe do Bazy zapieczętowano, a teren wokół wzmocnio-

no i ufortyfikowano. Pół roku później Fidel i Raul doszli do władzy”.

1 stycznia 1959 r., w dniu triumfu rewolucji kubańskiej, mój niespełna 16-letni brat Roberto przebywał w Bazy razem z naszym ojcem, zatrudnionym już wówczas w cementowni w Santiago. Ojciec musiał wyremontować należącą do zakładów pogłębiarkę. Wziął mojego brata ze sobą, bo na wyspie, a zwłaszcza we wschodniej jej części, było niespokojnie, obawiał się więc o życie syna. Dotarli do Bazy 16 grudnia 1958 r. na pokładzie sześciotyśięcznika „Belvedere”, który miał dno i silnik do wymiany. Był w tak opłakanym stanie, że krótki zazwyczaj rejs z Santiago de Cuba do Guantanamo trwał tym razem 12 godzin.

Z tamtych dni, kiedy na wyspie gwałtownie zmienił się ustrój, mój brat zapamiętał, że Baza wyglądała

jak typowe miasteczko amerykańskie z lat 50.: kino pod gołym niebem, do którego regularnie chodził (bo było darmowe), pasaż handlowy wyłożony drewnianymi chodnikami, gdzie w sklepikach z werandami sprzedawano wszystko za pół ceny. Nie zapomniał też rozległych ramp, warsztatów i olbrzymiego doku pływającego, w którym remontowano statki i okręty wszelkich rodzajów. Pamięta też, że pewien Kubańczyk zanurzał się w wodach zatoki i wydobywał sprzęt elektryczny i mechaniczny, który Baza wyrzucała do morza. Żył z tego, co udało mu się uratować, wyreperować i sprzedać.

Chcąc oblać początek nowej ery, mój brat napił się pierwszego w życiu piwa – Miller Lite. Tego samego dnia obydwa wrócili do domu, tym razem na pokładzie „Joturo”, statku żeglugi przybrzeżnej, utrzymującego regularne połączenia między Santiago a Guantanamo.

Począwszy od roku 1959, Baza stała się kością niezgody. Nowy rząd kubański zażądał od Stanów Zjednoczonych zwrotu tego obszaru. Fidel Castro „heroicznie” odmówił przyjmowania od Amerykanów opłaty za

dzierżawienie terenu, potrzebował przecież wroga. Dlatego przy okazji podburzał masy wściekle nacjonalistycznymi hasłami, w wyniku czego dochodziło nawet do starć pomiędzy oddziałami pilnującymi linii granicznej po obydwu stronach. Do pierwszego poważnego incydentu doszło w 1964 roku – koło Bazy zginęło dwóch kubańskich pograniczników. Dwa lata później od kul *marines* padł kolejny żołnierz. W „VFW Magazine” (piśmie dla Weteranów Wojen za Granicą) z 1998 roku możemy wyczytać: „13 *marines* zmarło tragicznie podczas inspekcji półminowych otaczających teren Bazy. Pięciu Kubańczyków próbujących uzyskać azyl polityczny – donosi dalej gazeta – oraz pięciu *marines* patrolujących okolice również straciło życie na minach”.

Dowiadaliśmy się o tym sporadycznie – oficjalna prasa kubańska nie mogła być źródłem prawdy. Próżno też dziś szukać w komunistycznych mediach wiadomości, że kilka lat temu usunięto trzy czwarte min założonych po stronie amerykańskiej, a na początku 1999 roku nie było już żadnej. Po drugiej stro-



Kubańska armia stale obserwuje Guantanamo

nie miny pozostały, stwarzając zagrożenie dla każdego Kubańczyka, który próbowałby wybrać wolność, przekradając się przez strefę graniczną. Jak mówi kapitan A.J. Monaco, szef grupy odpowiedzialnej za usuwanie min: „Jestem przekonany, że tamci kompletnie się nie orientują ani ile mają min, ani gdzie”.

Jednym z najtragiczniejszych wydarzeń, do jakich doszło wokół Bazy, była desperacka ucieczka grupy Kubańczyków, wśród których znajdowała się sześciolatnia dziewczynka. Było to w kwietniu 1970 roku. Dwaj organizatorzy ucieczki padli martwi w wyniku strzelaniny, po stronie komunistów też były ofiary.

Od początku rewolucji setki Kubańczyków usiłowały dostać się do Bazy. Ogromna większość zginęła podczas tych prób, czy to z powodu wybuchu miny, czy to w paszczę rekinów, jeśli wybierali drogę morską. Pod koniec lat 70. Jorge Olivo, wybitny poeta i sportowiec,

stawiały do Bazy. Tam zbiegowie spędzili ponad rok w namiotach polowych, zanim zezwolono im na wjazd do USA.

Dziś w historii Guantanamo otworzył się nowy rozdział. Ziemia, która niegdyś wysyłała cukier na cały świat, teraz przyjmuje od niego więźniów. W Bazy pojawili się terroryści al Kaidy – czyli też Bazy. Są trzymeni w pojedynczych celach, znajdują się pod całonocową obserwacją, co niektóre organizacje humanitarne uważają za niehumanitarne traktowanie. Wywierają więc naciski na rząd w Waszyngtonie, żeby złagodził warunki.

Gdy to piszę, docierają do mnie wieści, że kilka mil od Bazy, w mieście Guantanamo przetrzymywani są kubańscy więźniowie polityczni, którzy odważyli się zbuntować przeciwko dyktaturze Fidela Castro. Warunki, w jakich przebywają, są znacznie gorsze od tych, które stały się udziałem terrorystów z al Kaidy. Kubańscy więźniowie sumienia trafiają do zamurowanych karcerów, lecz organizacje obrony praw człowieka o tym milczą. Są ślepe, gdy mowa o Kubie.

A przed moimi oczami jeszcze raz staje Guantanamo. Dziś już moja pamięć potrafi się pojechać z rodzinnym miastem, które po wyprawach odwiedziłam tylko raz, w 1960 roku. Wybrałam się tam ciągiem. Zobaczyłam te wspaniałe krajobrazy, olśniewającą zatokę – i nagle poczułam się jak Hazard, ów podróżnik sprzed lat. On też, opuszczając to miejsce, czuł, że spędził w nim szczęśliwe chwile i że te chwile nie wrócą.

Belkis Cuza Malé

KOBIETY NIE UMIERAJĄ NA LINII OGNI

Kobiety nie umierają na linii ognia, nie obracają głowami jak piłeczkami do golfa, nie śpią pod runem popiołów, nie rujną nieba, żaden śnieg ich serc nie oszroni. Kobiety nie umierają na linii ognia, nie wyrzucają diabła z Jeruzalem, nie mkną akweduktem czy torem kolejowym, nie opanowują sztuki wojennej ani sztuki pokoju. Nie zostają generałami ani nieznanymi żołnierzami z kamienia, co strzegą głównego placu miasta. Kobiety nie umierają na linii ognia. Mogą tkwić w Luwrze zamienione w słup soli albo zostać matką, jak Fedra, kochanką Henryka VIII, Matą Hari, Evitą Peron, królową, której doradza pan premier, piastunką, kucharką, praczką albo poetką romantyczną. Kobiety nie tworzą Historii, po dziewięciu miesiącach wypływają tylko z brzucha, a potem śpią przez dwadzieścia cztery godziny, jak żołnierz, co wrócił z frontu.

Przełożył Filip Łobodziński



Autorka i jej zwierzęta

zdołał jednak dopłynąć do Bazy. Pokonał wpływ niemal całej zatoki.

W roku 1994 doszło do masowej emigracji z całej wyspy. Uciekających na wątych stateczkach Kubańczyków tysiącami wylądowały amerykańskie straże przybrzeżne i od-

BELKIS CUZA MALÉ

Przełożył Filip Łobodziński



PAUL JOHNSON (ur. 1928) – historyk i publicysta brytyjski. W latach 60. lewicowiec, następnie doradca Margaret Thatcher. Obecnie pisze m.in. dla prawicowego „Spectatora” i doradza premierowi Blairowi. Autor bestsellerów: „Historia chrześcijaństwa”, „Historia Żydów”, „Intelektualiści”.

PAUL JOHNSON

Powrót jajogłowych

Trudno się dziwić, że pierwszy ważny głos intelektualistów w toczącym się na świecie sporze na temat terroryzmu pojawia się ze strony amerykańskiej prawicy. Sartre i Russell dawno już nie żyją, a godni ich następcy w Europie jeszcze się nie znaleźli



Ukazanie się niedawno listu otwartego w sprawie wojny z terroryzmem podpisanego przez 60 amerykańskich intelektualistów zasługuje na uwagę z dwóch powodów. Po pierwsze, oznacza powrót do manifestów politycznych licznie podpisywanych przez uczonych i jajogłowych. Manifesty takie były popularne w szczytowym momencie zimnej wojny. Po drugie, sygnatariusze wspomnianych manifestów – w przeciwieństwie do tych z czasów zimnej wojny – rekrutują się w dużej mierze spośród członków partii centroprawicowych, a ich celem jest wspieranie polityki prowadzonej przez amerykański rząd. Przyjrzyjmy się więc po kolei tym zjawiskom.

Okres popularności intelektualistów „zaangażowanych” rozpoczął się wraz z wybuchem wojny domowej w Hiszpanii, został zawieszony na czas II wojny światowej (kiedy to ci sami intelektualiści starali się znaleźć schronienie w bezpiecznej i pełnej słońca Kalifornii), by następnie

na nowo odżyć z nastaniem zimnej wojny w latach 1945–1947. Okres ten naznaczyły takie wydarzenia jak wyreżyserowany przez Moskwę Światowy Kongres Intelektualistów we Wrocławiu w roku 1948, sztokholmski „trybunał ds. amerykańskich zbrodni wojennych” w okresie wojny wietnamskiej oraz studencka rewolta w Paryżu w roku 1968.

Jak ujmuje to Biblia, „w owych czasach byli na ziemi giganci”. Szczególnie wyróżniającymi się „mocarzami” stali się Francuz Jean-Paul Sartre oraz Bertrand Russell z Anglii. Opublikowany przez tego

ostatniego w „New Statesman” manifest przeciwko broni atomowej doczekał się reakcji ze strony samego Nikity Chruszczowa, sowieckiego przywódcy, i sekretarza stanu w rządzie Eisenhowera – Johna Fostera Dullesa. Sartre potrafił pisać manifesty w tempie 20 tysięcy słów dziennie. Wydawał własne pismo, cieszył się dużym posłuchem wśród studentów i na podobieństwo Wiktora Hugo miał wielki wpływ na europejską inteligencję. W trakcie premiery jego antystalinowskiej sztuki „Niekrasow” doszło do politycznej rozróby (wyklaskiwanie aktorów i wrogie

okrzyki stalinowców i antystalinowców na sali), która jako żywo przypominała sceny z „Hernaniego” Wiktora Hugo z roku 1830. Amerykanie nie mieli tak wybitnego przedstawiciela, chociaż językoznawca Noam Chomsky i Norman Mailer starali się, jak mogli. Mailer zdobył popularność walkami pięściarskimi, występami w telewizji i małżeńskimi skandalami. Grupowe wyjazdy na Kubę, do Chin i Wietnamu zapewniały lewicowym intelektualistom obecność na pierwszych stronach gazet.

Teraz rzeczy mają się zgoła inaczej. Sartre i Russell dawno już nie żyją, a godni ich następcy jeszcze się nie znaleźli. Co prawda Chomsky jest jeszcze wśród żywych, ale jego poglądy wszystkim spowszedniały. Mailer posunął się w latach i obecnie trzyma się z dala od polityki. Jedynymi lewicowymi pisarzami, którzy regularnie publicznie zabierają głos, są Susan Sontag, kolejny weteran zimnej wojny, oraz wygadany i zabawny Gore Vidal, który jednak postrzegany jest jako osoba ekscentryczna i frywolna. W Europie należy wymienić nazwisko Niemca Güntera Grassa. Francuska lewicowa inteligencja jest pozbawiona przywódcy. W Anglii radykalni prominentni intelektualiści, tacy jak Richard Dawkins, w większym stopniu wydają się być zainteresowani neodarwinizmem i biologicznymi eksperymentami niż polityką.

Tymczasem amerykańscy neokonserwatyści są liczni i prężni. Występują zazwyczaj wspólnie i rekrutują się spośród szerokiego kręgu osób, począwszy od starych wyg w osobach Irvinga Kristola i Normana Podhoretza, a na nowicjuszach pokroju Francis Fukuyamy, autora „Końca historii”, skończywszy. Wydają własne pisma – „Commentary”

oraz „National Review” – by od czasu do czasu zagościć na łamach „Wall Street Journal”. Niedawno dla sprawy pozyskali również „Washington Post”. Amerykańscy prawnicy działają również w ramach uznanych instytutów naukowych i ciał eksperckich, takich jak Instytut Hoovera na Uniwersytecie Stanforda czy Amerykański Instytut Przedsiębiorczości w Waszyngtonie. Oba są ściśle związane z administracją George’a W. Busha.

Stąd też trudno się dziwić, że pierwszy ważny głos intelektualistów w toczącym się na świecie sporze na temat terroryzmu pojawia się ze strony prawicy. Można to było z góry przewidzieć w Ameryce, gdzie opinia publiczna w przytłaczającej większości opowiada się za operacją militarną w Afganistanie i dalszymi działaniami wojennymi przeciwko takim państwom jak Irak, Libia, Syria i Iran. Europejczycy nie zdają sobie sprawy z gwałtownego odrodzenia amerykańskiego patriotycznego zapału i determinacji w wojnie przeciwko terroryzmowi. Jest ono zauważalne wszędzie, począwszy od wyborców, Kongresu, a na studentach, uczonych, mediach i opinii publicznej skończywszy. Amerykańskie sztandary powiewają na każdym kroku, a miliony Amerykanów obojga płci i w różnym wieku noszą w klapach miniaturowe flagi.

11 września terroryści odnieśli taktyczne zwycięstwo, równocześnie gotując sobie strategiczną klęskę. Nowy Jork potraktował atak na World Trade Center jako osobiste wyzwanie. A miasto to, wraz z największym na świecie skupiskiem intelektualnych kręgów opiniotwórczych, pozostaje przecież stolicą nie tylko finansów, lecz także mediów i życia intelektualnego.

Sytuacja, której jesteśmy obecnie świadkami, najprawdopodobniej da początek poszerzaniu się i pogłębianiu atlantyckiej otchłani dzielącej Amerykanów i Europę kontynentalną. Stanie się tak zwłaszcza wówczas, gdy Ameryka podejmie pró-

bę zastąpienia demokracją irackiego reżimu Saddama. Celowo posługuję się terminem „Europa kontynentalna”, ponieważ rząd Wielkiej Brytanii prawdopodobnie pozostanie u boku Stanów Zjednoczonych nawet w przypadku ataku na Irak. Postawa ta znajdzie oparcie w większości mediów, u przytłaczającej części opinii publicznej i przedstawicieli inteligencji. Dlatego też rzeczywista linia podziału przebiegać będzie na kanale La Manche.

Bez wątpienia wspomniany podział zaognia ukryty konflikt pomiędzy angloamerykańską gospodarką opartą na wolnej przedsiębiorczości a nakazowością Unii Europejskiej. Klasy rządzące Francji, Niemiec i Włoch są przeciwnie dalszej amerykańskiej interwencji na Bliskim Wschodzie, a intelektualiści posuwają się nawet dalej w swej antyamerykańskiej retoryce. Jednak intelektualiści będą mieli twardy orzech do zgryzienia. Arabowie bowiem nie są popularni, zwłaszcza we Francji, Hiszpanii i Włoszech. Niewiele jajogłowych gotowych jest stanąć w obronie muzułmańskiego fundamentalizmu czy Saddama Husajna. Jeśli terroryści, którzy tak mylnie ocenili nastroje amerykańskiej opinii publicznej i którym coraz trudniej przychodzi działać na terenie Stanów Zjednoczonych, zdecydują się uderzyć na „łatwe” cele w Europie (ostatnio próbowali zatruci ujęcia wody pitnej w Rzymie), to zwykli obywatele mogą udzielić poparcia zakrojonym na dużą skalę amerykańskim działaniom wojennym. Co więcej, amerykańska gospodarka wychodzi z recesji, podczas gdy rynki Europy kontynentalnej nadal prześladowane są wysoką bezrobociem, niską wydajnością i malejącą inwestycją. Zjawiska te nie pozostają bez wpływu na sytuację polityczną i znajdują odbicie w opiniach wyrażanych przez ludzi w Europie. Intelektualiści na kontynencie są zagubieni i wewnętrznie podzieleni. Być może nadszedł czas, by się przebudzili.

Indywidualne Ubezpieczenia na Życie z Udziałem w Zysku



Często myślisz o przyszłości swojej i swoich najbliższych. Zastanawiasz się, czy kiedyś uda się Wam zrealizować wszystkie marzenia. Nie chcesz zdawać się na przypadek.

...GWARANCJA PROFIT.
Dla tych, którzy chcą cieszyć się życiem.



Towarzystwo Ubezpieczeniowe **COMPENSA ŻYCIE S.A.**
Centrala - ul. Łucka 7/9, 00-842 Warszawa,
infolinia: 0 801 12 00 00,
e-mail: centrala@compensazycie.com.pl,
www.compensazycie.com.pl

BOBOSI

poza rajem

TOMASZ PRANGE-BARCZYŃSKI
ILUSTRACJE HANNA PYRZYŃSKA (GW)

Jak się nazywa facet, który kupuje aparat do hydromasażu za 15 tysięcy dolarów, je ziemniaki tylko z południa Francji i wygląda jak Franz Kafka? To nie wariat ani Bill Gates. To bobos – może mieszka obok ciebie?

Sarah Ann, mieszkanka Nowego Jorku, wie, że najlepsza mrożona kawa na świecie to migdałowe *frappuccino* z mieszanki wyhodowanych koniecznie w cieniu angolańskich ziaren, osłodzone nierafinowanym cukrem. W dodatku stać ją, by popijać *frappuccino* każdego dnia, w drogiej co prawda, ale jakże artystycznej kafejce, w dzielnicy pełnej galerii ze sztuką afrykańską.

Pawłowi wystarcza mocne *espresso*. Jest szczęśliwy, że w Warszawie powstała wreszcie mała knajpka, gdzie sprowadzają wypalane na Sycylii ziarna, a do filiżanki leją tyle wody, ile w Café Greco przy Schodach Hiszpańskich w Rzymie. Czyli mało.

Bobos to człowiek łączący w sobie z pozoru nieprzystawalne cechy mieszczaństwa (*BOurgois*) i cyganerii (*BOhemian*). Z jednej strony jest autentyczny, spontaniczny i kreatywny. Z drugiej – zdyscyplinowany oraz pozytywnie nastawiony do najnowszych zdobyczy techniki, a przede wszystkim do osiągania zysku. Bobos ma swe korzenie równocześnie w hipisowskiej konstytucji lat 60. ubiegłego wieku i gospodarką *boomie* lat 80.

Autorem „komiczno-socjologicznego” terminu jest David Brooks, publicysta „Newsweeka” i „Weekly Standard”, który w książce „Bobosi w raju” opisał nową klasę wyższą Stanów Zjednoczonych.

Bobosi są elitą całkiem liczną. Po 20 latach nieustającego wzrostu gospodarczego w USA rodziny osiągające roczny dochód przekraczający sto tysięcy dolarów stanowią ponad 10 procent społeczeństwa.

Jednak nie same pieniądze czynią bobosa, ale to, w jaki sposób i na co je wydaje.

Polski bobos na pewno nie aspiruje do klasy wyższej naszego społeczeństwa. Raczej stanowi barwny margines intelektualnej elity. Ma trzydzieści kilka lat i zrobił karierę w jednym z nowych zawodów, które pojawiły się w Polsce po roku 1989: w reklamie, *public relation*, informatyce, grafice komputerowej lub mediach. Według krajowych standardów zarabia dużo, choć w żaden sposób nie może się porównywać z bobosem amerykańskim. Także możliwości



wydawania pieniędzy ma zdecydowanie mniejsze. Jakie są cechy prawdziwego bobosa? David Brooks opisuje je w siedmiu rozdziałach swojej książki.

Princeton wychodzi za Stanford

Sarah Ann (*bakalaureat* z wyróżnieniem na studiach społecznych w Harvardzie, magister i doktor ekonomii tamże) wyszła przed trzema laty za Ethana (*bakalaureus* studiów amerykańskich w Amherst, oczywiście z wyróżnieniem, doktor praw na Harvardzie).

Paweł przez rok studiował prawo na Uniwersytecie Warszawskim. Przeniósł się na KUL, na filozofię, gdzie wytrzymał dwa lata. Wrócił do Warszawy na socjologię. Jednocześnie kupił nowoczesny komputer z kartą dźwiękową i zaczął sklejać pierwsze reklamy dla radia. Gdy pojawili się poważni klienci, rzucił studia.

„New York Times” zawsze był dla Amerykanów źródłem informacji na temat elit Stanów Zjednoczonych. Zwłaszcza strona zawierająca informacje o ślubach. O ile jednak w latach 50. dominowały ogłoszenia o zejściu się dwojga potomków arystokracji WASP-ów (białych anglosaskich protestantów), rządzących wówczas Ameryką, o tyle dziś dominują na niej świetnie wykształceni bobosi. 30 lat temu w ogłoszeniu ślubnym liczyło się pochodzenie – dziś ślubna strona NYT to informacje o fuzjach i akwizycja.

Przy nazwiskach młodych figurują długie listy tytułów naukowych i nazw ukończonych uniwersytetów. Nie chodzi o to, że John bierze ślub z Mary. To Harvard żeni się z Yale, a Princeton wychodzi za Stanford. Hierarchia tytu-

łów musi być jednak zachowana. – *Magna cum laude* żeni się z *magna cum laude*, ale nigdy z *summa cum laude*. Ciśnienie w takim małżeństwie byłoby zbyt wielkie – mówi Brooks.

84 proc. występujących na ślubnych stronach NYT ludzi to dzieci rodziców z wyższym wykształceniem. To arystokracja mózgów, a nie krwi.

Polscy 30-latkowie aspirujący do roli bobosów nie mogą raczej pochwalić się szczególnym wykształceniem. Najczęściej skończyli studia humanistyczne: historię, filozofię, socjologię, lingwistykę.

Efekt zainteresowań licealnych końca lat 80. Po kilku latach szkoły wyższej rozpoczęli błyskotliwe kariery w zawodach, które dopiero co pojawiły się w Polsce.

– Nie mam wyższego wykształcenia, choć studiowałem na dwóch fakultetach – mówi Jakub, wolny strzelec zarabiający trzykrotną średnią krajową, zajmujący się dziennikarstwem, produkcją telewizyjną i reklamą. – Na drugim roku studiów dostałem etat w jednej z pierwszych komercyjnych stacji radiowych. Ciągnąłem studia dziennikarskie jeszcze dwa lata. Kiedy miałem do wyboru: iść do telewizji czy pisać pracę maderską, wybrałem to pierwsze. Czy żałuję? Trochę tak, bo miło jest mieć jakiś papier. Z drugiej strony przez 10 lat zawodowej kariery żaden pracodawca nie zapytał mnie o dyplom.

Konsumpcja francuskiego ziemniaka

Sarah Ann nie pali wprawdzie skrętów i nie pije wprost z butelki taniego ginu, jak mieli to w zwyczaju prawdziwi artyści. Za to ostatnio kupiła w alternatywnym butikku ręcznie robioną chłopską koszulę kosztującą tyle, ile chłop wyciąga na miesiąc.

Paweł pali skręty okazjonalnie. Przyzwyczajenie ze starych czasów, gdy w latach 80. próbował hodować marihuanę na balkonie. Nosi dzinsy Diesla, do żywego przypominające jego pierwsze Elpo, których przypominał w podstawówce. Lubi ser gorgonzola, jak wszystko co włoskie. Ostatnio odkrył olej z pestek dyni. Świetny do sałatek. Najlepszy, ze Styrii, kosztuje w ekskluzywnym sklepie Mini Europa dwie dychy za małą buteleczkę.

– Zakupy nie są być może najbardziej intelektualnym zajęciem na ziemi, ale mogą okazać się kulturowym objawieniem – twierdzi David Brooks. Bobosi kupują dużo i drogo. Najważniejszym miejscem w ich domach jest kuchnia. Najlepiej o powierzchni lotniczego hangaru. Wyposażona w dwuskrzydłową lodówkę, wewnątrz której można by urządzić przyjęcie, i olbrzymi piecyk, w którym w razie potrzeby dałoby się przyrządzić bizona w całości. Użyteczność i zawodowstwo to najważniejsze cechy, jakimi muszą się charakteryzować kupowane przez bobosów przedmioty. Jak twierdzi Brooks, wulgarnym jest wydawanie 15 tysięcy dolarów na brylantową kolbę. Ale przeznaczenie tej samej kwoty na system do hydromasażu pod prysznic, dzięki któremu pocujemy się bliżej natury, jest jak najbardziej na miejscu. To samo dotyczy samochodu. Bobosowi brak słów, gdy widzi człowieka płacącego za sportowy wóz. Na auto można wydać dużo, pod warunkiem że chodzi o świetnie wyposażonego, terenowego Range Rovera, który da sobie radę w każdych warunkach. Nawet jeśli chwilowo bobos pokonuje nim ledwie trzy przecznice. Po asfalcie.

Bobos nie jada byle czego. Kupuje importowane z Francji ziemniaki, zwijane ręcznie przez rodowitą Włoszkę *ravioli* i jeden z 15 dostępnych na nowojorskim targu gatunków bazylii.

Nosi czarny T-shirt i cienkie, druciane okulary, bo w dzisiejszych czasach lepiej wyglądać jak Franz Kafka niż jak Paul Newman. Alternatywą są jedynie profesjonalne okulary używane przez himalaistów podczas wyprawy na Lhotse.

Karol Marks twierdził, że klasę społeczną określają używane przez nią środki produkcji. Brooks mówi, że w dzisiejszych czasach klasę społeczną określają środki konsumpcji.

Oczywiście bobosi nienawidzą konsumpcjonizmu i marketingu, dlatego sprzedanie im czegokolwiek nie jest proste. Nie bez kozery spece od reklamy napisali antymaterialistyczne hasło dla kampanii kart kredytowych. „Coś, czego nie kupisz za pieniądze” zostało wymyślone właśnie z myślą o bobosach.

Dzięki bobosom wyrosły tysiące punktów usługowych zaspokajających ich najbardziej wymyślne zachcianki. David Brooks odwiedził miasteczko Wayne w Pensylwanii. W czasach gdy chodził tu do szkoły, była to nudna pipidówka. Gdy w latach 90. pojawili się tu bobosi, miasto zakwitło. – Dziś masz w Wayne wspaniałe księgarnie, dietetyczne piekarnie, delikatesy z ryżem *basmati* i wegetariańskimi herbatnikami dla psów – zachwyca się Brooks. Pisarz nazywa takie skupiska bobosów *Latte Towns* od popularnej, także pośród polskich *bohemian-bourgeois*, przyrządzonej po włosku kawy z mlekiem.

Latte Towns wyrastają w dzielnicach studenckich bądź w zamieszkałych przez artystów rewirach miast. Sprzedaje się tu wszystko, do czego można przykleić etykietę „alternatywne”: alternatywną muzykę, alternatywne media, alternatywne ubrania. Tutaj rządzi alternatywny styl życia.

Gdzie są polskie *Latte Towns*? Pośród polskich bobosów popularne są raczej niektóre dzielnice, jak choćby Stara Ochota czy Górny Mokotów w Warszawie. Tutaj, w jednej z przedwojennych kamienic, mieszka Agnieszka. W latach 80. była anarchistką. Dziś ciągle się wzdryga, słysząc słowo „burżuazja”. Jej pełne zakamarków i antresol, położone na czterech poziomach modernistyczne mieszkanie wzbudziłoby zachwyt niejednego amerykańskiego bobo.

– Wyrosłem z kontrkultury, a dzisiaj zażeram się włoskim jedzeniem i popijam to dobrym winem. Czasem mnie to przeraża – mówi Agnieszka.

Niewystarczająca w porównaniu z amerykańskimi bobo ilość pieniędzy decyduje o możliwościach krajowych bobosów.

– Żyje ponad stan – twierdzi Przemek, szef agencji reklamowej specjalizującej się w nietypowych kampaniach. – Wydałem fortunę na urządzenie mieszkania. Parkiet mam nowy, ale ułożony w „pas krakowski” i olejowany. Czekam, aż się spatynuje. Kafle kupiłem już postarzone. Włoskie, choć robią za holenderskie.

– Człowiek może mieć, na Boga, wyrafinowane gusta – uważa Krzysztof Kruszewski. Świat jest piękniejszy, jeśli bazylia ma kilka zapachów. Jeśli żyje się świadomie według greckich ideałów harmonii, to takim bobosem człowiek staje się nie ze względu na bunt, ale dlatego że chce być sobą. I pozostaje się sobą nawet wbrew temu, co mówią ludzie dookoła. Mam wyrafinowany gust i jest dla mnie ważne, jakie jem ziemniaki. Jeżeli natomiast jem ziemniaki z południa Francji tylko dlatego, że chcę się odróżnić od swoich kolegów, którzy wsuwają purée z torebki, to to już nie jest w porządku.

Polscy bobosi na razie nie napędzają koniunktury. Grupa bogatych bobo jest zbyt mała, by otwierać dla nich specjalne delikatesy. Z placu Teatralnego w Warszawie zniknął ostatnio butik La Boheme, gdzie można było dostać 30-letni ocet balsamiczny z Modeny, suszone pomidory z San Marzano i najlepsze w mieście tiramisu.

Życie zawodowe w dentystycznym fotelu

Sarah Ann pracowała po studiach w dużej firmie konsultingowej. Brzydziła się sformalizowaną, hierarchiczną strukturą korporacji. Ale za zarobione pieniądze kupiła wymarzone poddasze w jednym z *Latte Towns*. Jej sąsiadem jest prawdziwy malarz.

Paweł sprzedał swój superkomputer po dwóch latach. Dziś ma hipernowoczesne studio dźwiękowe urządzone starymi fotelami dentystycznymi przydzwiganymi ze śmietnika. Srebrne ściany, trochę kolorowego futra. Kiedy na nagranie reklamy proszku do prania przychodzą starzy koledzy pracujący w agencjach reklamowych, można się trochę zdystansować od merkantylnej rzeczywistości.

Miarą amerykańskiego boboizmu jest zdaniem Brooksa prosty współczynnik: weź swój roczny dochód i pomnóż go przez to, jak bardzo pokazujesz, że nie zależy ci na twojej pracy.

Miarą amerykańskiego boboizmu jest zdaniem Brooksa prosty współczynnik: weź swój roczny dochód i pomnóż go przez to, jak bardzo pokazujesz, że nie zależy ci na twojej pracy.

Bobos pracuje w agencji reklamowej, której nie znosi, pisze znienawidzone hasła reklamowe dla produktów, które uważa za beznadziejne, po to, by kupowali je ludzie, którymi gardzi – twierdzi Brooks. Jednak pojawienie się bobosów w reklamie czy wielkich korporacjach zmieniło obraz współczesnego biznesu. Miarą tego jest wykorzystanie słów Gandhiego do reklamy komputerów czy cytatów z naczelnego pisarza epoki bitników Jacka Kerouaca w reklamie ubrań, a Williama S. Burroughsa – butów sportowych.

W biurach znanych firm zapanowały luźniejsze stosunki, a menedżerowie porzucili pomnikowe postawy. – Kiedy w latach 50. prezes robił sobie oficjalne zdjęcie, zawsze wbijał się w formalny garnitur i zasiadał za

gigantycznym mahoniowym biurkiem – wspomina Brooks. Dziś szef wytwórni filmowej DreamWorks Jeffrey Katzenberg pozuje do fotografii z działkiem wodnym. Zdaniem Brooksa bobosi wnieśli do życia zawodowe luz i artystyczną kreację.

Polscy bobosi mają do pracy stosunek diametralnie różny od swych amerykańskich protoplastów. Jeszcze kilka lat temu polscy specjaliści od reklamy w nieoficjalnych rozmowach wybrzydzały na tępotę krajowego klienta, na którego najlepiej działało hasło „dobre, bo tanie”. Dziś przestali się obrażać na pracę, choć słowo „tanie” nadal słychać w trzech czwartych reklam.

– Pracę szanuję i jestem pokorna – twierdzi Agnieszka – może dlatego, że zawsze robiłam to, co mnie interesowało.

– W Polsce nie ma tradycji korporacji – zauważa Krzysztof Kruszewski. – Może taka grupa buntowników pojawi się w kolejnej generacji. My buntowaliśmy się przeciwko komunizmowi, gdy wszystkim wszystko wisiało. Sprzeciw wobec starego porządku prowadzi młodych Polaków właśnie w stronę korporacji, garniturów, wstawiania rano, jakiegoś *joggingu*, siłowni. Pewnie za jakiś czas najbardziej świadomi ten świat odrzuca.

Życie intelektualne z prostym chłopem w tle

Sarah Ann uwielbia operę „La vie de Bohème”, zwłaszcza w adaptacji Baza Luhrmanna, który przeniósł akcję w lata 50. XX wieku. Paweł zachwycał się filmami Luhrmanna „Romeo i Julia” czy ostatnio „Moulin Rouge”. W zeszłym tygodniu zapłacił 50 złotych, żeby zobaczyć „Oczyszczonych” Sarah Kane, sztukę modną pośród warszawskiej inteligencji. Po blisko trzech godzinach wysłuchiwanie pseudointelektualnego bełkotu przypominał sobie ulubione zdanie z „Misia” Barei: „W życiu bym do teatru nie poszedł”.

Intelektualizm w Stanach Zjednoczonych przeżył się co najmniej kilkanaście lat temu. Dziś nikt już nie czytuje francuskich traktatów socjologicznych, by udowodnić, że myśli. Bobosi są dumni z tego, że wplekli intelektualizm, kiedyś oderwany ich

zdaniem od rzeczywistości, w nurt kultury masowej. Jak pisze Brooks, w *Latte Towns* obok indyjskich delikatesów i artystycznych kawiarni rozrosły się wielkie księgarnie. By zobaczyć takie bobaistyczne *bookstores*, nie trzeba zresztą jechać do USA. Amerykanie, którzy tysiącami zjechali na początku lat 90. ubiegłego stulecia do czeskiej Pragi, założyli tam kilka takich przybytków jak The Globe czy U Knihomola, gdzie można i poczytać, i wypić kawę, i zjeść coś włoskiego.



Bobosi, zamiast zagłębiać się w filozoficzne tomiszcza, skupiają się raczej na bardziej praktycznych aspektach życia intelektualnego. *Latte Towns* zdominowane są przez prawników piszących powieści, lekarzy zwiedzających winnice czy *copywriterów* uprawiających swoje japońskie ogrody. We wszystkich tych działaniach przewija się dyskretnie kompleks Europy, choć Brooks zauważa, że i tutaj bobosi wprowadzili nową jakość. – La-tami staraliśmy się udowodniać, że jesteśmy

tak samo wyrafinowani jak Europejczycy – twierdzi pisarz – ale dziś nikt już nie ma puje europejskich intelektualistów. Staramy się raczej naśladować chłopów. Zacztyujemy się książkami o prostych zbieraczach grzybów z Prowansji czy z Toskanii.

Odkąd na polski rynek trafiły książki Anglika Petera Mayle’a opisującego życie w prowansalskim miasteczku Menerbes i Amerykanki Frances Mayes opowiadającej swoje przygody z kupionym w Toskanii domem, również polscy kandydaci na bobosów zaczęli się fascynować prostotą życia francuskich i włoskich rolników.

Przemek słucha namiętne afrykańskiego chóru Lambarena śpiewającego pieśni Bacha, Agnieszka gustuje raczej w wysublimowanej muzyce klubowej, a Jakub otwarcie przyznaje, że słucha prawie wszystkiego. Podobnie jest z lekturami i kinem. Polscy bobosi chłoną kulturę niszową, choć to, co masowe, nie jest im obce.

– Postmodernizm pozwoił mi usprawiedliwić niemal wszystko – śmieje się Jakub. – Mogę zachwycać się kinem, dopatrywać ukrytych sensów w filmach Tarantino czy traktować „Bridget Jones” jako współczesne studium socjologiczne na temat samotnych kobiet w wielkich miastach.

Przyjemności w chacie krytej łajnem

Sarah Ann spędziła ostatnie wakacje w północnej Ghanie, poszukując śladów plemienia Grusi. Przygotowania do dwutygodniowego wyjazdu zajęły jej trzy miesiące. Przeczytała kilkanaście kulturoznawczych książek poświęconych zwyczajom plemion środkowej Afryki. Na miejscu było trudno: bez wody do mycia i ulubionego *frapaccino*. Ale wiedziała wcześniej, że tak będzie, i był to jej świadomy wybór. Sarah Ann schudła siedem kilogramów i przez tydzień dochodziła do siebie w barach, których główną atrakcją jest wdychanie czystego tlenu.

Paweł wynajął ze swoją dziewczyną apartament z basenem w starej, tokańskiej willi, w okolicach Montalcino. Czytywał głównie włoską książkę kucharską, a popołudniami odwiedzał małych producentów wielkiego wina Brunello. Przytył pięć kilogramów, ale wypoczął jak nigdy. Za rok wybiera się na Sycylię.

Dla bobosa nie istnieje czysta przyjemność. Satysfakcję daje mu praca nad samym sobą. Dlatego wakacje spędza jako podróżnik, a nie turysta. Wyjazd na Kretę to okazja do powtórki z historii kultury minojskiej. Wakacje na Florydzie są po prostu wulgarne. Tak jak sobotni wieczór w klubie tanecznym. Bobos wybierze się raczej z przyjaciółmi na kolację do małej portugalskiej tawerny, w której występuje akurat śpiewająca pieśni fado artystka przybyła prosto z Lizbony.

W Polsce przyjemność jest ciągle czystą przyjemnością. – Ostatnio wyrwałem się z Warszawy na imprezę do Sopotu – wspomina Przemek. – Bankiet zaczął się już w pociągu. Przyjechaliśmy nad morze wieczorem. Balanga w Sfinksie (najmodniejszy klub w Polsce) trwała do rana. Zjedliśmy jakieś śniadanie i o drugiej po południu wyładowałem w swoim łóżku na Mokotowie. Oczywiście wolę wyjechać na weekend do Paryża. Można przy okazji pójść do fryzjera i kupić jakieś ciuchy. Ale Sopot też jest OK.

Polscy kandydaci na bobosów stronią wprawdzie od mieszczańskich kurortów, ale wakacje spędzają na wypoczynku. Jakub był w Afryce i tak jak Sarah Ann spał w chacie krytej łajnem. Pojechał tam jednak po przygodę. – Na razie bardziej podnieca mnie to, że stać mnie co roku na narty w Dolomitach i włączyć po Kenii czy Indiach. Prędko się tym nie znudzę – zapewnia Jakub.

Życie duchowe bez zobowiązań

Sarah Ann podpisała ostatnio petycję w sprawie tankowca, z którego wyrzucono do Morza Beringa 400 beczek z odpadami powstałymi po rafinacji ropy naftowej. Angażuje się w internetowe akcje wspierające Aborygenów. Jej rodzice są baptystami, ale od czasu, gdy wyprowadziła się z domu, nie chodzi do kościoła.

Paweł bywa w kościele na pasterce, choć w zeszłym roku w Wigilię za bardzo się przejadł. Ostatnią petycję, w sprawie zniesienia kary śmierci za przestępstwa gospodarcze, podpisał 13 lat temu, na studiach. Pokłócił się z kumplem – ekologiem blokującym poprowadzenie przez Ursynów obwodnicy wokół Warszawy.

Bobosi mają dobre zdanie na temat własnej duchowości. Innego zdania są ich krytycy.

Według Brooksa bobosi wyznają specyficzny rodzaj ekumenizmu. Wybierają z różnych religii to, co ich zdaniem prowadzi do naprawy

społeczeństwa, odrzucając jednocześnie wszelkie formy poświęcenia cegokolwiek w imię zbawienia. Brooks nazywa to duchowością bez obowiązków albo ortodoksyjnością bez posłuszeństwa. Pragną uwolnić się od tradycyjnych instytucji, takich jak pochodzenie, klasy społeczne, korporacje czy Kościół – pisze w „The Washington Monthly” Scott Shuger. Ich intelektualna siła może dać im poczucie wolności, ale czy da im poczucie oparcia? Zdaniem Shugera bobosi chcieliby więzów, które nie krępują.

– Podobają mi się idee Tybetu, ale nie mam potrzeby zagłębiania się w nie – mówi Jakub. Nie brakuje mu oryginalnego systemu moralnego, do którego mógłby się odwołać. Wychowany w katolickim domu wszedł w dorosłe życie z bagażem chrześcijańskich przykazań, do których na swój sposób stara się stosować. Jednak poza Kościołem.

– Polscy bobosi to ludzie wierzący, choć praktykują w niewielkim stopniu – uważa Krzysztof Kruszewski. – Cechuje ich dystans wobec Kościoła jako instytucji, która dość niesprawnie różnicuje swoją ofertę. Na Zachodzie każda grupa społeczna ma swoje miejsce i swego księdza, który będzie do niej mówił takim językiem, jakiego oczekuje. Tak jak w handlu – tu Armani, tam supermarket.

Polityka już nie kręci

Sarah Ann lubiła epokę Clintona. Taki ludzki facet. Z łatwością wybaczyła mu skandal z Moniką Lewinsky. W wyborach roku 2000 głosowała na Gore’a, ale bez większego przekonania. Polityką się nie interesuje.

Paweł wspierał jako student kampanię prezydencką Mazowieckiego. W drugiej rundzie skreślił ostentacyjnie zarówno Tymieńskiego, jak i Wałęsę. Pięć lat później także wrzucił do urny głos z dwoma skreśleniami. Z polityki najmilej wspomina piłkarską drużynę Kongresu Liberalno-Demokratycznego. Ma nadzieję, że da sobie radę bez względu na to, kto będzie rządził Polską.

Bobosi żyją w Ameryce Demokratów: na północnym wschodzie i na Zachodnim Wybrzeżu. Według niektórych publicystów w USA boboistyczną elitę i tak zwaną średnią Amerykę dzieli przepaść. Ich zdaniem naj-

gorsze jest jednak to, że aspirujący do bycia klasą wyższą *bohemian-bourgeois* nie kwapią się do wzięcia politycznej odpowiedzialności za kraj. A to jest w USA nie do pomyślenia. Dlatego sam David Brooks namawia bobosów do zaangażowania się w politykę.

Francis Fukuyama w swojej książce „Wielki podział” wykazuje moralny relatywizm bobosów, niechęć do regulacji prawnych i pseudotolerancję zależną od akurat przyjętego punktu widzenia. Być może bobosi byliby nawet skłonni rządzić Stanami Zjednoczonymi jako klasa, pod warunkiem że nie wiązałoby się to z niewygodnym rytuałem demokratycznych wyborów. Bobosi są bowiem moralnie leniwi, uważa polemizujący



Przyszłość bobosów ma czerwone włosy

– Gdy ktoś mnie pyta, czy bobosi wyginą, pokazuję mu ich dzieci – mówi Brooks. – Mają kolczyki w nosach, czerwone włosy i koszulki podarte dokładnie tak, jak nakazuje ostatni sznyt. Ale te dzieciaki się nie buntują. Idą pracować do firm informatycznych i chłoną ideologię swoich rodziców. Tym bardziej że ci wyposażyli ich wcześniej w atrakcyjne fundusze powiernicze i zafundowali doskonałe szkoły. Na wakacje posłali zaś do czeskiej Pragi.

Brooks nie wierzy też w bunt klasy średniej czy niższej przeciw bobosom. – Ich zwyczaje przenikają do mas – twierdzi pisarz. Zdaniem Krzysztofa Kruszewskiego bobosi w rozumieniu Davida Brooksa jeszcze w Polsce nie istnieją. Bobosami staną się dopiero ci, którzy dziś wdziewają uniformy i oddają się pracy na rzecz potężnych korporacji. Za kilka lat postanowią się przeciwko temu zbuntować, a co śmiałojsi z nich zaczną szukać ujęcia dla tego buntu w artystowskim, alternatywnym sposobie życia.

Agnieszka, Przemek, Jakub nie są w istocie bobosami, choć czują się jak najbardziej *bohemians*, a w ciągu ostatnich lat stali się po trosze *bourgeois*. W przeciwieństwie do amerykańskich bobosów najpierw ukształtowali swój alternatywny światopogląd, a dopiero potem zdobyli pieniądze umożliwiające zaspokajanie potrzeb.

Paweł wierzy, że jego syn w wieku 20 lat będzie potrafił wybrać z domowej piwniczki właściwe wino do niedzielnego obiadu.

TOMASZ PRANGE-BARCZYŃSKI

Na sankach po Golanie

Pan w okienku żąda dowodu osobistego pod zastaw sanek. Nie zgadzam się, więc pan odmawia wydania mi sanek. Żąda ode mnie zegarka. Nie mam zegarka, więc chce kluczyki od samochodu. Odmawiam. Zaczyna się awantura... Z wściekłości i bezsilności mam ochotę wyć

Jest tylko jedno miejsce w Izraelu, gdzie zimą leży śnieg. Jechaliśmy tam doliną między dwoma wzgórzami – okolicą trochę podobną do pogórza bieszczadzkiego. Przed nami toczyła się rozklekotana furgonetka pełna przyjaciół. Dookoła pagórki w zieleni i kwiatach, tysiące kwitnących anemonów, jakieś krzewy obsypane żółtymi kwiatuskami. Widok europejskiej wiosny, tylko anemony tam chyba nie rosną. Nie ma też ciągnących się po obu stronach drogi ogrodzeń z żółtymi tabliczkami z napisem „Uwaga, miny”. Tak na przestrzeni kilometrów, raz z jednej strony, raz z drugiej, chwila z obu. Czyje te miny – jeszcze syryjskie, a może nasze? Podobno po pastwiskach na Golanie biegają, a raczej kuleją tu i ówdzie krowy o trzech nogach – krowy-inwalidki, które weszły przypadkiem na minę.

Golan jest naprawdę piękny i naprawdę pusty – mieszka tam tylko 17 tysięcy Izraelczyków i drugie tyle Druzów w trzech miasteczkach. Niedaleko znajduje się osławione Wzgórze Krzyków, czyli dwa pagórki oddzielone płytką doliną – jedna strona zbrocza należy do Izraela, druga do Syrii. Na stokach często stoją członkowie rozdzielonych rodzin druzyjskich i krzyczą do siebie z jednej strony wzgórze na drugą.

Cały Golan utrzymuje się głównie z rolnictwa, które zresztą robi duże wrażenie. Wszystko wydaje się tu bardzo dobrze zorganizowane – deszczownie na równiutkich

polach, sady pełne jabłoni, gaje oliwne. Czyste kibuce i moszawy, tablice reklamowe w pobliżu osiedli, latarnie wzdłuż dróg. Samochodów z centralnego Izraela jest bardzo mało, niewielu ludzi ma ochotę przyjeżdżać tu akurat teraz, gdy wszyscy obawiają się ataków Hezbollahu.

Jedziemy do strumienia płynącego skalistą doliną, gdzie kiedyś była wioska syryjska, a teraz jest



Izraelski żołnierz ogląda turystów na Hermonie

park narodowy. Chociaż to dopiero przełom lutego i marca, zdejmujemy buty i boso wspinamy się po skałkach, którymi spływa woda. To mógłby być raj na ziemi. Świeci słońce, wokół zieleni, czysta woda, dzieci nasze i przyjaciele – w sumie siódemka – łążą po gałęziach tworzących kładki nad wodą, wdrapują się po kamieniach. Najstarszy syn Ronit, zapalony botanik, uparł się, że mamy znaleźć kwitnący właśnie egzo-

tyczny kwiat będący pod całkowitą ochroną, a nazywający się po hebrajsku *turmus*. Szukanie tego cudu natury zajęło nam jakieś półtorej godziny. W końcu rozległ się triumfalny okrzyk: „Znalazłem!”. Gdy zobaczyłam tę egzotykę, dostałam ataku śmiechu – to był zwykły, swojski łubin. *Nota bene* przyjrzałam mu się tam naprawdę dokładnie po raz pierwszy w życiu – to faktycznie bardzo ładny kwiat. Jedyne miejsce w Izraelu, gdzie rośnie łubin, to właśnie Golan, a i to tylko przez kilka tygodni lutego i marca, bo potem jest już za duży upał.

Na noc zjechaliśmy na wybrzeże jeziora Genezaret, do jednego z moszawów. Bardzo przyzwoite domki kempingowe były puste. Trudno teraz utrzymać się z turystyki. Następnego dnia wstaliśmy, a raczej zwlekliśmy się, błędym

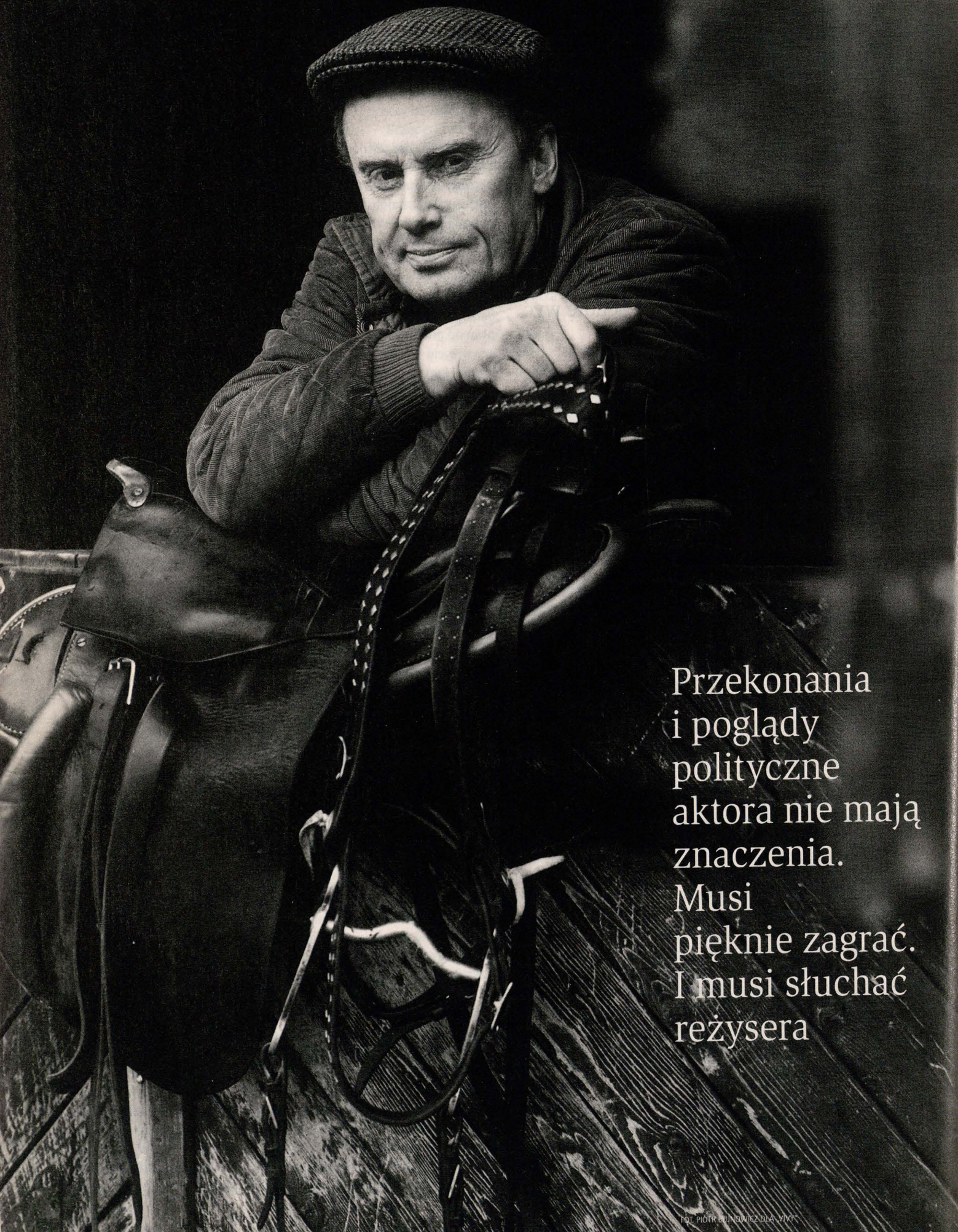
Własnych przywozić nie wolno. Nie podoba mi się to wszystko, a kryzys sięga zenitu, gdy pan w okienku bierze ode mnie pieniądze, po czym żąda zostawienia dowodu osobistego pod zastaw sanek. Nie zgadzam się, więc pan odmawia wydania mi sanek. Żąda ode mnie zegarka. Nie mam zegarka, więc chce kluczyki od samochodu. Odmawiam. Zaczyna się awantura, do której przyłączają się inni turyści oburzeni traktowaniem ich jak potencjalnych złodziei. Mam ochotę wszystko rzucić i odjechać z tego zimowego piekielka na sprzedaż. Żal mi tylko dziecka, które tęsknym wzrokiem patrzy na zjadliwie pomarańczowe sanki. W końcu – w drodze absolutnego wyjątku – łaskawie otrzymuję zgodę na zostawienie aparatu fotograficznego. Z wściekłości i bezsilności mam ochotę wyć.

Idziemy zjeżdżać. Mój trzyletni synek widzi śnieg pierwszy raz w życiu, czuje się mocno niepewnie. Obserwuję Izraelczyków. Zimowe buty, narciarskie kombinezony, puchowe kurtki, czapki kominiarki. Skąd i po co w Izraelu zimowe ubrania? Nagle „orientalni” Izraelczycy zamienili się w „zimowych” Europejczyków. My powyciągaliśmy jakieś swetry, do zwykłych sportowych butów założyliśmy po dwie pary skarpet. Ronit, nie mając czapki, owinęła głowę szalikiem, a ja owinęłam się szalem jak kiedyś baby na wsiach w Polsce. Wyglądaliśmy jak stado „szmaciarzy”.

Około południa, gdy zamierzaliśmy zjeżdżać do „cywilizacji”, na Hermonie były już tłumy. Parking zastawiony autobusami, kolejka do wyciągu na co najmniej dwie godziny stania. Koszmar.

A potem... potem był kolejny zamach, gdzieś na Zachodnim Brzegu, zginęli kolejni żołnierze, a my musieliśmy szybko wrócić do rzeczywistości.

ANNA LIBROWSKA



Przekonania
i poglądy
polityczne
aktora nie mają
znaczenia.
Musi
pięknie zagrać.
I musi słuchać
reżysera

Aktor nie powinien być idiota



Z **DANIELEM OLBRYCHSKIM**
rozmawia Kazimierz Targosz

Przyjechałem do Pana do Podkowy Leśnej kolejką WKD i przypomniałem sobie to, co pisała przed laty Agnieszka Osiecka: „Daniel jest człowiekiem, który nie chciałby mieć czapki-niewidki, przeciwnie, jadąc o północy kolejką WKD, podświadomie czeka na to, że zjawą się terroryści”.

– Bardzo często chciałem mieć czapkę-niewidkę.

Wtedy też?

– Tak, może tylko na początku mojej tak zwanej kariery zależało mi na tym, żeby być rozpoznawalnym, ale bardzo szybko zrezygnowałem z tych marzeń.

Ale lubił Pan demonstrować swoją siłę, odwagę, bohaterstwo, trochę szaleństwa. To część Pana legendy. A teraz gra Pan starego ofermy Dyndalskiego.

– On nie będzie ofermą. To będzie taki staruszek, co to bardzo chytrze popatrzy na Podstolinę – Kasię Figurę, zmierzy się z Cześnikiem i okaże się, że nie jest takim Dyndałą.

Rozmawiamy w chwilę po rozpoczęciu zdjęć do „Zemsty”. Oto wielki reżyser i wielcy aktorzy znowu szukają ratunku w naszej narodowej klasyce. „Zemsta” to – jak pisał Słonimski – „wino dobrej marki, ale nieco już zwiędnięte, zalatuje dzisiaj octem”.

– Słonimski się mylił. To najlepiej napisana europejska komedia, a wiem coś o tym, bo znam w oryginale Moliera i Szekspira.

Ale Molier jest znany w Europie, że nie wspomnę o Szekspirze, a Fredro...

– Bo nasz język jest nieznamy. Jaki jest sens przenoszenia dzisiaj „Zemsty” na ekran?

– Najpiękniejszy, bo to jest – powtórzę jeszcze raz – najlepiej napisana europejska komedia. I trzeba dać ludziom szansę zobaczenia tej arcykomedii. Zawsze wzbudzała śmiech, wzruszenie i zawsze była sukcesem, w każdym wykonaniu.

Czy za pomocą „Zemsty”, nawet sfilmowanej przez Wajdę, ze znanymi aktorami, da się powiedzieć coś ważnego o Polsce i Polakach A.D. 2002?

– Nie wiem, ale może nie o to chodzi. Wystarczy, że z jednej strony kamery staną dobrzy aktorzy, a z drugiej Wajda. Na pewno sprawimy ludziom przyjemność.

Pan mówi o sprawianiu przyjemności, ale Wajdzie chodzi o coś znacznie więcej. Uzasadniał swój zamiar sfilmowania „Zemsty” tym, że to „uniwersalne studium charakterów, dzieło ponadczasowe, genialny portret Polaków”. Podobnie tłumaczył ekranizację „Pana Tadeusza”, z którym jesz-

cze się udało, ostatnim rzutem na taśmę. Mam wrażenie, że Wajdzie, podobnie jak kilku innym niegdysiejszym mistrzom, życie dało wolność mówienia, ale odebrało publiczność i formę.

– Absolutnie się z panem nie zgadzam. Ja wiem, że pan mnie prowokuje. Wajda mógł stracić formę, wtedy gdy robił „Człowieka z żelaza” czy „Człowieka z marmuru”, ale nie stracił. A skoro sięgnął do źródeł polskiej literatury, do takiego arcydzieła jak „Pan Tadeusz” czy teraz „Zemsta”, to znaczy, że Polska stała się trochę normalniejszym krajem.

Prawie wszystko się wokół zmieniło: i oko, i ucho, i – jak ogłosiła już jakiś czas temu Maria Janion – kod kulturowy. Wajda chce, żeby publiczność chodziła do kina na jego warunkach, a publiczność chce od szacownego mistrza czegoś innego. Może na przykład dzieła współczesnego. Jest przecież o czym robić filmy.

– Współczesne rzeczy powinni robić młodzi i ja znam takie filmy. Robi je na przykład Jacek Bromski, Andrzej Kondratiuk. Wajda jest klasykiem i dajmy mu szansę mówić jego własnym językiem, jak pan mówi, na jego warunkach.

Nie ma zgody, mocium Panie. Nie przekonują mnie takie argumen-

ty uzasadniające sięganie po klasykę, bo można ją odczytać zgodnie z duchem czasów. Podobnie mówił Jerzy Kawalerowicz – że ekranizuje „Quo vadis”, bo to „zawsze aktualny dramat władzy, wiary, miłości”. Efekty są niezadowalające.

– „Zemstę” należy oglądać i się bawić. A wtedy być może odkryjemy, że to takie polskie charaktery, że kogoś nam przypominają. Czy radość życia nie jest wielką ideą? Wolę żyć w czasach, kiedy ludzie chętniej idą na „Zemstę” niż na „Kordiana”. Owszem, zmienił się kod. Literatura romantyczna była w pewnym sensie naszym kalektwem. Cały czas Polska, Polska! Bo jej nie było. Fredro był akurat szwależerem Napoleona i postanowił w okresie rozpaczki napisać komedię, żeby rozśmieszyć Polaków. I my też chcemy to zrobić. Wie pan, ja mieszkam na wsi, oglądam życie współczesne w telewizji, podróżuję po Polsce i cieszę się, że to jest wolny kraj, ale nie czuję się upoważniony do tego, żeby o tym opowiadać. Wolę, żeby zrobił to mój syn. Ludzie młodzi, rozpaleni, zdenerwowani. Oni wniosą coś nowego, ja – tylko gorzyc i dystans.

Czyżby już się Pan wypalił? A przecież jakiś czas temu Kazik Kutz mówił do Pana: „Jesteś już,

k..., kawałkiem flagi narodowej, musisz więc grać role symboliczne”.

– To się już skończyło. On to powiedział, gdy miałem 21 lat, i angażował mnie do jednej z moich najpiękniejszych ról, dwuminutowego epizodu w „Soli ziemi czarnej”. Kazik, jak to Kazik, trochę przesadził, bo zawsze żartuje. Ale prawdą jest, że zagrałem parę ról „narodowościowych”.

Można odnieść wrażenie, że od pewnego czasu nie ma Pan zbyt wielu propozycji. Doszło nawet do tego, że na własną prośbę zagrał Pan kochanka 17-letniej dziewczyny w filmie Radosława Piwowarskiego „Kolejność uczuć”.

– Tak, to prawda, ale to nie z powodu braku propozycji, ale dlatego, że bardzo mi się podobały jego filmy. Propozycji mam sporo i, w przeciwieństwie do 99 procent aktorów polskich, mam je z zagranicy.

Od Olbromskiego do Dyndalskiego – czy to normalne koleje losu aktora, który doczekał się statusu aktora pokoleniowego, następcy Zbigniewa Cybulskiego?

– Nie wiem, czy byłem aktorem pokoleniowym, nie bardzo wiem, kto to jest. Czy przejąłem coś po Cybulskim? Chyba podziw dla jego talentu – i odpowiedziałem na to

w których zaszyfrowana jest mentalność pokolenia. Podchodzi się do tego jak do pojedynku na ringu. Ale nigdy nie wiadomo, czy się znokautuje, czy zostanie znokautowanym. Wajda i Cybulski, kręcąc „Popiół i diament”, nie wiedzieli, że robią film kultowy. Ja też nie wiedziałem, że stanę się następcą Zbyszka, jeśli w ogóle kimś takim zostałem.

Pamiętam Pana Hamleta z roku bodaj 1970 – impulsywnego, bezcelnego, aroganckiego. W gwałtownej scenie z matką Gertrudą (Zofia Kucówna), spoliczkowany przez nią, natychmiast Pan oddał, bo – jak zauważyła Kucówna – Daniel zawsze oddaje.

– Tak, ale po czterech latach grania tego Hamleta, mimo protestów Hanuszkiewicza, powiedziałem mu, że już więcej grać nie będę. Powiedziałem mu, że skonstruował ten spektakl na moich i cudzych żywiołowych reakcjach, wrzucił chłopca w szekspirowską maszynę i patrzył (choćby w historii z policzkiem), jak zareaguje podłączona do prądu żaba. Gdyby dziś postawił mnie przed taką próbą, tobym nie oddał. Przerwałbym monolog, uważnie spojrzał na Zosię i poglaskał ją po twarzy zewnętrzną stroną dłoni. Nie sposób było dokończyć tej sztuki, bo pojawił się

townik, a chcieli pokazać, że wszyscy oklapli i niczego nie potrafią zrobić. Oni wszyscy, łącznie z moim przyjacielem Krzysiem Zanusem, robili filmy o tym, że ludzie są bezwładni, i nie zauważyli tego, co ja czułem w sobie i co czuł Adaś Michnik, że coś się może zmienić. **Ale grał Pan w filmie „Kung Fu” Janusza Kijowskiego, gdzie była próba powiedzenia: nie należy się bać, nie dajmy się.**

– Też nie, on też nie wierzył, że się cokolwiek zmieni, a za rok był protest robotników i Wałęsa. Ja mogłem zagrać kogoś, kto się szykuje do buntu, ale takiego filmu nikt nie nakręcił. Poza „Człowiekiem z marmuru”. To Wajda zauważył, że coś się może zmienić. Ale zagrał to – i słusznie – Jerzy Radziwiłowicz, mój przyjaciel i wielki aktor. Zagrał szarego, niezwykłego charakteru robotnika. Nie mógł tego zagrać Kmicic.

A co z filmami współczesnymi? Może nie pasuje Pan do kina współczesnego?

– Zależy do jakiego. Chętnie bym zagrał w dobrze zrobionym kryminale, kinie akcji, ale nie mam propozycji.

Nie tak dawno zastąpił Pan z dwóch nowych ról. Najpierw postanowił Pan zostać sumieniem narodu i na łamach „Polityki”

– Odpowiem na to: Kaziu jest uroczo niedojrzały. A mnie po prostu chodziło o to, że ktoś w celach komercyjnych, organizując wystawę pod tytułem „Naziści”, użył wizerunku mojego (i kilku moich kolegów) do promocji swojego nazwiska, nie pytając mnie o zgodę. Równie dobrze można było pokazać Marilyn Monroe, Kasię Figurę i Grażynę Szapołowską w negliżu i napisać: „Prostyutki”.

Listem do „Polityki” w sprawie Michałkowa przypomniał Pan o niedgysiejszej, dziś już trochę anachronicznej, roli, jaką pełnili kiedyś aktorzy, pisarze – oczekiwano po nich obywatelskich postaw i szlachetnych gestów. Dzisiaj od artystów wymaga się – tylko tyle, a może aż tyle – żeby dobrze prezentowali się na okładkach kolorowych magazynów.

– I chwala Bogu. Ja jestem komediantem i chcę nim zostać. To nie miało nic wspólnego z moim posłannictwem aktorskim. Ono czasem takie bywało i bywa. Uwniosła, uszlachetnia, ale tak naprawdę jest to zawód jak każdy inny. Chociaż z drugiej strony jest coś na rzeczy w tym, że w Polsce takie gesty zdarzają się częściej niż gdzie indziej. Byliśmy przecież bardziej od innych uwikłani w historię. Przypomnę bojkot telewizji w stanie wojennym. W tym egoistycznym, indywidualnym, komercyjnym zawodzie był to – jak powiedziała Simone Signoret – gest bez precedensu od trzech tysięcy lat.

To już przeszłość, a dzisiaj aktorzy, w ogóle artyści, coraz rzadziej prowadzą spór ze światem, rzadko ujawniają swoje poglądy, nie są też skłonni do wielkich gestów i się nie wzruszają. Jan Nowicki powiedział mi niedawno, że wzrusza się już tylko przy kasie.

– Jasiu gra, udaje. Myślę, że wzrusza się też z innych powodów. Ale może my normalniejemy. Chcę, żeby aktor był normalny i żeby aktorstwo było wyłącznie wypełnianiem ludziom wolnego czasu. Żeby się mogli zamyślić, wzruszyć, roześmiać.

Innymi słowy, chodzi o to, żeby aktor zmienił się z kaptana, przewodnika narodu, w wypełniacza wolnego czasu konkurującego

z gabinetem figur woskowych lub kasetą wideo.

– Aktor ma być komediantem. Nie chcę już czytać apeli poległych. **Czy aktor musi mieć jakieś poglądy polityczne, znać historię?**

– Nie musi, choć w tamtym systemie, jak każdy obywatel, był uwikłany w politykę i historię. I trzeba było powiedzieć: „Do kraju tego...” albo: „Który skrzywdziłeś człowieka prostego”. Wtedy aktorzy pomagali. Ale to był chory kraj, a ja chcę, żeby był zdrowy i chcę grać „Zemstę”. Czasami wiedza przeszkadza. Jeśli ktoś za dużo wie o powstaniu listopadowym, to nie pomaga mu to w pracy nad „Nocą Listopadową”. Aktor musi pięknie zagrać. I musi słuchać reżysera. Oczywiście nie powinien być idiotą, ale jego przekonania i poglądy polityczne nie mają znaczenia.

Ale w Pana przypadku chyba miały.

– Tak, bo zawsze pasjonowałem się historią i polityką. Mój ojciec był publicystą, matka publicystką i pisarką. Sam też napisałem kilka książek, między innymi o Wysockim, który z pewnością dałby Michałkowowi gitarę po głowie za jego imperialne poglądy. Sporo czytałem i czytam. Kształtowała mnie „Kultura” Giedroycia, mój ojciec i tacy ludzie jak Wajda, Andrzejewski, Konwicki. To było otoczenie, w którym taki nieopierzony gówniarz jak ja kształtował swój światopogląd.

Były też Kmicice, Kordiany, Konrady.

– Właśnie. I dlatego, co skądinąd bardzo miłe, Michałkow widzi we mnie wcielenie polskości. Hi, hi!

Mówi Pan, że poglądy polityczne nie mają znaczenia dla oceny artysty, czego potwierdzeniem jest Pana stosunek do Michałkowa – nie podziela Pan jego poglądów, ale ceni jego filmy. Czy oznacza to, że artysta może być łajdakiem, jeśli jego dzieło jaśnieje blaskiem?

– Nie, nie może być łajdakiem. Nic nie uzasadnia bycia łajdakiem. A już na pewno nie jest łajdakiem Nikita Michałkow. Jest wspaniałym człowiekiem.

Ale może dzieło jest piękniejsze, jeśli artysta zgrzeszył?

– Nie, raczej jest brzydsze. Być może wielcy twórcy trochę odkupują własne grzechy swymi dziełami. Ale jeśli autentyczny przestępca Jerzy Nasierowski jest jednocześnie autentycznym grafomanem, to już groza.

Co dzisiaj buduje pozycję aktora? Ilość i jakość ról? Pieniądze? Media? Agent? Bo już, na szczęście, nie posłannictwo w stylu roman-tycznym.

Sprowadza Pan wszystko na ziemię. Nie czuje się Pan już gwiazdorem?

– Tak, jesteśmy na ziemi. Czy jestem gwiazdorem? Jestem chyba popularnym aktorem, i to mi wystarczy.

Niedawno powiedział Pan, że mógłby zagrać kogokolwiek, nawet – razem z Lindą – dwóch starzejących się homoseksualistów.

– Jeśli Boguś zgodziłby się zagrać, napędzimy tłumy do teatru. **40 lat pracy, 57 lat życia – czy to jakieś ważne dla Pana cezury czasowe?**

– Nie bardzo. Mam satysfakcję, że ciągle mnie angażują, widocznie jestem dobry.

Co składa się na legendę Olbrychskiego, faceta, który grał bohaterów narodowych, znokautował



„Jak przychodzi co do czego i muszę udawać kochanka, to się wstydzę” (z Kaliną Jędrusik w „Ziemi obiecanej”)

Jeśli Linda zgodziłby się zagrać, napędzimy tłumy do teatru. Mam dla niego taką sztukę, w której dwóch starych pedałów gra rozkoszną komedię



w filmie „Wszystko na sprzedaż”. Zagrałem w pewnym sensie siebie, uwikłanego w samotność po śmierci Zbyszka.

Czego potrzebuje aktor, który chce wyrazić prawdę o swojej generacji?

– Nie wiem, tego się nie planuje. To się albo zdarza, albo nie. Za każdym razem jest jakieś wyzwanie, jakiś moment historyczny, są jakieś znaki szczególne, gesty,

Hamlet dojrzały. Hanuszkiewicz zrozumiał moje intencje i „Hamlet” zszedł z afisza.

Dlaczego nie grał Pan w kinie moralnego niepokoju?

– Ponieważ reżyserzy tak zwanego kina moralnego niepokoju założyli sobie, że wszystko jest do dupy, nic się nie da zmienić, wszyscy są zdemoralizowani. No to nie było dla mnie ról. Bo ci reżyserzy myśleli sobie: Olbrychski to bun-

wywał na pojedynek swojego przyjaciela, rosyjskiego reżysera Nikitę Michałkowa, za jego antypolskie wypowiedzi. Potem wykonał Pan słynne „cięcie w Zachęcie”. Kutz zapytany przeze mnie o komentarz do wydarzeń w Zachęcie powiedział: „Daniel jest uroczo, dzieciennie niedojrzały i nie może żyć bez sławy, lubi, żeby świat kręcił się wokół niego, a widocznie ma postny okres”.

porywacza w samolocie, bił się z synem peerelowskiego premiera, wyzywał na pojedynek jednego z najlepszych polskich kaskaderów, grał w tenisa z Lelouchem, uwodził sławne kobiety, wjechał konno do hotelu Victoria...

– Znam, znam. Gdy miałem 25 lat, mówiono, że się kończę. Tym, którzy to mówią teraz i uważają, że list do Nikity, moja reakcja w Zachęcie to chęć zwrócenia uwagi na siebie, przypominam wciąż aktualne słowa Boya: „Polska to jest kraj, gdzie ksiądz proboszcz zazdrości aptekarzowej lekkiego porodu”. **Jak Pan znosi krytykę albo złośliwości pod swoim adresem?**

– Tak, ja mam dla niego taką sztukę, w której dwóch starych pedałów gra rozkoszną komedię. Wiedziałem to przedstawienie w Grecji. Grało w nim dwóch 60-letnich, najbardziej męskich aktorów greckich. Reżyserował grecki reżyser, homoseksualista, który nie pozwolił im się wygłupiać. Ów reżyser zadał mi pytanie, czy zagrałbym tę rolę. Odpowiedziałem, że tak, ale pod warunkiem, że moim partnerem będzie ktoś, kto ma opinię stuprocentowego mężczyzny.

Bogusław Linda zrobił już pierwszy krok w tym kierunku. Cała Warszawa oblepiona jest plakatami z Lindą zrobionym na Marilyn Monroe.

– Myślę, że „Kordian” i „Dziady” ciągle będą potrzebne, ale już nie ja będę to grał. W tym kraju ta XIX-wieczna literatura będzie, niestety, ciągle potrzebna. Boję się tego i równocześnie mam nadzieję, że tak będzie. Wciąż aktualny jest zwłaszcza Norwid, który najpiękniej umie opowiadać o charakterze Polaków i ma nam bardzo wiele za złe. Sobie też: „Jesteśmy wielkim narodem, ale żadnym społeczeństwem”. I to jest jak cholera aktualne! Natomiast dzisiaj o pozycji aktora decyduje to, czy ma propozycje. My jesteśmy ludźmi do wynajęcia. Jeśli nie mamy propozycji, nie mamy z czego żyć, bo nic innego nie umiemy. To fundamentalny problem.



„Jestem chyba popularnym aktorem i to mi wystarczy” (z Franciszkiem Pieczką w „Potopie”)

– Jestem człowiekiem publicznym i w związku z tym słyszę różne brzydkie rzeczy na swój temat, ale 90 procent to jest raczej wyraz sympatii do mnie. **Zajmijmy się tymi 10 procentami. Pewnym zaskoczeniem była dla mnie opinia Pana promotora, Andrzeja Wajdy, który powiedział kiedyś: „Daniel jest nie do końca przekonywający jako kochanek, świetny w rolach negatywnych bohaterów”. A Zanussi ujął to jeszcze bardziej dosadnie: „Daniel sprawia zawód w roli kochanków. Jedyna rola, w której był kochankiem porywającym, to Kmicic, ale**

przewiduje ona rozdzielenie z obiektem miłości (Oleńką) i wtedy jego uczucie stało się przejmujące”. – Wie pan, ja rzeczywiście wstydzę się grać sceny miłosne. Krzysiu i Andrzej mają rację. Jak przychodzi co do czego i muszę udawać kochanka, to się wstydzę, bo partnerka nie jest moją partnerką, a jeśli nawet prywatnie jest, to się tym bardziej wstydzę przed kamerą. Fakt, źle gram sceny miłosne. **I jeszcze jedna opinia reżysera, o którym mówi Pan, że jest poetą we wszystkim, czego dotknie.**

Otóż ten poeta, czyli Kazimierz Kutz, powiada tak: „Każdy aktor jest mniej lub więcej kabotynem. Daniel jest dobrej klasy »rasowym kabotynem«”. Czy ani trochę to Pana nie denerwuje? Nie jest Pan wściekły? Nie ma Pan do niego żalu? – Nie. Kazik jest ogromnie inteligentnym człowiekiem. Jeśli widzi we mnie trochę kabotyna, to pewnie ma rację. **Jakie porażki przeżył Pan najbardziej?** – Zawodowych nie miałem wielu, prywatnych – bardzo dużo. Doświadczam, jak każdy człowiek,

wiele bólu, porażek osobistych, ale się tym nie chwale. Nie zawsze miałem sukcesy, ale wciąż wychodzę na swoje. **Na obwołucie Pana ostatniej książki „Parę lat z głowy” znajduje się pyszna anegdota o ślepym dżokeju, który zapytany, czy nie wziętyby udziału w Wielkiej Pardubickiej, odpowiedział: „Nie widzę przeszkód”. Jeśli to aluzja do samego siebie, to gratuluję szczerości aż do bólu!** – Tak, to ja jestem tym dżokejem. Ja go znakomicie rozumiem. **Rozmawiał KAZIMIERZ TARGOSZ**

Czego my w tym zoo nie jemy: karaluchy i szarańcza, krew, jogurt, karma dla kotów i odżywki dla wcześniaków

Najchętniej bym jadł mrówek. Jednak na moim wybiegu jest ich tyle, co kot napłakał. Gdyby moja dieta miała sprostować nazwie, to bym chyba z głodu skończył. Jem więc różne inne rzeczy. Zamiast mrówek dostaję suszone krewetki albo larwy żuków mączników, najczęściej karmię dla psów i kotów. Nie ma co narzekać. W latach 80. gorzej bywało. Dzień w dzień dostawałem tłusty rosół z kaszą i surową marchwią. My, mrówkojad, jesteśmy trochę jak ptaki: odprowadzamy wodę z organizmu nie przez nerki, tylko przez jelita. Ludzie, zanim się w tym połapali, myśleli, że cały czas mam rozwolnienie. Sam słyszałem, jak przyszedł raz taki jeden i zarządził: – Utwardzić mi kupę mrówkojada, bo paskudzi wybieg i wycieczki odstrasza.

No i zaczęło się. Jak mnie zaczęli tuczyć mielonym mięsem z miodem i mlekiem w proszku to zaraz zatęskniłem za tym rosołem z czasów stanu wojennego. A ludziom też się wtedy nie przelewało. Wszystko było na kartki, ja siorbałem tłusty rosół, a ludzie łykowali kubańskie pomarańcze sobie wyrwali. Przychodzili do zoo i przy mał-

Ludzie! Nie utwardzajcie mrówkojada

pich klatkach im ślina ciekła. Bo małpy miały banany nawet w czasach, gdy ludzie mogli kupić w sklepie co najwyżej ocet. Dzień nie przypadało po jednej trzeciej banana na małpę. Wszystko zagarniał najsilniejszy w stadzie, a reszta musiała chrupać marchew i kwaśne jabłka. Ten najsilniejszy, jak już zjadł te kawałki bananów, to potem jeszcze pieczołowicie przeżuwał skórki. A tym za szybko ślina jeszcze bardziej ciekła. Nie to co teraz. Owoców wszędzie w bród, z supermarketów zwożą małpom całe kartony przeterminowanych smakołyków. Żuć skórki? Teraz w klatce dla małp można się na nich najwyżej poślizgnąć.

Oj, pozmieniało się w naszym zoo. Kiedyś każdy marzył, żeby do jakiegoś zagranicznego ogrodu trafić. Wybiegi tam były większe, klatki przestronniejsze i mówili, że żyje się jak pączek w maśle. Żadne tam kasze, marchewki i jeden banan na całą rodzinę naczelnych, tylko pełen luksus. Jak byłś niedźwiedziem koala, to ci

nawet świeże eukaliptusowe liście samolotem przywozili.

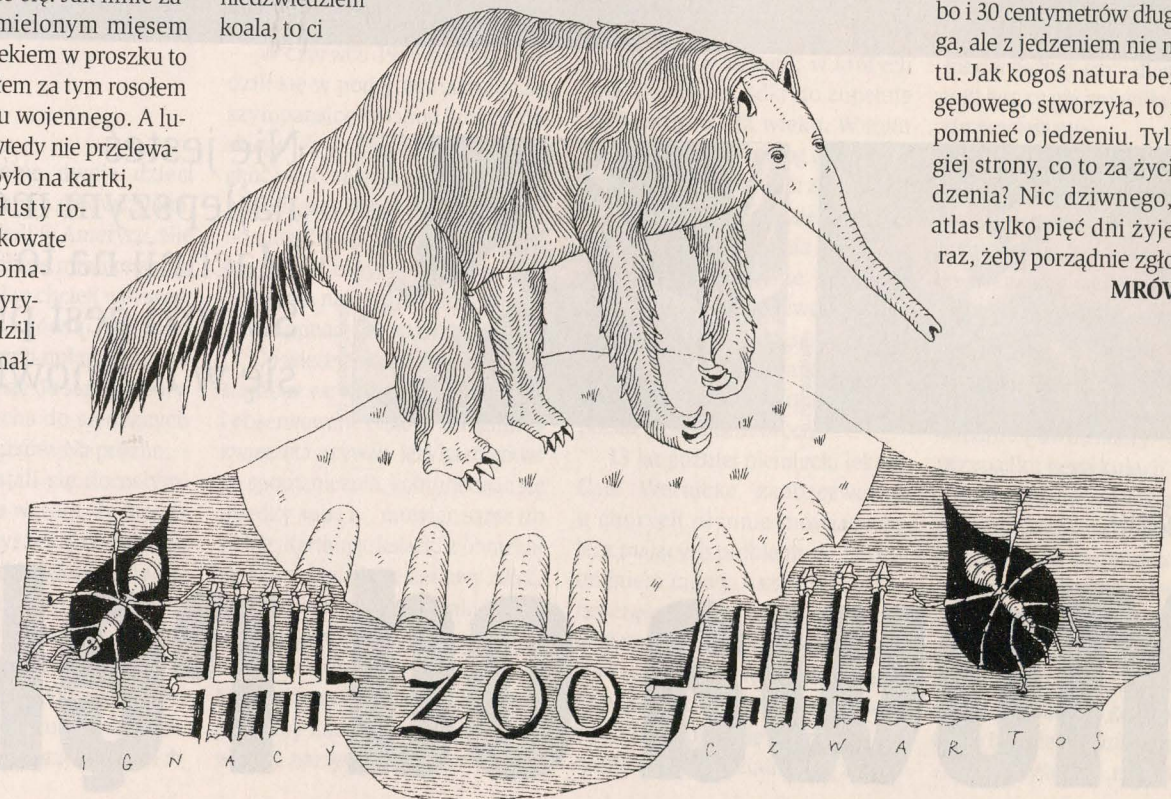
Teraz do naszego zoo różne takie z zagranicy ciągną. Weźmy choćby te węże, którym w Wiedniu padlinę jeść kazali. Wąż, wiadomo, smakosz, lubi sobie zapolewać i połknąć od czasu do czasu żywca mysz albo szczura. Ale zjadać żywca to podobno niehumanitarnie, czyli nie po ludzku. No więc wszystkie nie-ludzkie węże z Wiednia do nas się przeniosły. Tu może samolotami się smakołyków nie wozi, ale dadzą jeszcze zwierzęciu zapolewać, choćby w terrarium. Albo na wilczym wybiegu. Niby za kratami, ale od czasu do czasu wpuszczają tam trochę żywych gryzoni, żeby wilczęta mogły świeżą krew poczuć. Większe drapieżniki to chyba mają najgorzej. Im potrzebna jest sierść, skóra i wnętrzności ofiary, bo tam są witaminy. Taki tygrys na przykład przepada za dziczyzną. Co z tego, skoro na co dzień je koninę. Najgorzej to

mu świńskie mięso podchodzi. Wiadomo, za tuste. A obrastanie w tłuszcz może się źle skończyć. Kilka lat temu, jak wszystkiego zaczęło być pod dostatkiem, tak wilki karmili tłustą wieprzowiną, że aż jeden po drugim padać zaczęły.

Zwierzęta w naszym zoo są jak ludzie. Paskudne rzeczy jedzą. Weźmy takie małe torbacze, wolatuszki. Codziennie mieszanka jogurtu z miodem i odżywką dla wcześniaków. Albo tropikalne motyle. Wprost przepadają za zepsutymi bananami. Im piękniejszy motyl, tym bardziej zgniłe je banany.

Ptakom i gadom też trudno jedzenia nastarczyć. Założyli tu nawet taką hodowlę karaluchów, świerszczy i szarańczy, żeby było czym karmić całe to skrzeczące i syczące towarzystwo. Jak jeszcze dodam, że taki nietoperz wampir chłepcze konserwowaną krew, to już się całkiem do naszego zoo przychodzić odechciwa. Najlepiej na tym tle to chyba ćma atlas wychodzi. Niby kawał z niej motyla, bo i 30 centymetrów długości osiąga, ale z jedzeniem nie ma kłopotu. Jak kogoś natura bez otworu gębowego stworzyła, to może zapomnieć o jedzeniu. Tylko z drugiej strony, co to za życie bez jedzenia? Nic dziwnego, że ćma atlas tylko pięć dni żyje. W sam raz, żeby porządnie zgłodnieć.

MRÓWKOJAD





Nie jesteś
najlepszym mówcą?
Machnij na to ręką.
Szeroki gest przydaje
się w rozmowie

OLGA WOŹNIAK

Mowa od ręki

prób doszli wspólnie do wniosku, że najszybciej powiedzie im się z małpami.

Szympanś miga

Keith i Katharine Hayes przez sześć lat zdołali nauczyć szympansię Vicky wymawiania tylko czterech słów: *momma*, *poppa*, *up* i *cup* (mama, tata, w górę, kubek). Aby małpa opanowała właściwą artykulację, musieli własnoręcznie układać jej wargi. Po wielu trudach szympanśica nauczyła się tego sama. Nie na długo. Zwierzę bardzo szybko zapomniało, co powinno robić.

Dlaczego? W naturalnych dla siebie warunkach szympanasy są raczej milczące. W odróżnieniu od człowieka – który potrafi wypowiedzieć mniej więcej sto dźwięków – umieją wygenerować jedynie około dwunastu odgłosów.

Już się wydawało, że z dziecięcych marzeń nici, gdy Hayesowie poznali innych naukowców, których łączyło to samo pragnienie: pogadać ze zwierzętami. Allen i Beatrice Gardner z Uniwersytetu Nevada obejrzeli film o szympanśicy Vicky. Traf chciał, że nie włączyli głosu. Mimo to, obserwując gesty, jakie wykonywała Vicky przy wydawaniu dźwięków, byli w stanie ją zrozumieć. Doszli do wniosku, że kluczem do pogawędki z małpą jest inna mowa – gestykulacja.

W czerwcu 1966 roku utwierdzili się w podejrzeniach, ucząc szympansię Washoe amerykańskiego języka migowego. Washoe, choć najsłynniejsza, nie była szympansem geniuszem. Po niej nauczono mówić w języku migowym jeszcze wiele innych szympanśów, z których najbardziej zdolny opowiadał ponad 180 znaków.

Co więcej, okazało się, że pozostawione we własnym towarzystwie i obserwowane tylko przez kamery zwierzęta używały języka migowego spontanicznie, komunikując się między sobą i... mówiąc same do siebie. Kartkując książki z obrazkami czy przeglądając zestawy zdjęć, małpy składały ręce w znaki języka migowego symbolizujące przedmioty, które oglądały na obrazkach. Wszystkie uczone języka migowego małpy umiały również tworzyć własne nazwy dla widzianych po

raz pierwszy przedmiotów. Arbuz nazwały „cukierkowym napojem”, orzech – „kamienną śliwką”, kaczkę – „ptakiem wodnym”.

Ostatnie badania amerykańskich neuropsychologów dowodzą, że istnieje naukowe uzasadnienie zdolności językowych u małp naczelnych. Claudio Cantalupo i William D. Hopkins z Emory University w Atlancie poddali badaniu rezonansem magnetycznym mózgi 20 szympanśów, pięciu bonobo (szympanśów karłowatych) i dwóch goryli. Ustallili, że w małpich mózgach znajduje się region niezwykle podobny budową do tak zwanego pola 44. – części ośrodka Broca u człowieka. Ośrodek Broca mieści się w lewej półkuli i u ludzi odpowiada za składnię i artykulację języka. Różnica między budową tej części ludzkiego mózgu a analogicznym regionem u małp jest taka, że małpie pole 44. wygląda jak puzzle złożone z wielu drobnych części. Zauważono też, że u szympanśów ta część mózgu uaktywnia się, gdy zwierzęta chcą coś przekazać gestami.

Małpie mózgi są na takim etapie rozwoju, jaki ludzkie osiągnęły setki tysięcy lat temu. Być może więc ewolucja ludzkiej mowy rozpoczęła się właśnie od gestykulacji? Wiele na to wskazuje.

Wymowne pola

Miejsca w mózgu, w których mieszka mowa, odkryto zupełnie niedawno, w XIX wieku. W roku 1861 francuski neurolog Paul Broca badał pacjentów, którzy utracili możliwość mówienia, ale zachowali zdolność rozumienia słyszanej mowy. Stwierdził, że mają oni uszkodzoną część lewej półkuli mózgu. Obszar ten, sąsiadujący z korą ruchową, która kontroluje pracę mięśni ust i warg, nazwano później ośrodkiem Broca.

13 lat później niemiecki lekarz Carl Wernicke zaobserwował u chorych płynnie mówiących, lecz mających problemy ze zrozumieniem mowy, uszkodzenie innej części lewej półkuli, noszącej dziś nazwę ośrodka Wernickego. Pole to znajduje się w sąsiedztwie kory słuchowej. Po tych odkryciach lewą półkulę mózgu obarczono odpowiedzialnością za na-

sze zdolności językowe. Dlaczego jednak ośrodki mowy znajdują się w tym rejonie mózgu?

Mowa pojawiła się w historii gatunku ludzkiego stosunkowo niedawno – jakieś 40 tysięcy lat temu. Mózg zapewne już wcześniej zdążył przybrać z grubsza swój obecny kształt. Czy więc zdolność posługiwania się językiem zajęła miejsce jakiejś innej cennej umiejętności? Najnowsze badania zdają się wskazywać, że zanim zaczęliśmy gadać, porozumiewaliśmy się na migi. Ludzki język prawdopodobnie wyewoluował z gestów. A one do dziś ułatwiają nam porozumiewanie się i zapamiętywanie.

Usiedzieć na rękach

Próbowaliście kiedyś wytłumaczyć komuś coś skomplikowanego i nie używać przy tym rąk? Spróbujcie. Nie będzie to łatwe. I to wcale nie dla osoby, która was słucha, ale... dla was samych. Przekonali się o tym ochotnicy biorący udział w eksperymencie Jany Iverson z Uniwersytetu Indiana w Bloomington i Susan Goldin-Meadow z uniwersytetu w Chicago.

W doświadczeniu uczestniczyły 24 osoby – połowa niewidomych, połowa widzących, wszyscy w wieku 8-18 lat. Mieli przelać wodę z wąskiej i wysokiej menzurki do dużej płaskiej brytfanki, opisać słowami tę czynność, a na koniec wyjaśnić, czy i dlaczego objętość cieczy nie zmieniła się w trakcie przelewania.

– Za pomocą tego eksperymentu próbowałyśmy sprawdzić, po co ludziom gestykulacja. Wysłaliśmy z założenia, że mogą być jej dwa mechanizmy: nieświadomy i świadomy – opowiadały o eksperymencie badaczki. – Pierwszy to taki, jaki przyswajamy sobie wraz z mową, naśladując rodziców, a później bezwiednie powtarzamy. W drugim przypadku gestykulacji używamy z premedytacją – pomaga nam się porozumiewać, bo poszerza przekaz o nieujęte w słowach treści.

Opowiadając o przelewaniu wody, gestykulowali wszyscy widzący. Ale identycznie zachowywali się także niewidzący! A ci przecież nie mogli podpatrzeć gestów u rodziców – byli niewidomi od urodzenia. – Wysnułyśmy z tego wniosek,

że gestykulacja nie polega na prostym naśladowaniu – mówiła Jana Iverson. – Jej przyczyny muszą tkwić znacznie głębiej.

Gdzie? Aby to sprawdzić, badaczki przeprowadziły kolejny eksperyment. Poprosiły uczestników poprzedniego badania, by opowiedali o nim sobie nawzajem. Okazało się, że dla opowiadającego całkiem obojętne jest, czy ma przed sobą osobę widzącą, czy niewidomą! W obu przypadkach gestykuluje tak samo. – Myślałyśmy, że jeżeli gestykulacja nie wynika z naśladowania, może służyć przekazowi dodatkowych informacji – opowiadały Iverson i Goldin-Meadow. – Jednak jaki ma sens przekazywanie gestami informacji komuś, kto nie widzi? – zastanawiała się.



Na to pytanie odpowiedziało trzecie doświadczenie. Tym razem badani (sami widzący) mieli opowiedzieć treść komiksu w chwilę po jego przejrzeniu oraz dwa dni później. Uczestników podzielono na dwie grupy. Ci z pierwszej musieli podczas opowiadania siedzieć na swoich dłoniach, ci z drugiej mogli machać nimi do woli.

– Osoby, które relacjonowały na gorąco z unieruchomionymi rękami, dwa dni później pamiętały o około 30 proc. mniej szczegółów w porównaniu z tymi z grupy kontrolnej – mówi Iverson. Wygląda na to, że gestykulacja poprawiała u nich zdolność zapamiętywania opisywanej właśnie sytuacji.

Do tej pory sądzono, że największą korzyść z gestykulacji ma nie nadawca, ale odbiorca komunikatu. – Teraz okazuje się, że służy ona głównie mówcy: już podczas wypowiadania przetwarza on informacje, przez co łatwiej mu je potem zapamiętać – uważa Elizabeth Bates z Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Diego. Zależność pomiędzy gestykulacją a mową może wynikać z budowy mózgu. Język mó-

wiony prawdopodobnie wykształcił się z języka gestów. Dlatego często jeden towarzyszy drugiemu.

Machanie na zawołanie

Co więcej, jeden ułatwia nauczanie się drugiego! Dlatego, uważają psycholodzy, nie mają racji matki każące opowiadającym coś dzieciom trzymać ręce „grzecznie” przy sobie. Wręcz przeciwnie – powinni zachęcać je do gestykulacji. To naturalny sposób „oswajania” języka. Okazało się nawet, że już niemowlaki, zanim zaczną wydawać artykułowane dźwięki, gadają za pomocą rąk.

Do niedawna za początek rozwoju mowy u dzieci brano gaworzenie. Najnowsze badania wskazują jednak, że dzieci uczą się mowy dzięki temu, że od urodzenia wyczuwane są na bardzo specyficzne naturalne rytmy języka. Niemowlę potrafi odtworzyć je poprzez ruch rąk. Tak właśnie zaczyna przyswajając mowę.

Prof. Laura Ann Petitto, psycholog z amerykańskiego Dartmouth



College razem z neurolingwistami z kanadyjskiego Uniwersytetu McGill zbadała gestykulację niemowląt, których rodzice byli głusi i posługiwali się językiem migowym, oraz dzieci rodziców słyszących. – Dzieci głuchoniemych rodziców gestykulują na dwa sposoby. Raz wolniej i mniej zamasyście, trzymając rączki tuż przed sobą. Innym razem ruchy ich rąk są szybsze i mają większy zasięg – stwierdziła po zakończeniu eksperymentu. W obu przypadkach ta gestykulacja układa się w pewien system. U dzieci rodziców normalnie słyszących występuje tylko szybszy jej rodzaj. Oba mają znaczenie lingwistyczne.

Pierwszy rodzaj ruchów oddaje rytym języka migowego, którym po-

sługują się głuchoniemi rodzice, drugi to rytm języka mówionego. – To takie gaworzenie, tylko za pomocą rąk – twierdzi badaczka. Drugi rytm jest tak silnie odbierany przez dzieci, że wychwytyują one i naśladują go, nawet gdy są pozbawione wokalnej stymulacji ze strony rodziców. Wystarczy im krótki, nawet przypadkowy, kontakt z mówiącą osobą.

Odkrycie, że gestykulacja pomaga dzieciom w przyswojeniu naturalnego języka, potwierdzają także naukowcy z Penn State University w USA. – Słyszzące dzieci, które uczą się migowego języka głuchoniemych, łatwiej i wcześniej porozumiewają się z rodzicami. Także nauka języka mówionego przychodzi im łatwiej – twierdzą.



Pogadać z niemowlakiem

Małe dzieci mają tendencję do eksperymentowania ze swoimi rękami – ruszają nimi, dotykają jedną drugiej, chwytają przedmioty. To rozwija współdziałanie ręki i mózgu. W przypadku dzieci głuchych od urodzenia język migowy jest sposobem rozwinięcia „wewnętrznego języka”, dzięki któremu potrafią później nauczyć się czytać z ruchu warg, mówić (choć nie słyszą, co mówią) czy interpretować dźwięki, gdy zostanie im wszczepione „sztuczne ucho” – implant ślimakowy.

– Język gestów używany przez głuchoniemych jest dla dzieci o wiele bardziej „fizjologiczny” niż na przykład angielski – twierdzi prof. Marilyn Daniels z Penn State University. Nauka mowy, pisanie i czytania zabiera lata, natomiast języka gestów można się nauczyć bez większego wysiłku. Dowodzą tego długoletnie obserwacje prowadzone przez prof. Daniels.

Wbrew obawom taki sposób porozumiewania nie tylko nie szkodzi nauki zwykłej mowy, ale

wręcz poprawia wyniki. Na przykład matka dziewięciomiesięcznego chłopca, który ciągle płakał, nauczyła go kilku prostych znaków: „proszę”, „jeść”, „pić”. Po trzech miesiącach sam nauczył się pokazywać, kiedy jest gotowy do kąpieli, czy chciałby się pobawić itp. Mając ponad rok, znał więcej słów „miganych” niż mówionych. W wieku dwóch lat i czterech miesięcy nie tylko potrafił się bardzo dobrze posługiwać językiem mówionym, lecz także zaczął uczyć języka migowego sześciotygodniową siostrzyczkę.

Dzieci znające oba języki, mówiony i migowy, stają się pewniejsze siebie i lepiej zapamiętują – stwierdzili naukowcy, badając dalekie przypadki.

Język? Na lewo

Nic dziwnego, skoro, jak się okazuje, języki migowy i mówiony obsługiwane są w mózgu przez te same ośrodki. Wczesne pobudzanie powoduje lepsze ich wykształcenie.



Wiele osób uważa, że język migowy jest zbiorem przypadkowych gestów – nic bardziej błędnego! Każdy język naturalny ma swój odpowiednik w miganiu. Języki migowe używane w różnych krajach znacznie się od siebie różnią (dlatego na przykład głuchoniemi Brytyjczycy nie mogą porozumieć się z takimiż Amerykanami). Wszystkie rządzą się dość skomplikowanymi regułami gramatycznymi. O ile o języku mówionym nauka wie już całkiem sporo, o tyle całkiem niedawno zajęła się badaniem, jak mózg radzi sobie z językiem migowym.

Naukowcy przyjmowali za oczywiste, że skoro w języku migowym informacje przekazywane są za pomocą symboli i ruchów rąk – czyli wymagają odbioru wzrokowego – za ich rozumienie

odpowiada prawa półkula mózgu, odpowiedzialna za analizę wzrokowo-przestrzenną. Zmienili zdanie, gdy zaczęli badać ludzi głuchoniemych, którzy doznali uszkodzenia lewej półkuli mózgu (na przykład na skutek wylewu).

Powszechnie wiadomo, że takie uszkodzenia u ludzi mówiących i słyszących prowadzą do zaburzeń zwanych afazją – kłopotów z mówieniem i rozumieniem mowy. U ludzi niesłyszących nie powinny więc wpływać na sposób porozumiewania się. Okazało się inaczej.

– Ten problem zaczęliśmy badać w latach 80. – relacjonują w piśmie „Scientific American” Gregory Hicko, Ursula Bellugi i Edward S. Klima, amerykańscy naukowcy zajmujący się neurofizjologią języka migowego. – Okazało się, że u ludzi niesłyszących z uszkodzeniem lewej półkuli mózgu występują objawy afazji takie jak u ludzi, którzy posługują się językiem fonicznym: upośledzenie ekspresji języka migowego i brak rozumienia migania innych osób. Lewa półkula odgrywa więc kluczową rolę w komunikacji zarówno za pomocą języka migowego, jak i fonicznego.

Pomówmy o mowie

Choć, jak się okazuje, gestykulowaliśmy od dawna, naukowcy skojarzyli ten fakt z mową dopiero w roku 1972. Przyjęli wtedy, że ruchy rąk służą nam między innymi do zaakcentowania fragmentu wypowiedzi, wskazywania ludzi lub przedmiotów, czy też zilustrowania kształtów i rozmiarów, zwłaszcza gdy trudno je wyrazić słowami.

W świetle dzisiejszych badań można zaryzykować twierdzenie, że machanie rękami przy mówieniu pozostało nam z czasów, gdy umieliśmy porozumiewać się tylko na migi. Tę umiejętność posiadają dziś małpy naczelne – nie tylko te uczone języka migowego przez naukowców. Także na wolności mają one bogaty słownik gestów, którymi przekazują sobie informacje.

Ale skoro małpy ewoluują, to może tak jak my opanują wreszcie sztukę mówienia? Na razie skutecznie się od tego migają. Dlaczego? Może za kilkaset tysięcy lat powiedzą.

OLGA WOŹNIAK

MARZENNA NOWAKOWSKA I PIOTR SOCHA przedstawiają:

KOŃ BY SIĘ UŚMIAŁ

ŻOŁĘDZIE DO SSANIA

Jest taki kraj, gdzie małpy biorą gorące kąpiele, a smoczki dojrzewają na dębach

Ten kraj to Japonia. Występujące tam makaki, małpy o czerwonych twarzach i szarym, gęstym futrze, żyją w stadach. Znane są między innymi z tego, że zimą – gdy wokół leży śnieg – dorośli moczą się w gorących źródłach, a dzieci harują na brzegu, tocząc białe kule. Zachowanie tych zwierząt naukowcy obserwują od lat. A jednak poczynania pewnej samicy mieszkającej na zboczach góry Kuniwari na wyspie Yakushima zrobiły na nich ogromne wrażenie.

Było tak: Samica czyściła futro swej 18-miesięcznej córeczki, która odprężona i zadowolona z życia leżała w jej objęciach. Nic więc dziwnego, że kiedy mama przerwała iskanie, by ją z kolei mógł poiskać miły samiec, dziecko zaczęło krzyczeć wniebogłosy. Przez minutę. Matka tymczasem poddawała się czyszczeniu, ale równocześnie gorączkowo szukała czegoś wokół. Wreszcie trafiła na owoc dębu. Chwytała żołądź i wcisnęła w usta córeczki, jak ludzkie mamy wciskają smoczki. Podziało! Z początku maluch jeszcze pojękiwał, ale zasmakował w zabawce, która okazała się nie tylko fajna w całości, lecz także



dała się żuć, a w końcu zjeść. Zanim małpiątko przełknęło ostatni kawałek, zaczęło samo przebieierać palcami po swoim futrze. I tak się grzecznie bawiło, czekając, aż samiec skończy iskać mamę. Cóż – zachowania makaków okazują się tak ludzkie, że aż chciałoby się poplotkować o dzieciach... z małpą.

Na podstawie „Primates” z kwietnia 2001

GEKON PO PROŚBIE

Jaszczurki tańczą dla owadów. Proszą w ten sposób, by skrzydlate zwierzątka pozwoliły się polizać. Gdzie? Wstyd powiedzieć!

Na widok owadów gekony zazwyczaj oblizują się ze smakiem, bo to jaszczurki owadożerne. Lubią też kwiatowy nektar i pyłek. A pewien gatunek na Ma-



dagaskarze przekonał się, że doskonałym uzupełnieniem diety jest spadź – złocisty, gęsty płyn zwany też rosą miodową, wydany przez niektóre pluskwiaki (m.in. mszyce i czerwce). Ludzie zjadają się nią w miodach spadziowych, kolibry i małpy zlizują ją z liści. Do tej pory wydawało się, że u źródła – a więc wprost z pupy mszyc zwanej poprawnie odwłokiem – zdobywają tę słodką rosę tylko mrówki. Tymczasem okazało się, że na Madagaskarze nauczyły się tego także gekony.

Jaszczurka musi najpierw dogadać się z różowym pluskwiakiem atakującym drzewa. Jej argumentem jest wdzięczny taniec: zbliża się do kolonii owadów, wolno przestępując z łapy na łapę i wprawiając głowę w drżenie. Co jakiś czas pochyla się i dotyka nią kory, która także zaczyna drżeć. Gorący rytm dociera do pluskwiaka, który już czeka na gekona i gdy ten się zbliży, przypieczetowuje zgodę, tanecznie wywijając odwłokiem. Wówczas jaszczurka nachyla się tuż-tuż za skrzydełkami i na jej nosie ląduje słodka kropelka, którą natychmiast zlizuje. Z prośbami zwraca się do kolejnych owadów, aż napelni żołądek. I wcale nie wygląda, jakby się tego wstydziła. Zapewne w środowisku gekonów lizanie kogoś po tyłku nie przynosi żadnej ujemy.

Na podstawie „Journal of Natural History” z lutego 2001

Zakrecona

Siłowałaś się kiedyś z zakrętką słoika? Większość twistów zakrecono z siłą trzy razy przekraczającą możliwości naszych rąk

Życie dziennikarza nie jest lekkie. Rano – kawa po zarwanej nocy (na wczoraj trzeba było oddać artykuł). W nocy też kawa – bo trzeba jakoś doczekać do rana. Przychodzi do redakcji – dla odmiany herbata, bo kolejna kawa to już jednak przesada. Kiedy więc wśród moich redakcyjnych kolegów zapanała moda na dodawanie do herbaty soku malinowego, uznałam, że warto zadbać o zdrowie i wypić trochę witamin.

Zamiast kolejnej kawy w południe udałam się na poszukiwanie rzeczowego soku do redakcyjnej kuchni. Sok był. Całkiem nowa butelka. Jednak dostać się do niego mogłam jedynie z pomocą jednego z moich silniejszych kolegów. Jak się okazuje – problem z otwarciem butelki był dość powszechny wśród żeńskiego personelu redakcji.

W tej sytuacji po raz kolejny powróciła do mnie wątpliwość, która pojawia się zawsze, gdy próbuję otworzyć fabrycznie zakrecony słoik z jakimiś przetworami (jestem osobą pochłoniętą pracą zawodową i przetwory kupuję w sklepie). Czy słoiki, z którymi jednak według statystyk najczęściej mają do czynienia kobiety, zakrecają mężczyźni? Dlaczego nie można zakrecać ich z taką siłą, by z otwarciem poradziła sobie nawet drobna i niezbyt silna kobieta?

Okazuje się, że nie byłam osamotniona w moich wątpliwościach. Banalnym z pozoru problemem od jakiegoś czasu zajmuje się poważna nauka.

Czy badacze z Technische Universiteit Delft w Holandii do badań nad tym zagadnieniem zmotyw-

wały ich żony szamocące się z pozakreconymi słoikami? Nie wiem. Dość, że postanowili rozwiązać problem. W tym celu zgromadzili 750 ochotników i kazali im się zmagać z odkręcaniem twistów. Ochotnicy byli w różnym wieku i różnej płci – badano, jakiej siły muszą użyć, by odkręcić standardowy słoik z dżemem. Następnie wyliczono średnią i wyszło, że pokrywkę, aby była szczelna, a jedno-

cznie możliwa do odkręcenia dla wszystkich, powinno się zakręcić z siłą nie większą niż dwa niutometry (2 Nm).

Dowiedziawszy się o tym, podążyłam do redakcyjnej kuchni, by sprawdzić rzecz empirycznie. Akurat jedna z moich redakcyjnych koleżanek siłowała się tam z sokiem malinowym. Powiedziałam jej o odkryciu, ta jednak spojrzała na mnie niepewnie i zapytała: „Czy ja też mam takie dwa niutometry?” (nie napiszę, z jakiego była działu – obiecałam). Jako dziennikarka naukowa powinnam umieć jej odpowiedzieć na pytanie, czym są niutometry i czy każdy ma chociaż dwa.

Sprawa zaczęła się komplikować. Jak bowiem wytłumaczyć koleżance, że niutometr to jednostka, w której mierzy się moment siły? Liczbę niutometrów oblicza się, mnożąc wartość siły (czytacie to jeszcze?) przyłożonej do przedmiotu przez jej ramię. Hmmm...

Najprościej ująć to tak: jeśli chwycę pokrywkę słoika w kilku punktach (pięcioma palcami) i za-

działam na nią określoną siłą w określonym kierunku, to pokrywka zacznie się obracać (to znaczy, że moment siły powoduje ruch obrotowy przedmiotu). Gdy moment siły dla pokrywki słoika z dżemem wyniesie dwa niutometry (2 Nm), uda mi się dostać do dżemu bez większego wysiłku. Najczęściej jednak owe 2 Nm nie wystarczają. Dlaczego? Postanowiłam przeprowadzić dochodzenie.

Zadzwoiłam do Agrosu. To wielka firma produkująca dżemy i soki (aczkolwiek wspomniany wyżej sok malinowy nie jest jej produktem). Zakręcanie słoików to dla nich codzienność.

Odebrała miła pani. Moje pytanie nieco ją zdziwiło, ale skierowała mnie do „osoby kompetentnej”. Okazał się nią być szef technologii z oddziału Agrosu w Łowiczu Andrzej Wesołowski.

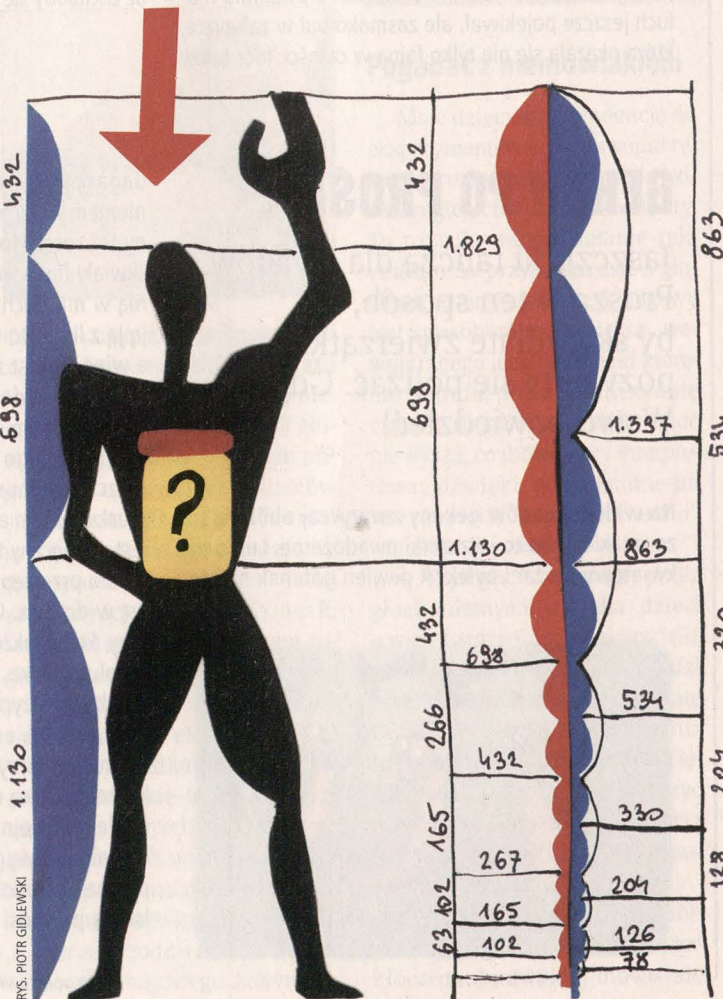
Odpowiedział wyczerpująco: – W Polsce są normy dotyczące maksymalnego momentu siły otwierania słoików (podane w Nm). Określa je – na podstawie naukowych badań i ankiet – Polski Komitet Normalizacyjny. Zakłady produkujące przetwory nie muszą się do nich stosować, ale powinny. Biorąc pod uwagę, że zakrętki mają różne średnice, różne są też normy dla odmiennych wielkości. Jednak dla średnicy 63 mm (taką zakrętkę ma standardowy słoik dżemu) Komitet Normalizacji określił, że moment siły otwarcia wynosi 6,7 Nm.

Jak zapewnił mnie pan Wesołowski, zakład Agros-Fortuna w Łowiczu stosuje się do wyżej wymienionej.

Czy teraz można się dziwić? Nie udało mi się dowiedzieć, na podstawie jakich doświadczeń i badań Polski Komitet Normalizacyjny określił taką normę. Dla mnie jest jednak z pewnością za duża (prawie trzykrotnie przekracza wynik holenderskich naukowców!). A do tego, pamiętajmy, sama siła zakręcenia pokrywki to jeszcze nie wszystko. – Istotną rolę w otwarciu słoika odgrywa też wielkość podciśnienia, jakie wytwarza się w opakowaniu... – pouczył mnie Andrzej Wesołowski.

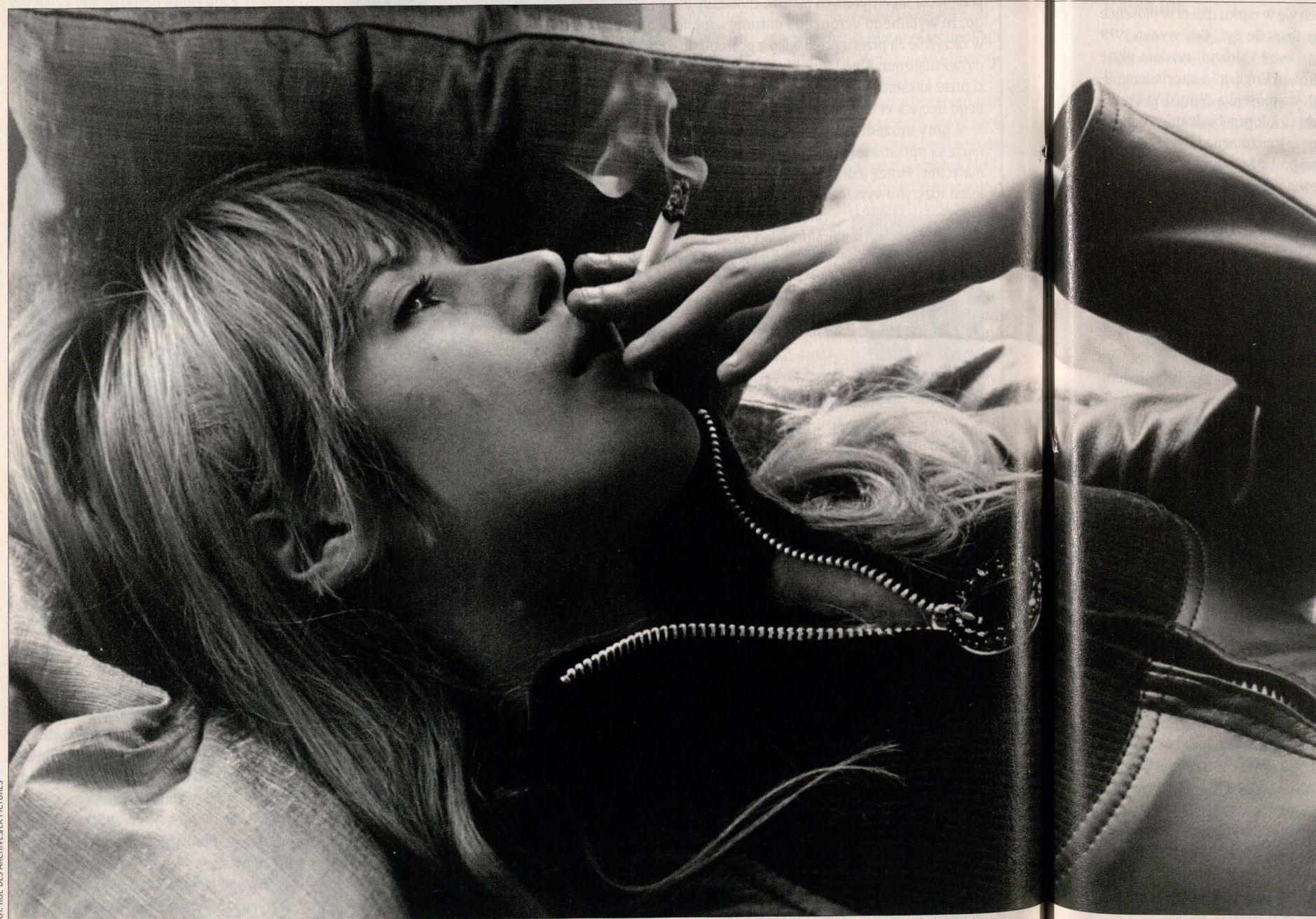
Uff... Trochę tego za wiele. Lepiej po prostu napić się kawy.

OLGA WOŹNIAK



Marianne,

czyli niedole niecnoty



FOT. RUE DES ARCHIVES/PICTURES

„Urodzona w roku 1946. Piosenkarka. Żyła bez hamulców, aż do końca” – tak mogłoby wyglądać epitafium **Marianne Faithfull**. Artystka jednak zagrała asa z rękawa i przeżyła. 17 marca wystąpi we Wrocławiu na Przeglądzie Piosenki Aktorskiej

FILIP ŁOBODZIŃSKI

Pierwsze rozdanie

„Śmiechy dzieci płyną w dal / a mnie jest żal / i czuję, jak mi płyną łzy” („As Tears Go By”, 1964) – gorzkie łzy, gorzkie słowa. A śpiewała je 17-letnia dorodna blondynka, istny anioł. Marianne miała w każdym razie zadatki na anioła: nieskazitelna uroda (może troszkę zbyt zmysłowa...), niewinne spojrzenie (może trochę zbyt dwuznaczne...), ukończona katolicka szkoła zakonna (może trochę na przekór temperamentowi...), duża kultura literacka (może tylko za dużo książek „niewłaściwych”: Céline, de Sade, Kafka, Wilde, Bułhakow...).

Czy nad Marianne Faithfull wisiało przekleństwo genetyczne? Nie każdy przecież rodzi się potomkiem słynnego Leopolda von Sacher-Masocha, barona ze Lwowa, autora powieści „Wenus w futrach” opisującej niewolniczą miłość mężczyzny do władczej kobiety. Do odzianej w futra Wenus wrócimy, tu tylko nadmienimy, że powieść austriackiego pisarza zainspirowała psychiatrów do ukucia terminu „masochizm”. Czasami, patrząc na biografię Faithfull, można by ją o masochizm podejrzewać – przeszła wiele. Jednakże nie wszystko na własną prośbę.

Spóźniła się na Dzień Niewiniątek (28 grudnia Kościół upamiętnia rzeź dokonaną przez króla Heroda na noworodkach), urodziła się w Londynie nazajutrz, 29 grudnia. Matka, rozpieszczona arystokratka austriacka, źle znosiła małżeństwo z brytyjskim profesorem językoznawstwa i eks-spiegiem. Z dala od rodzinnego Wiednia, pośród an-

gielskich łąk, zaniedbywała się jako księżniczka. Gdy Marianne miała sześć lat, związek matki z profesorem Faithfullem rozpadł się i stanęły obie wobec widma biedoty. Dlatego Marianne uczyła się przy klasztorze św. Józefa w mieście Reading (jeden z jej idoli, Oscar Wilde, zasmakował tutejszego życia więziennego) – na inną dobrą szkołę dla córki zubożała baronowa nie mogła sobie pozwolić.

Szkoła zakonna – wiadomo. Rodząca się dojrzałość nie ma okazji oswoić się z magnetyzmem płci przeciwnej. Niepokoję wieku rozkwitania znalazły upust w marzeniach podsycanych czytaniem ukradkiem literaturą nieobyczajną. Marianne odkryła też wielką potrzebę występowania. Udzielała się w teatrzykach amatorskich, a także barach, gdzie śpiewała głównie amerykańskie ballady. Któregoś dnia na balu poznała przystojnego studenta z Oksfordu Johna Dunbara, również uzdolnionego muzyka. „Zauroczył mnie i trochę przeraził: rozprawił dużo o samobójstwie. Wymyślił sobie, że będę jego żoną. Pomyślałam, że może to opóźni jego samobójstwo...” – wspominała po latach. Wkrótce razem czmychnęli do Londynu. A tam na Marianne czekał geniusz zarabiania pieniędzy w postaci Andrew Looga Oldhama, menedżera samych Rolling Stonesów.

Oldham zobaczył na jakimś przyjęciu „anioła z dużym biustem” i bez wahania zaproponował Marianne karierę piosenkarki. Mick Jagger i Keith Richards, twórcy repertuaru Stonesów, w ekspresowym tempie przygotowali piosenkę „As Tears Go By”. Nos nie zawiódł

Oldhama: płytka Marianne, wydana latem roku 1964, zawędrowała do pierwszej dziesiątki brytyjskiej listy przebojów. Dziwne tylko, że tak pesymistyczna ballada wyszła z rąk rockandrollowych hedonistów, a wyspiewała ją niewinnym głosem jasnowłose dziewczę. Prawdziwy sens piosenki zabrzmiał na koncertach ćwierć wieku później. Ale to będzie inna Faithfull, inny głos, inna epoka.

Dziesiątka kier

„Leżę tu pośród szpitalnych ścian / Hej, Siostry Morfino, kiedy znajdziesz dla mnie czas? / Kuzynko Kokaino, na mą głowę ześlij chłód / Hej, Siostry Morfino, ona wygląda już jak trup...” („Sister Morphine”, 1969). Minął czas anioła, za Marianne ciągnie się zdecydowanie zszargana opinia. Marianne ma wciąż w ręku mocne karty, ale żadna nie jest biorąca.

Najpierw była nieoczekiwana ciąża. Ojcem małego Nicholasa był poślubiony w roku 1965 Dunbar. Tyle że młoda piosenkarka nie czuła szczególnego przywiązania do cnoty wierności. Jak sama twierdzi w autobiografii, zaliczyła łóżka niemal wszystkich Stonesów, zanim wytypowała wokalistę zespołu na swego partnera. Ale taki był swingujący Londyn: wszyscy spali z wszystkimi, a życie miało smak LSD. Przespania się z muzykami rockowymi (oraz narzeczoną jednego z nich i żoną innego) nie będzie my uważać za ewenement. Z pewnością za większą sztukę trzeba uznać zaciągnięcie Rolling Stonesów do opery i na występy słynnego tancerza Rudolfa Nurejewa.



FOT. JOHN KELLY CAMERA PRESSBILLS

Zwiąawszy się z Mickiem Jaggerem, przestała odnosić sukcesy na listach przebojów

Faithfull chciała być muzą Dunbara, stała się preceptorką Jaggera.

Wokalista, nawiasem mówiąc, zachował się wobec niej bardzo porządnie. Jak nie rockandrollowiec. Właściwie to on zajmował się małym Nicholasem, sam proponował dziewczynie małżeństwo, on też wziął winę na siebie, gdy policjanci znaleźli w żakiecie Marianne narkotyki. Do wydarzenia doszło w lutym roku 1967, a okazało się tak brzemienne w skutki, że należy je przypomnieć. Zespół był od jakiegoś czasu na celowniku bulwarowej prasy. Któregoś dnia w otoczeniu Stonesów pojawił się prowokator z walizką pełną zakazanych substancji. Podczas wesółego weekendu w pewnym momencie do domu Richardsa, gdzie bawiło się całe towarzystwo, zapukała policja z nakazem rewizji. Marianne akurat była świeżo po kąpieli, a ponieważ uprała też spodnie i koszulę, siedziała owinięta w futrzany dywan. Gdy jedna z policjantek sposobila się do rewizji osobistej, „Wenus” rozchyliła futra, by pokazać wszystkim licznie zebranym, że nie ma nic przy i na sobie. O ile jednak zespołowi cały incydent przysporzył dodatkowego splendoru bohemy, o tyle reputacja Marianne mocno ucierpiała.

Charakterystyczne też, że zwiąawszy się z Jaggerem (do formalnego ślubu jednak nie doszło), przestała odnosić sukcesy na listach przebojów. Do czasu wspomnianej rewizji zdążyła wydać sześć płyt, ale uwagę publiczności przyciągały jej zdecydowanie poza-

artystyczne występy. Stopniowo narkotyki przejęły niemal całkowitą kontrolę nad dziewczyną, która jeszcze do niedawna bywała piosenkarką, a teraz przeistoczyła się w straceńca bez zahamowań. Rezultatem tej drogi przez obłąd jest piosenka „Sister Morphine”,



FOT. CORBIS/REX

której muzykę napisali Jagger i Richards, ale słowa niemal w całości są introspektywnym dziełem Marianne. Wytwórnia Decca szybko wycofała tę płytkę ze sklepów. „Nie chcieli, żebym zatruwała umysły młodzieży. Dwa lata później, kiedy Stonesi nagrali tę samą piosenkę, nikt nie robił rabanu...” – mówi dziś z goryczą.

Droga od „Siostry Morfiny” prowadziła już tylko w dół.

As treffi

„Czemuś zrobił to – mówi – czemu ta suka ma / prawo druta ci ciągnąć, brać mój hasz?” („Why’d Ya Do It”, 1979) – ach, gdzie się podział anioł, co łkał na widok bawiających się w parku dzieci w piosence „As Tears Go By”? Gdy w roku 1979 Marianne Faithfull wydała płytę „Broken English” z zacytowaną finałową piosenką „Why’d Ya Do It”, było to jak przebudzenie ze złego snu w koszmarnej jawę. O dziwo, z tej próby Marianne wyszła okaleczona, ale z silną kartą w zanzardzu. Przemówiła pełnym głosem.

Przyszło jej nań zapracować. Lata poniewierki w przytułkach dla bezdomnych, śpiączki narkotyczne, rozpoczynane i przerywane odwyki wytarły aksamit z jej dziewczęcego głosu. W ustach Marianne pojawił się ochrypły, niski skowyt. „Jak zdołałam przetrwać lata siedemdziesiąte? To wielka tajemnica dla mnie samej. Cud, że przeżyłam”.

Tuż przed pojawieniem się „Broken English” na rynku Marianne miała *déjà vu*. Dawno temu marzyła, by wskoczyć idolowi młodości, Bobowi Dylanowi, do łóżka, kiedy jednak w końcu zaproponował jej bliższą znajomość, stremona wymówiła się ciążą. Musiała za to wysłuchać szczegółowej opowieści Dylana o jego najnowszych utworach. Teraz, kilkanaście lat później, to ona siedzi naprzeciwko muzyka i opowiada mu z zapalem o każdej piosence z „Broken English”. Mistrz słucha oczarowany.

„Ta płyta rozerwała pajęczynę, którą byłam spowita, i zrobiła ze mnie prawdziwą artystkę. Gdyby nie ona, wpadłabym w obłąd, może poderżnąłabym sobie gardło”.

◀ Lata poniewierki wytarły aksamit z jej dziewczęcego głosu

Trzeba oddać sprawiedliwość, że jej sezon w piekle nie był do końca stracony. Najpierw, jeszcze w latach 60., zadebiutowała w kinie, między innymi u Jeana-Luca Godarda. Potem przyszły także role teatralne, z których najważniejsza to szekspirowska Ofelia. Kiedy jednak w roku 1970 rozpadł się jej związek z Jaggerem, wydawało się, że odpływa ostatnia szalupa ratunkowa. W perspektywie majaczyło dno. „Broken English” nie oznaczał wcale końca narkotycznej nocy, niewątpliwie jednak na horyzoncie różowił się świt. Marianne mogła przystąpić do decydującej rozgrywki.

Dama pik

„Každy całować mnie dziś w krocze chce / dotrzeć tam, gdzie Bóg wie ilu było już / nie jestem metresa ani dziwką, tylko jedną z muz” („Sliding Through Life on Charm”, 2002) – to słowa z wydanej właśnie płyty „Kissin Time”, którą Marianne promuje także wrocławski koncert. Jest świadomą własnej wartości damą pik, damą nieco szaloną, ale silną.

Już nie jest aniołem, ale jakaś dobra istota musi jej pilnować. Inaczej Marianne nie zdołałaby wydobyć się ostatecznie z nałogu. Inaczej nie nagrałaby przedwojennego standardu „Falling in Love Again” („Ich bin von Kopf bis Fuss auf Liebe eingestellt”) w taki sposób, że można na moment zapo-

mnąć o wzorcowym wykonaniu Marleny Dietrich. Inaczej nie wydałaby fascynującej płyty z songami Kurta Weilla i Bertolta Brechta „The Seven Deadly Sins”. Inaczej Patrice Chéreau nie napisałby specjalnie dla niej roli Betty w swoim słynnym filmie „Intymność”. Inaczej nie namówiłaby do współpracy nad „Kissin Time” tylu muzyków ze światowej czołówki.

Mimo że głos ma wciąż niski i zszarzały, jest w nim coś magicznego. Gdy przeszła w roku 1985 ostateczną kurację odwykową, zaginiono ją, by przemawiała do innych pacjentów, bo barwa jej głosu działała na nich uspokajająco. A jednak gdy słuchamy w jej wykonaniu ballady Leonarda Cohena, pieśni Weilla czy jej własnych piosenek, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że mówi do nas ktoś, kto wrócił z drugiego brzegu Styksu.

Faithfull czuje powinowactwo z wieloma mrocznymi damami rocka. Na najnowszej płycie składa hołd zmarłej przed laty innej *femme fatale*, Nico. Najwybitniejsza autorka amerykańskiej muzyki niezależnej Patti Smith uczyniła Marianne bohaterką swego wiersza. Zaś kolejną swoją płytę Faithfull zamierza nagrać we współpracy z Polly Jean Harvey, wokalistką namiętnie odkrywającą posępne sfery kobiecej seksualności.

Stolik czeka. Karty idą do tasowania. Marianne Faithfull zapala papierosa i wyjmuję z rękawa kolejne asy.

FILIP ŁOBODZIŃSKI



© POMATON

Szczera płyta

Metoda jest prosta: wystarczy zaprosić maksymalnie dużo sławnych gości, by przyjęcie można było zaliczyć do udanych. Podobnie postąpiła angielska artystka. Od znanych, a niebanalnych nazwisk naprawdę kręci się w głowie: Billy Corgan, Damon Albarn, Dave Stewart, Beck Hansen, Jarvis Cocker... Jak można się spodziewać, przedsięwzięcie jest nierówne, ale ze wskazaniem na „tak”. Niekiedy zionie lekką nudą, którą jednak szybko rozwiewa interesująca, całkiem współczesna propozycja. Trudno byłoby jednoznacznie określić „Kissin Time” według norm stylistycznych. Wiadomo jednak, że nawet tam, gdzie odzywa się elektronika, mamy do czynienia z dziełem sporządzonym wedle odwiecznych reguł sztuki. W postaci płyty dostajemy do rąk szczere świadectwo, w którym autentyzm walczy o lepsze z artystem. Ballady Faithfull mają po prostu sens.

FL

Marianne Faithfull „Kissin Time”, Virgin 2002

43 mm



1 MODUŁ

Już wkrótce w „Przekroju” nowe, tańsze, ogłoszenia modułowe, które możesz:

– zamówić już za 600 zł,
– dowolnie powiększać, łącząc moduły,
– zlecić nam do zaprojektowania lub przysłać gotowe

PRZE
KRÓJ

UWAGA

CENNIK:

1 MODUŁ	600 zł
2 MODUŁY	1200 zł
3 MODUŁY	1800 zł
4 MODUŁY	zgodnij lub negocjuj

do cen należy doliczyć podatek VAT – 22%

Szczegółowych informacji udziela:
Wydawnictwo Edipresse Polska SA
Biuro Reklamy „Przekrój”, ul. Wiejska 12
00-490 Warszawa
tel./faks (0-prefiks-22) 627 23 09, 626 96 17
e-mail: reklama.przekroj@edipresse.pl

90 mm

35 mm

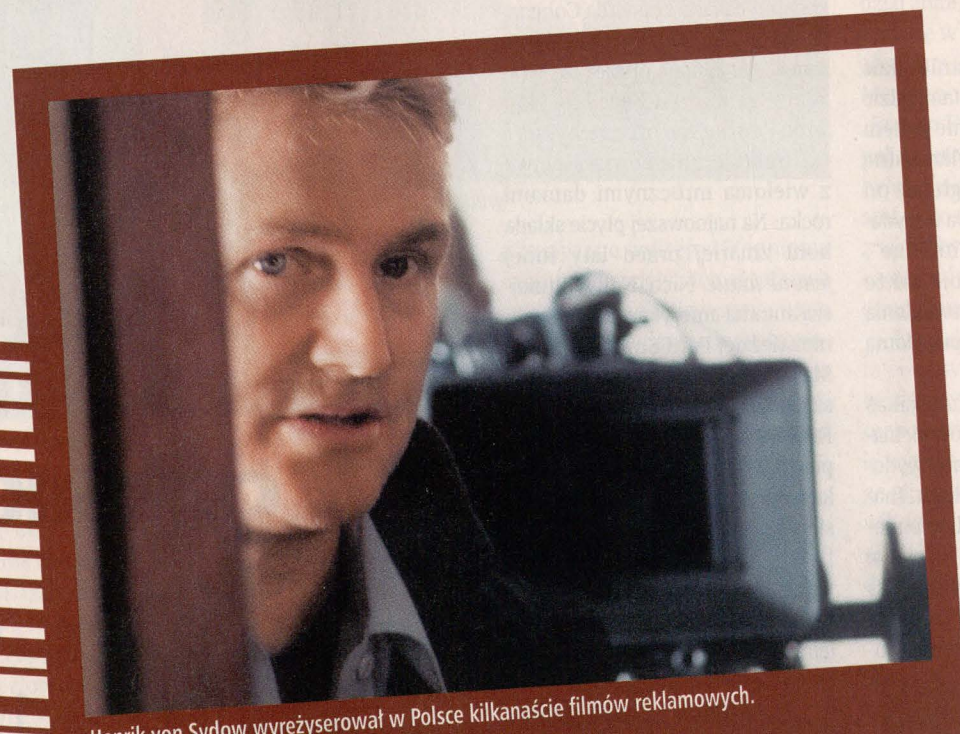
120 mm

Kulisy reklamowych sztuczek

TOMASZ LIPKO

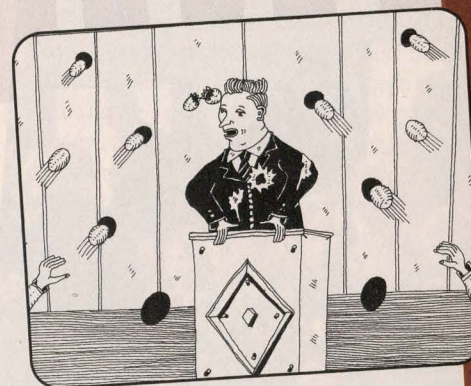
rysunki IGNACY CZWARTOS

Jak syn
legendarnego
Maksa von Sydowa
kręcił w Polsce
reklamówkę proszku
do prania



Henrik von Sydow wyreżyserował w Polsce kilkanaście filmów reklamowych. Klienci są nim zachwyceni – obroty rosną

miesiąc przygotowań,
13 godzin zdjęć,
praca 30-osobowej ekipy.
Efekt: 30 sekund reklamy,
w czasie której możemy odejść od telewizora,
by zrobić sobie herbatę



Polityk
obrywa
owocami
od narodu
na spotkaniu
z wyborcami.
Ale plama!



– 30-sekundowa reklamówka może być droższa od pełnometrażowego filmu fabularnego – mówi Marcin Zieliński, wschodząca gwiazda wśród reżyserów reklamówek. – Mimo ciężkich czasów dla producentów konkurujących na rynku nie jest żadnym problemem wysłanie w środku zimy kilkudziesięcioosobowej ekipy do puszczy w Chile. Za miesiąc chce mieć 30 sekund tropikalnej przyrody, dokładnie w czasie, kiedy nowa linia dietetycznych wafelków pojawi się w sklepach spożywczych całej Polski.

Klienci, czyli największe przedsiębiorstwa działające w Polsce, prawdziwą wojnę toczą między sobą właśnie na ekranach telewizorów. Promując swoje produkty, skłonni są wydawać ostatnie pieniądze właśnie na reklamę w telewizji – najpotężniejsze medium w walce o duszę klienta. Udało mi się przekonać specjalistów polskiej „fabryki bajek”, czyli filmowców przemysłu reklamowego, żeby pokazali mi, jak wygląda od kuchni walka o duszę polskich konsumentów.

Dostanie się na plan kręcenia reklamówki jest dla dziennikarza jednym z trudniejszych zadań, jakie może sobie postawić. Klienci, którzy w całym filmowym mechanizmie mają najwięcej do powiedzenia, nie tolerują bowiem obecności żadnych dziennikarzy na planie.

– Musisz ich zrozumieć – tłumaczyli mi ze smutkiem kolejni producenci – wykładają ogromne sumy na te spoty i nie życzą sobie, żeby ludzie poznali kulisy tych telewizyjnych sztuczek, które pozwolą im sprzedać parę ton więcej kiełbasy czy płyn do płukania kibla.

Na wizytę na planie przyszło mi więc czekać aż miesiąc. Upchał mnie w końcu w swojej ekipie producent Bartek Topa. W sobotę o szóstej rano wyjeżdżamy 30 kilometrów poza Warszawę, do Konstancina, żeby kręcić kolejną z serii reklam proszku do prania. Scenariusz nie odbiega za bar-

dzo od klasyki gatunku: pani domu w średnim wieku próbuje nowego środka na poplamionych koszulach męża i ze zdumieniem odkrywa, że na rynku pojawił się rewelacyjny i tani produkt. Do wyprodukowania tej reklamówki agencja specjalnie ściąga do Polski sławę na rynku detergentów w segmencie proszków do prania. Syn legendarnego aktora niemieckiego Maksa von Sydowa („Egzorcysta”, „Siódma pieczęć”, „Nigdy nie mów nigdy”, „Tam, gdzie rosną poziomki”) Henrik ma w swoim dorobku już kilkanaście filmów o tej tematyce nakręconych w naszym kraju. Klienci są nim zachwyceni.

Pan brzydki się nadaje

Jeszcze jest ciemno, kiedy podjeżdżamy pod dom, w którym ma toczyć się akcja. Wraz z pierwszymi promieniami słońca dociera do mnie, że pieczętowanie wybrana do zdjęć budowla jest obskurną i niedokończoną willą z epoki późnego Gierka.

– Taki styl został uzgodniony w trakcie szczegółowych rozmów z klientem. Proszek, jaki chce wprowadzić na rynek, jest przeznaczony dla ludzi mieszkających właśnie w takich miejscach – uśmiecha się Bartek. – Człowiek, który zawodowo zajmuje się castingiem nieruchomości, szukał tego paskudztwa przez dwa tygodnie – dodaje.

Casting to bardzo trudna sztuka, zwłaszcza kiedy wybierać trzeba nie domy, ale odpowiednich ludzi. Produkujące reklamówki studia (nazywane oficjalnie domami produkcyjnymi) zlecają castingi specjalistom, którzy mają całe przedsiębiorstwa zajmujące się wyszukiwaniem odpowiednich osób w agencjach modeli, ale także na ulicy, na dyskotekach, nawet w schroniskach dla bezdomnych.

– Najwięcej trudności sprawia znalezienie tak zwanych postaci charakterystycznych, czyli, mówiąc prosto, wszelkiego rodzaju brzydali: odrażających kobiet, wytatuowanych bandziorów, szczerbatych gamoniów à la Quasimodo – tłumaczy mi Piotr Kwiatkowski z agencji Face to Face. – Nie wszyscy szpetni biorą nasze propozycje poważnie. Nieraz podziargany osilek reagował agresywnie na słowa: „Doskonale pan się nadaje do reklamy”.

Ładnych i młodych do grania w reklamie nie trzeba oczywiście namawiać. Najlepsi (najlepsze) na rynku potrafią wytargować dla siebie nawet powyżej 10 tysięcy złotych za jeden dzień zdjęciowy. Ale żeby dostać rolę w 30-sekundowym filmie, trzeba najpierw wziąć udział w czymś, czego wszyscy aktorzy w tym zawodzie najbardziej nie lubią. Czyli w castingu. Niestety, koniecznym warunkiem zaprezentowania siebie klientowi i powiedzenia do kamery dosłownie kilku zdań jest to, by wszyscy odstali swoje na korytarzu studia.

– Czasami myślę sobie, że powinienem na takim korytarzu zainstalować ukrytą kamerę – mówi Michał Słomczyński, właściciel agencji castingu Trzycztery. – Pyskówki, kłótnie, złośliwości, jakie prawią sobie odstawione na wysoki połysek czołowe modelki polskiego show-biznesu, nie dają się z niczym porównać. Ostatnio w środowisku było głośno o dwóch modelkach z tak zwanej górnej półki, które pobiły się o miejsce w kolejce.

Powypinać się na golasa

Życzenia klientów są na ogół szczegółowo sprecyzowane. W końcowej fazie odsiewu wszystkie cechy aktorów są sprawdzane w najdrobniejszych szczegółach. Jeżeli zlecenie pochodzi na przykład od producenta szamponu, włosy kandydatek są przez specjalistów oglądane pod lupą,



Oj, niedobrze!
Naród
krzyczy,
koszula
zapaćkana!
Co to będzie?
Gdzie szukać
ratunku?



ich próbki nawet zabierane do laboratoriów, a bujne fryzury ważone na specjalnych wagach.

Castingi „bieliźniane” są oczywiście ulubione we wszystkich ekipach, chociaż w Polsce nie ma zwyczaju, żeby modelki prezentowały się na takich sesjach nago.

– Dobrze zapamiętałem konsternację, jaka zapanowała, kiedy reżyser, którego agencja specjalnie ściągnęła z Czech, powiedział przygotowanym do zdjęć dziewczynom, żeby zdjęły stringi – wspomina Michał Słomczyński. – Topmodelki pokazywane na okładkach luksusowych magazynów dosłownie zatkało; musiały się nagle rozebrać przed czterema facetami (dwóch reżyserów, operator, fotosista). Zaczęły się targi; atmosfera gęstniała, ale Czech nie dał się przekonać, tłumacząc, że przed zdjęciami pod prysznicem musi mieć absolutną pewność, iż pod skrawczkiem materiału nie ukrywają blizny, tatuażu czy kolczyków. Trzeba było powypinać się trochę na golasa.

Legendą w środowisku obrósł casting zlecony przez jedną z większych firm kosmetycznych. Stawką była wysokobudżetowa promocja nowego dezodorantu, który właśnie wchodził na rynek – walcząc o rekordowo wysoką gażę, modele z pierwszych stron eleganckich żurnali zostali zmuszeni do okazania pachy. Wygrał ten, który miał pachę najpiękniejszą. Podobno cała ekipa była pod wrażeniem pomysłowości warszawskich fryzjerów.

Bezrobotni do ogonów

O siódmej rano domownicy gierkowskiej willi od dwóch godzin są już na nogach. Dziadek trzykrotnie na rękach płacząc dziewczynkę, małżeństwo zamknęło się w kuchni, ale zaraz wyproszą ich stamtąd oświetleniowcy, bo już nie ma gdzie pomieścić kolejnych skrzyń sprzętu bezustannie wnoszonego do domu. Technicy zlitowali się nad posadzką i całą podłogę wyłożyli specjalnymi papie-

rowymi dywanami. Na ponad 150 metrach kwadratowych rosną stosy kabli, szpul, lamp, statywów i ogromnych metalowych skrzyń. Za chwilę trzeba już wynosić z domu pierwsze gospodarskie sprzęty. Na pierwszy rzut idą złejsze meble oraz donice z największymi roślinami (mimo 15 stopni mrozu). Technicy muszą jeszcze wymontować z łazienki nowoczesną pralkę Whirlpool i zastąpić ją starą polską pralką – nieodłącznym eksponatem w krajowych reklamach proszku do prania.

Na plan dociera pierwsza partia nowiutkich, spod igły, jedwabnych koszul – dowód wyjątkowej skuteczności proszku do prania. Ekipa stylistów wprawnymi ruchami rozpakowuje je z folii i połowę całej partii obficie zrasza musztardą sarepską, keczupem i starannie ubitym kogłem-mogłem. Reżyser wybierze następnie najlepsze kompozycje do dwusekundowej sceny w łazience. O ósmej przyjeżdżają aktorzy – filmowe małżeństwo poznało się pół godziny temu w samochodzie. Ona – 40-letnia ciepła blondynka, na co dzień lekarz stomatologii, on – niewiele starszy tatusiowaty gąpcio z brzuszkiem, z zawodu instalator urządzeń grzewczych.

– Z takimi ludźmi w przedziale 30–45 lat, zwłaszcza płci męskiej, mamy największy problem – przyznaje Bartek Topa. Okazuje się, że w tej grupie agencje i castingowcy mają ogromne problemy ze znalezieniem miłych, sympatycznych, a jednocześnie przystojnych i zadbanych facetów. Nieraz dochodziło na planach do podbramkowych sytuacji, kiedy to jedynym wyjściem pozostawało sprowadzać za dużo większe pieniądze wymarzonego aktora z Londynu.

Człowiek, który zagra główną postać, musi zazwyczaj odczekać później co najmniej miesiąc-dwa, żeby telewizyjni zapomnieli jego twarz. Ale do drugo- i trzecioplanowych ról, tak zwanych ogonów, zatrudniają się często bezrobotni i studenci, choć również prawnicy, lekarze, inżynierowie, którzy traktują tę pracę jako dodatkowe źródło dochodu.

Wnuk pana Kazia jest za stary

Osobna kategoria to staruszkowie, na których w branży jest coraz większe zapotrzebowanie. Producenci leków, paramedykamentów, fundusze emerytalne potrzebują rześkich, wesołych dziadków, elokwentnych starszych pań, czy nawet upiornych teściowców.

Informacje o kręceniu kolejnej reklamówki z udziałem starszych osób błyskawicznie rozchodzą się pocztą pantoflową wśród warszawskich emerytów. Najlepsi z nich mają swoich agentów, stawiają wysokie wymagania finansowe, ale trzeba też przyznać, że ci emeryci potrafią być prawdziwymi profesjonalistami. – Często taki dziarski staruszek kilkoma gestami potrafi zbudować atmosferę całej sceny – twierdzi Tomek, reżyser. Pan Kazio, który jest prawdziwą gwiazdą w tej kategorii wiekowej, na planie zawsze może liczyć na specjalne względy całej ekipy.

– Odkąd przeszedłem na emeryturę, reklamówki stały się trochę moim drugim życiem – opowiada mi pan Kazio przy herbacie z rumem w barobusie, autobusie przerobionym na restaurację. – Zaprzyjaźniłem się z różnymi ekipami. Czasem, nawet jak nie gram, przychodzę na plan z wnuczką i opowiadam mu, jak to wszystko działa. Chciałbym, żeby sam kiedyś poszedł w moje ślady, a moje marzenie, to żebyśmy wystąpili w jakiejś reklamówce razem.

Wnuk pana Kazia jest już, niestety, zdecydowanie za stary, żeby startować w najnowszym castingu organizowanym przez ogromny koncern chemiczny sprzedający w Polsce pieluchy dla niemowląt. To wyjątkowa kategoria – baraszkujące przed kamerą niemowlaki są jedyną grupą wiekową, w której nie występuje żadna rywalizacja, chociaż i tutaj wykształciła się mniej więcej pięcioosobowa grupa gwiazdorów, których agencje reklamowe kuszą kilkunastotysięcznymi kontraktami.

Nie mogę siadać, bo się gniotę

Henrik von Sydow, sympatyczny, nieśmiały blondyn w wieku 40 lat, ma już prawie gotowy plan, czyli wnętrze mieszkania, które dzięki dwugodzinnej pracy scenografów w najdrobniejszych detalach przypomina klasyczny styl użytkowy

PRL-u późnych lat 70. Segment wypoczynkowy, cepeliowskie lale i porcelanowe bibeloty, a nawet klasyczny jeleń na rykowisku, stoją rzędem za fotelem, na którym pani domu przez kolejne cztery sekundy będzie wychwalać skuteczność nowego proszku. Wizażyści uwijają się teraz przy głównej aktorze – jej fryzura nie może odbiegać stylem od starannie wypielegnowanego mieszkania. Gotowa do zdjęć, następną godzinę spędzi w pozycji stojącej. Szarmanckie gesty reżysera ucina krótkim: „Nie mogę siadać, bo się gniotę”.

Zaczynają się zdjęcia i walka z czasem. Magiczne słowo *timing* stawia bardzo wysoką poprzeczkę przed całą ekipą. 30-sekundowa reklama miewa nawet kilkadziesiąt scen i często nawet najlepsi aktorzy filmowi mają poważne trudności w zmieszczeniu się – z właściwym grymasem twarzy w odpowiednim momencie – w kilku sekundach. Bywa, że sceny są dublowane po 40 razy – od rana do wieczora.

– Najciężiej mają wózkarze – przyznał mi się kiedyś reżyser Tomek Konecki – potężne chłopcy pchające wózek z operatorem, kamerą i całym osprzętem – wszystko waży 200–300 kilo. Trzeba to robić na tyle delikatnie i z wyczuciem, że nie ma mowy o jakimkolwiek napełdnie mechanicznym. Po piątym dublu ci siłacze są już mokrzy. Czasami boję się, że kiedyś jeden z nich nie wytrzyma i po moim kolejnym: „Bardzo dobrze, kręcimy jeszcze raz!” jednym ciosem załatwi mnie, kwestię dubli i całą sesję zdjęciową.

Mokapiści okleją klocki

W podwarszawskim Konstancinie zaczęła się trzecia godzina zdjęć. Żeby zmieścić całą historię w przepisowych 30 sekundach, żadne ujęcie nie może przekroczyć trzech-czterech sekund. Sam moment zamykania pralki i wysypywania proszku jest tematem burzliwej narady w językach: polskim, angielskim oraz szwedzkim (von Sydow przyjechał z własnym operatorem, Szwedem). W końcu główna aktorka dostaje szczegółowe instrukcje, jak rozdzielić owe trzy sekundy na upchanie brudów, wysypanie proszku i wyeksponowanie pudełka. A przy 20. dublu zaczyna z nerwów wyszarpywać szufladkę i proszek wysypuje

się na ziemię. Ponieważ w łazience może przebywać tylko aktorka i operator, wszyscy pozostali, z reżyserem na czele, zmagania zmęczonej już kobiety ze starą pralką śledzą w skupieniu na ekranie monitora piętro niżej w jadalni.

W czwartej godzinie zdjęć reżyser wzywa na pomoc mokapistów. Normalne opakowania proszków do prania, margaryny, mleka czy napojów w kartonach nigdy nie zachowują regularnych kształtów, zwłaszcza w warunkach i temperaturze, jakie panują w studiu. Mokapiści otrzymują od producenta folie i kartony, z których produkuje się w fabryce opakowania, i szczegółowo obklejają nimi starannie wcześniej przycięte klocki styropianu.



Och, biedny mój mąż!
Och, biedna jego koszula!
Och, biedna ja i pralka stara!
Ale zaraz...
Wiem, co robić!



sceny są
dublowane nawet
po 40 razy;
po piątym
wózkarzom odpadają plecy,
po dwudziestym
aktorka rozsypuje proszek na ziemię

– Reklamy kosmetyków nie są jeszcze takie trudne – zapewnia mnie Gustaw, który zainwestował całe swoje oszczędności w dwa niemieckie generatory prądu na kółkach i żyje z zaopatrywania planów filmowych w energię – najgorsza jest garmazeria, czasem to aż rzygać mi się chce. – Zrozumiałem w końcu, że Gustawowi chodzi o reklamy eksponujące właściwości poszczególnych artykułów spożywczych. Końcowe sekwencje takich filmów przedstawiają zazwyczaj wypieszczone zbliżenia, na których wprawna ręka z pietyzmem kroi szynkę, smaruje chleb margaryną czy nalewa sok do szklanki.

– Na końcu całe studio zawalone jest kilogramami pokrojonej kiełbasy czy szyneczki babuni



Mam nowy, bardzo dobry i w dodatku oszczędny* proszek, który nawet w starej pralce przywróci wszystkim dobry nastrój

*czytaj: tani

– krzywi się Gustaw – połowa ekipy uwalana jest po pachy pysznymi twarożkami, kibel zatyka się przy pierwszej dziesiątce gorących kubków. Nawet operatorzy muszą ten garmazę wydłubywać ze sprzętu. – W każdym razie fakt, że na ekranie wiktuały różnych gatunków wyglądają tak apetycznie, zawdzięczamy nie tyle reżyserowi czy operatorom, ile tak zwanym stylistom żywienia. To zawodowcy, którzy zajmują się upiększaniem produktu: kupowane w najbliższym mięsny szynki traktują specjalnymi sprayami, dobierają pocięte jarzyny, modelując poszczególne plasterki, są mistrzami w nadawaniu naturalnym sokom owocowym przepięknych kolorów za pomocą chemicznych barwników. Żeby nalewanie piwa do szklanki było jeszcze bardziej efektowne, ekipa wykorzystuje specjalnie zaprojektowane do takich ujęć kamery-sondy, które wpuszczane są do środka szklanek, a obroty taśmy można zwiększyć z tradycyjnych 24 klatek na sekundę do 150, a nawet 200, co daje później malownicze efekty burzy w szklance wody. Resztę apetytu wzbudzają w telewizjach specjalnie przeszkoleni specjaliści od komputerowych efektów specjalnych.

Wciąż za mało świeżości

Konstancin, szósta godzina zdjęć, na dworze robi się już ciemno. 20 minut przerwy obiadowej, schodzę zmęczony z planu razem z całą ekipą. Przed domem stało tymczasem przenośne centrum usługowe: podpięte do ryczącego generatora toalety, studio kosmetyczne i przede wszystkim autobus-restauracja będący centralnym miejscem spotkań wszystkich, którzy znajdują krótki odpocznik po chwilowym zejściu z planu. Trzyosobowa załoga restauracji uwiija się jak w ukropie. Od świtu do zmierzchu wszyscy, od reżysera po kierowców, muszą mieć zapewnione posiłki regeneracyjne na odpowiednim poziomie. I tak na śniadanie serwowane są cztery rodzaje sałatek, ciasta, owoce, jaja w majonezie, indyk w galarecie, siedem gatunków wędlin, ryba, jajecznicca i frankfurterki z wody. Do tego kawa i herbata w siedmiu rodzajach oraz rum na rozgrzewkę. Na obiad oprócz zupy dnia ryba w panierce, bitki, żeberka po rykersku z buraczkami, kolejne

Żeby szynka dobrze wyglądała,

styliści żywienia traktują ją sprayem

wariacje sałatek, owoce i czerwone wino. Wieczorem kolacja wjeżdża na tacach bezpośrednio na plan – pośpiech i coraz większe zmęczenie ekipy nie pozwalają już na wizytę w autobusie-restauracji.

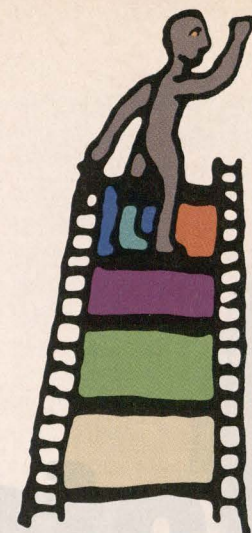
Przy obiedzie pytam Bartka, dlaczego przedstawiciel klienta (czyli producenta proszku), który miał opiniować każde ujęcie, mniej więcej po pierwszej godzinie zagłębił się w lekturze wczorajszej sesji giełdowej. Jak się okazuje, ten człowiek reprezentuje klienta w zupełnie innym celu. Jego zawód to pilnowanie, czy produkcja filmu rzeczywiście kosztuje tyle, na ile opiewa rachunek wystawiony przez dom produkcyjny.

Najważniejszy przedstawiciel koncernu chemicznego przyjeżdża dopiero na finałową scenę, w której szczęśliwa pani domu podziwia świeżo upraną koszulę na torsie swojego męża. Elegancki młodzieniec, na oko dwudziestokilkuletni, zdejmując marynarkę i w milczeniu wpatruje się przed monitorem w trwający godzinę maraton kilkudziesięciu dubli. Po każdym z nich Henrik von Sydow ocenia uśmiechy filmowych małżonków: „Very sweet, very nice”, po czym następuje ta sama litania haseł: „Cisza! – uwaga! – wideo! – poszło! – kamera! – rolling! – akcja!”. Ćwiczone są różne warianty szybkości zapinania koszuli, synchronizacja gestów z uśmiechami, każde skinienie głowy jest odpowiednio modelowane. Po godzinnej serii powtórek decydujące słowo należy do przedstawiciela klienta. Młody człowiek w skupieniu ogląda jeszcze wybrane duble na monitorze, po czym cichym głosem wyrokuje: „Kręcimy dalej, ciągle za mało świeżości”. Henrik von Sydow wraz z całą ekipą bez słowa zabiera się do pracy.

Wysokoopłacani specjaliści z socjologii, psychologii mediów, marketingu i finansów sektora chemii użytkowej obliczyli, że cała ta operacja ma podnieść sprzedaż proszku do prania tej marki o siedem do 12 proc. Zazwyczaj obliczenia te się zgadzają.

TOMASZ LIPKO

Zdjęcia dzięki uprzejmości ITI Film Studio



Jak oglądać film?

Jak to się dzieje, że kawaleria Stanów Zjednoczonych przybywa zawsze chwilę po tym, jak pozytywny bohater rozprawił się z gromadą wrogów? Łowcy filmowych klisz wynaleźli kilkadziesiąt sztuczek, którymi mają nas filmowcy (www.moviecliches.com). W filmowej rzeczywistości główny bohater nigdy nie zawraca sobie głowy zamykaniem zaparkowanego samochodu

1. Helikopter wiozący głównego bohatera, kiedy zostaje trafiony rakietą, natychmiast eksploduje. Jeśli w helikopterze podróżuje pozytywny bohater, trafionemu helikopterowi zawsze udaje się wylądować i eksplozja następuje chwilę po ucieczce bohatera.

2. W filmach karate czarne charaktery zawsze atakują głównego bohatera pojedynczo, a co najwyżej parami. Nigdy nie rzucają się na niego całą gromadą, ale czekają, aż zostaną pokonani wcześniejsi przeciwnicy.

3. Każda walka na krawędzi kanionu lub wysokiego budynku kończy się upadkiem co najmniej jednego czarnego charakteru. Lecąc w powietrzu, czarny charakter zawsze krzyczy, nawet jeśli chwilę wcześniej został trafiony rakietą.

4. Bohater może się obyć bez snu, jedzenia i picia przynajmniej trzy doby.

5. Nawet jeśli walka, w której brał udział główny bohater, była toczona za pomocą kastetów i kluczy francuskich, jedynym śladem jest smużka krwi w lewym kącie ust. Bohater nigdy nie jest trafiony w górną wargę ani nie traci przednich zębów.

6. Laboratoria używane do przechowywania obcych form życia znalezionych na ziemi są położone kilkadziesiąt metrów pod ziemią i chronione pancernymi drzwiami. Przeważnie jednak Obcy spoczywa za zwykłą szybą, którą łatwo rozbić.

7. Zepsuta żarówka lub awaria elektryczności oznacza, że w pokoju ukrywa się niebezpieczny przestępca.

8. Każda kołdra w filmach ma kształt litery L – mężczyźni sięgają do pasa, kobiety zakrywa się szyję.

9. Średniowieczni mieszkańcy wiosek zawsze mają starannie ułożone włosy i białe zęby, chociaż chodzą w łachmanach.

10. Jeśli bohater walczy szpadą lub mieczem, zawsze znajdzie schody, z których w odpowiedniej chwili spadnie jego przeciwnik.

11. Trzeba uważać na lekarzy. Bardzo często przeszczepiają oni ręce bądź oczy przestępców bohaterom, którzy stracili jakieś organy.

12. Śmiertelnie ranny bohater żyje wystarczająco długo, żeby podać masę ważnych i nieważnych informacji. Niestety, umiera natychmiast, kiedy poprosi się go o wyjawienie tej najważniejszej – nazwiska przestępcy.

13. Żadne dziecko nie ma prawa zginać, niezależnie od niebezpieczeństwa, w jakim się znajduje.

14. Jeśli bohaterka jest w ciąży, to dowiadujemy się o tym w scenie poprzedniej, kiedy wybiega nagle do łazienki, żeby zwymiotować.

15. Dzieci, które rodzą się w filmie, są zwykle o kilkanaście centymetrów większe i kilka kilogramów cięższe niż dzieci urodzone normalnie.

16. Jeśli bohater musi bardzo pilnie do kościoła zadzwonić, czeka zawsze do trzech dzwonek i odkłada słuchawkę, nie mając cienia wątpliwości, że tej osoby nie ma w domu.

17. Jeśli bohater rozprawia się z bandą złoczyńców, telefon może do niego dzwonić w nieskończoność, aż wreszcie po kilkunastu dzwonekach będzie go w stanie odebrać.

18. Policja nigdy nie zatrzymuje do wyjaśnienia pozytywnego bohatera, nawet jeśli zabił kilkadziesiąt osób.

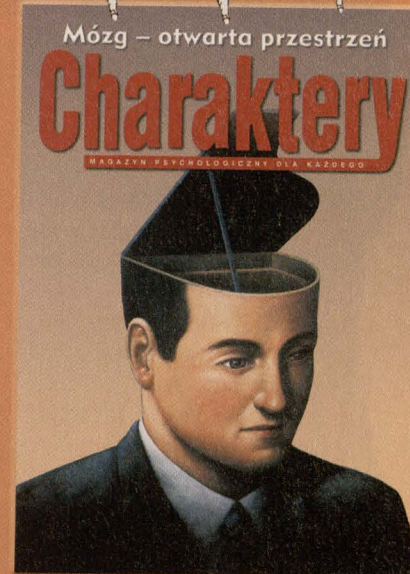
19. Zarówno kawaleria Stanów Zjednoczonych, jak i policja przybywają na miejsce akcji, kiedy strzelanina właśnie się skończyła, a główny bohater siedzi i odpoczywa.

20. Z każdego mieszkania w Paryżu widać wieżę Eifla.

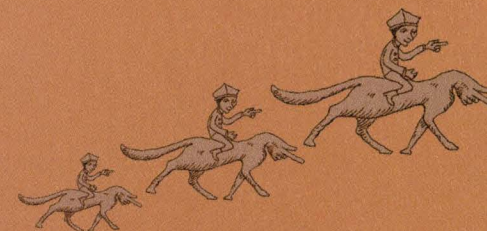
(LT)

Czy można przestać myśleć
Jak ujrzeć czyjeś myśli
Gdzie w mózgu rodzą się
uczucia
Fałszywe wspomnienia
– jak je wykryć

O tym przeczytacie w:



Jedynie popularne pismo
psychologiczne dla tych,
którzy szukają, pytają,
dążą...



W marcowych „Charakterach”
do wygrania cztery indeksy
Szkół Wyższej Psychologii
Społecznej w Warszawie
(jedynej niepaństwowej
uczelni psychologicznej w Polsce)

PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ

Postacią literacką, bohaterem dowcipów
i cudzych piosenek
Grzegorz Ciechowski był już za życia

Obywatel metafory

Czy Grzegorz Ciechowski mógłby przeżyć dziewięćdziesiąt kilka lat – tak jak Cmon, jego literackie *alter ego*? Ostatnie kilkanaście samotnie, w utajonym mieszkaniu, pod fałszywym nazwiskiem, z daleka od dzieci i wnuków. Kiedy w połowie XXI wieku trafił do szpitala, by w nim umrzeć, inni starszycy dziwili się, że jeszcze żyje. „Cmon. To była znakomitość, jedna z największych rockowych gwiazd lat 80.” – tak przedstawia bohatera wydanej dwa lata temu (i nominowanej nawet do NIKE) powieści „Bóg zapłać!” jej autor Włodzimierz Kowalewski.

– Moja żona i ja byliśmy wstrząśnięci. Tak jakby rzeczywiście odszedł ktoś bardzo nam bliski – odpowiada Kowalewski pytany, co poczuł, dowiedziawszy się o śmierci lidera Republiki, który w wieku 44 lat, 22 grudnia zeszłego roku, umarł na zawał serca po operacji w warszawskiej klinice.

– Mówię od razu – nigdy nie byłem przyjacielem Grzegorza Ciechowskiego, nie byłem nawet jego kolegą, tylko znajomym z jednego roku studiów, z filologii polskiej na UMK w Toruniu – wspomina dalej autor „Bóg zapłać!”. – Poznałem go jesienią roku 1976, nie pamiętam już gdzie, pewnie w Collegium Maius, bo tam były ćwiczenia i wykłady. Prawie nie mówił o jakichkolwiek swoich związkach

z muzyką, kiedyś wspominał tylko, że gra na flecie. Jak każdy polonista chciał raczej istnieć wobec otoczenia jako poeta.

Orwell z Wolnej Europy

Do końca lutego prawie półtora tysiąca osób wzięło udział w sondzie na stronie internetowej poświęconej Grzegorzowi Ciechowskiemu. Na pytanie, które jego wcielenie ocenia najlepiej, 40 procent odpowiada: „Republika”, 17 – „Obywatel G.C.”, 13 – „kompozytor”, 9 – „producent”, 6 – „Grzegorz z Ciechowa”. Pozostałe 15 procent najwyżej ceni Ciechowskiego jako poetę i autora tekstów.

Jerzy Tolak, menedżer Ciechowskiego i Republiki, jeszcze dwa i pół miesiąca po jego śmierci mówi z rozpędu o zmarłym w czasie teraźniejszym: – Od 15 lat jak z Grześkiem pracuję, to teksty, jakie pisał, są dla mnie wielką zagadką, bo to nie było zwykłe tekściarstwo. Dla niego jego teksty były ważniejsze niż muzyka. Gdyby mnie ktoś pod ścianą postawił i kazał wybrać, powiedziałbym, że teksty ważniejsze.

– Pisał wiersze, nie wstydił się ich pokazywać, rozmawiać o nich – opowiada o Ciechowskim z końca lat 70. Kowalewski. – Mieszkał na pierwszym roku w DS-1 przy Mickiewicza, w wielkim, siedmioosobowym, naroż-

nym pokoju z piętrowymi łózkami, bodajże numer 201.

– W tym pokoju mieszkało siedmiu poetów – przypomina Tolak.

– Wpadałem tam czasami i wtedy się kłóciliśmy – snuje Kowalewski. – Wszystko nas różniło. Ja z piórami do pasa, w powycieranych spodniach i swetrze do kolan – on zawsze schludny, aż lśniący od tej swojej czystości, zawsze w poważnych, drogich ciuchach. Ja czytałem na przykład Wojaczka i Huysmansa, on Vonneguta i Orwella, którego odcinkami nagrywał z Wolnej Europy i przepisywał. Ja słuchałem białego bluesa i starej Kalifornii, on wtedy słuchał nowoczesnego jazzu! Wszystko bym wtedy o nim pomyślał, tylko nie to, że już za kilka lat będzie znanym rockmanem. Dopiero długo potem zaczął przebąkiwać o *new wave*, jakie to wspaniałe grupy – The Police, The Cure, Dead Kennedy's. Wyraźnie uwielbiał wszystko, co w każdej epoce było progresywne, rozbijające schematy. Czytał futurystów i Gombrowicza, zachwycał się Beckettem i bodajże prozą Macha. A w ogóle to mało kto już pamięta, że Grzegorz pisał pracę magisterską z... romantyzmu!

Może nawet sam Ciechowski o tym nie pamiętał, bo parę lat temu w wywiadzie w „Magazynie Gazety Wyborczej” mówił, że pracę magisterską pisał o haiku.

Za plecami literatów

Cmon z powieści Kowalewskiego nie dostał się na polonistykę, Ciechowski się dostał, choć studiów nie dokończył.

– Z pisanem tekstów u Grześka było tak, jakby powieść pisał – wspomina Tolak. – Jak była nagrywana płyta, pisanie tekstów odsuwał zawsze na ostatnią chwilę. Kiedy musiał napisać kilka rozdziałów tej powieści, stawał się bardzo zamknięty w sobie, chodził z tym tematem.

– Ostatni raz rozmawialiśmy ze sobą dłużej w roku 1979 albo 1980 – przypomina sobie Kowalewski. – Był już wtedy znanym w mieście muzykiem. Nie pamiętam, co było ostatnie – długie, wspólne raczenie się czeskim Budvarem w ekskluzywnej wtedy toruńskiej knajpie Pod Atlantem czy impreza w mieszkaniu teściów Grzegorza (a może to był jakiś wynajęty pokój?), gdzie klęcząc na krześle, grał rzewnie na swoim flecie „A Shadow of Your Smile”. Po pierwszym roku Grzegorz zaczął powoli oddalać się od polonistów, odnosiłem nawet wrażenie, że na czymś się zawiódł, nie znalazł, czego szukał.

Po tym, co napisał na okładce pierwszej płyty reaktywowanej w latach 90. Republiki, można przypuszczać, że mimo wielkiego sukcesu tkwił w nim właśnie kompleks literackiego niespełnienia, a raczej

**16 marca Republika
wystąpi po raz ostatni
– w spektaklu „Kombinat”
na 23. Przeglądzie
Piosenki Aktorskiej
we Wrocławiu.
Piosenki zmarłego
22 grudnia 2001 r.
Grzegorza Ciechowskiego
zaśpiewa 11 młodych
aktorów**

FOT. ANDRZEJ ŚWIETLIK/FORUM



niedocenienia: „Nazwałem tę płytę »Siódma pieczęć« nie tylko dlatego, że jest ona moim siódmym tomikiem wierszy, który wydają za plecami literatów”.

Za czasów toruńskich jego wiersz wydrukował warszawski miesięcznik „Poezja”. Studencki klub opublikował zaś powielaczowy arkusz poezji Ciechowskiego.

– Został przyjęty dziwnie, bo ukazał się w roku 1980, i Grzegorz, już wtedy rockman, przypomniał się jako poeta, ale nie przykładał chyba do tej książeczki zbyt wielkiej wagi – uważa Kowalewski. – Myślę, że w wierszach był taki sam jak w utworach komponowanych potem dla Republiki, hołdując kilku zasadom: zero stylizacji, niczemu nie ulegać, z niczym się nie kojarzyć, być sobą i tylko sobą.

Piotr Bratkowski, o dwa lata starszy od Ciechowskiego krytyk literacki, przyjrawszy się jego wierszom z roku 1980, ocenia je jako typowe dla ówczesnej poezji i „drukowalne”. Ale uważa jednocześnie, że gdyby dziś takie wiersze zaproponowano redaktorom pism młodoliterackich, zapewne zosta-

Kowalewski widzi jednak pewne podobieństwa: – Ciechowski chyba oddzielał takie pojęcia jak „wiersz” i „tekst piosenki”, podobnie jak Morrison – szalony Jim, „król jaszczurów” z The Doors – nie był dostojnym Jamesem Douglassem Morrisonem z okładki tomiku od Simona & Shustera. Ale to tylko pozory, żadnego rozdźwięku tak naprawdę nie ma. U Grzegorza inna jest tylko forma tekstu do śpiewania – bardziej „okrągła”, bardziej rytmiczna. Treść ta sama – obsesje, pożerający erotyzm, zagubienie w industrialnym świecie, lęk przed uniformizacją i zanikiem indywidualizmu.

Orwell w Polskim Radiu

Ciechowski pochodził z Tczewa, Cmon z powieści Kowalewskiego z Giżycka. Ciechowski studiował w Toruniu, Cmon w Bydgoszczy. Ciechowski grał na flecie i fortepianie, Cmon na gitarze. Zespół Ciechowskiego nazywał się Republika, zespół Cmona – Klapsterstorch.

Republika była przełomem w polskim rocku. Z dwóch powodów. I dlatego, że była pierwszym zespołem, który kierując się do masowej publiczności, zerwał z tradycyjną rockowizną na rzecz ascetycznej estetyki nowofalowej: mało melodii, zrytmizowany wokół, powtarzanie sylab. I dlatego, że te powtarzane sylaby składały się na teksty, jakich wcześniej nie było w naszej młodzieżowej muzyce. Za sprawą literatury.

Gdyby dziś wiersze Ciechowskiego proponować redaktorom pism młodoliterackich, zapewne zostałyby odrzucone

równości” pokazujących zuniformizowane, zdyscyplinowane społeczeństwo, w którym jednostka musi zrezygnować z jakichkolwiek przejawów indywidualizmu.

Paradoksalnie, w kraju, w którym właśnie wprowadzono stan wojenny, a „1984” czy „Folwark zwierzęcy” Orwella wydawano tylko nielegalnie, w drugim obiegu, nadający właśnie takie treści zespół Republika był do oporu grany w państwowym Polskim Radiu. Potem mówiło się, że to po to, aby odciągnąć uwagę młodzieży od prawdziwej polityki.

On sam dystansował się od polityki już w wierszu „Cyrulik toruński” powstałym jeszcze przed zdobyciem przez Republikę popularności:

w tym samym czasie
kiedy przemawiał fanatyk partyjny
w tym samym czasie
kiedy samopodpalał się fanatyk religijny
w tym samym czasie
kiedy przemyczał się fanatyk konspiracyjny
królik z powagą dymał królicę
ja wybierałem się do cyrulika (...).

Flet w łaźni

„Musieli być odważni, odrzucili modny posthippisowski luz, ubrali się w garnitury i cienkie krawaty na gumkach” – pisze Kowalewski o grupie Klapsterstorch.

Ciechowski kpił z gitarzystów innych zespołów, że mogliby własnami zamiatać scenę. Ascetyczny

w końcu dochodzi do źródła, zanurza w nim ręce i... mokrą dłonią poprawia grzywkę.

Drugi, wulgarny: W młodzieżowym tygodniku „Razem” miała zostać wydrukowana sesja zdjęciowa muzyków Republiki rozebranych, w łaźni. Nie doszło do publikacji, bo okazało się, że Ciechowski nad fletem ma grzywkę.

Punkowa Patologia Cięży miała piosenkę „Biała grzywa”:

Ma fortepian, srebrny flet
Czarny krawat twardy też
Ponad wszystkich jego postać
Bardzo chciałby Bogiem zostać
Mój idol

Po latach Ciechowski powie o sobie w wywiadzie: „Zawsze miałem opinię zarozumiałego buca”. Wtedy, w roku 1983, próbował kpić z własnej popularności, biorąc udział w sfigowanym reportażu radiowym, według którego ograniczał mieszkańcom swojego bloku możliwość wejścia i wyjścia z klatki schodowej. W trosce o swoje bezpieczeństwo zainstalował rzekomo fotokomórkę i ustalał godziny wyjścia i wejścia mieszkańców.

Kiedy w latach 90. kolejną złośliwą piosenkę – parodiując Republikę „Nowe kombinacje” – nagrał Big Cyc, Ciechowski zaprosił kapelę Krzyśka Skiby do programu telewizyjnego o sobie. Skiba pamięta, że wystąpił przebrany za Ciechowskiego, z fletem poprzecznym.

Reaktywowana wtedy Republika nie miała już tak masowej popularności jak na samym początku. Ale 19 lat temu Ciechowski dzięki swej grzywce, fletowi i czarno-białemu *image* zespołu był naprawdę rozpoznawalny w takim stopniu jak obecnie Michał Wiśniewski z grupy Ich Troje. I jego rola w naszej popkulturze była o wiele większa.

Majakowski w cenzurze

Piotr Bratkowski miał w latach 80. w miesięczniku „Literatura” felieton „Prywatna taśmoteka”, w którym jako pierwszy zwrócił uwagę na literackie odniesienia tekstów Ciechowskiego i Kory Jackowskiej z Maanamu.

– Język Ciechowskiego w swej poetyce miał trochę wspólnego także z poetyką futuryzmu polskiego – mówi Bratkowski. – Takie

nawiązania tam widziałem, przez pewną skrótowość, która była koniecznością.

Jak wyjaśnić fenomen, że autor przeciętnych wierszy w ciągu roku przeistoczył się w autora nieprzeciętnych piosenek? Czy dlatego napisał na przykład „Sexy doll” o miłości z manekinem, że mógł usłyszeć przez ten czas piosenki takich brytyjskich zespołów punk i *new wave* jak Vibrators („Automatic Lover”) albo X-Ray Spex („Artificial”, „Genetic Engineering”) żywiących się właśnie wizją odczłowieczonego świata przyszłości? – pytam Bratkowskiego.

– To jest gorsza dla Ciechowskiego wersja wydarzeń – odpowiada. Druga hipoteza jest taka, że miał na tyle dużo samoświadomości

bre wiersze, tylko dobre teksty piosenek.

Autor antytotalitytnych piosenek, buntownik Ciechowski, z czasem ściał grzywkę i dał się wcielić do wojska. Tak jak Elvis Presley służbę wojskową odbywał na specjalnych warunkach – dyrektor Estrady użył swoich wpływów, aby artysta mógł pracować przy spektaklu „Wyludniacz” Becketta w Teatrze Wielkim w Łodzi, do którego to miasta przeniesiono go służbowo z toruńskiej szkoły artylerzystów.

A kiedy w roku 1988 znów wybuchły strajki, w państwowym radiu królowało solowe nagranie Obywatela G.C. (bo taki pseudonim obrał Ciechowski po rozwiązaniu Republiki) „Nie pytaj o Polskę”.

diu. Czy dlatego, że nie śpiewał o tym, iż mimo to kocha Polskę?

– Grzegorz był mistrzem, jeśli chodzi o metafory i ukryte znaczenia. Później siłą rzeczy wszedł w inną poetykę. On po prostu dojrzał, starzał się, rodziły mu się dzieci. Widać wyraźnie jego zwrot w stronę innej poetyki pisania tekstów. Przedtem był zadziorny – mówi Tolak.

Do cenzury Ciechowski chodził z książkami Apollinaire’a czy Majakowskiego, żeby wytłumaczyć, że takich samych sformułowań jak jego można się uczyć w szkołach.

Mężczyzna jako kobieta

Ciechowski po rozwodzie z pierwszą żoną Jolą związał się ze starszą od siebie Małgorzatą

niebawem, razem z wolnością, przyszły lata chude.

„Przeżywałem piekło zazdrości. Muniek Staszczuk walił swoją prawdę o świecie wprost, bez ogródek, ja umiałem śpiewać tylko metaforami, które publiczność przestawała rozumieć” – mówi o latach 90. Cmon w powieści Kowalewskiego.

Prawdziwy Muniek Staszczuk z T. Love wyznaje mi, że nie przepadał za piosenkami starszego od niego o sześć lat Ciechowskiego, wyjawiając dwie: „Białą flagę” i „Sexy doll”, które nie znalazły się w pierwszym albumie Republiki, bo nie pasowały do spójnej orwellowskiej koncepcji.

Ciechowski został producentem muzycznym (i nierzadko autorem



Republika w roku 1983 w klasycznym składzie: Sławomir Ciesielski, Paweł Kuczyński, Grzegorz Ciechowski (z legendarną grzywką), Zbigniew Krzywański

mości artystycznej, iż wiedział, że dobry tekst piosenki trzeba pisać inaczej niż wiersze. Wtedy, prawie 20 lat temu, napisałem, że wydrukowane na papierze teksty Republiki źle się czyta. Że zaczynają brzmieć i znaczyć dopiero w połączeniu z muzyką. To nie były do-

Śpiewał o spotykanej w ohydnych okolicznościach Polsce-dziewczynie, iż bezwarunkowo ją kocha.

O tak samo brudnej Polsce miał wtedy piosenkę również Kazik Staszewski z Kultu. Ale jego piosenki cenzura nie pozwoliła wówczas wydać na płycie ani puszczać w ra-

Potocką, z którą prowadził potem firmę producencką. Powieściowy Cmon – ze starszą od siebie Jagienką Maślanką, była dziennikarką telewizyjną. W obydwu przypadkach był to moment, kiedy rozwiązyli swoje zespoły, nie tylko z przyczyn artystycznych. Dla obu

repertuaru) Justyny Steczkowskiej, Atrakcyjnego Kazimierza, Krzysztofa Antkowiaka i Katarzyny Groniec. Cmon został producentem nagrań Dasi Szczerbickiej, The Skunks i Saturatora. Obaj z czasem reaktywowali swoje główne kapele, ale to już nie było to samo.



FOT. ANDRZEJ ŚWIELIK/FOTOFORUM



W ostatnich latach życia Ciechowski był wreszcie szczęśliwym mężem i ojcem, ale nie miał pożywki do pisanie tekstów

Rafał Bryndał, który znał Ciechowskiego jeszcze z toruńskich czasów, uważa, że Republika po reaktywacji nie była już tym samym zespołem, bo zabrakło w nim basisty Pawła Kuczyńskiego, rzeczywistej siły napędowej grupy. Rafał na początku lat 90. znów zetknął się zresztą z Ciechowskim jako autor tekstów piszący dla Atrakcyjnego Kazimierza (prywatnie Jacek Bryndał, brat Rafała). Pamięta, że Ciechowski dopisał mu zakończenie jednej z piosenek, ale nie podpisał się jako jej współautor. Sam jako tekściarz uważa, że utwory Ciechowskiego były zbyt patetyczne.

Dla Justyny Steczkowskiej Ciechowski komponował pod własnym nazwiskiem, ale teksty pisał początkowo pod pseudonimem Ewa Omernik, bo – jak uważa Tolak – było wielu niezbyt wrażliwych mu ludzi w branży, którzy nie wsłuchując się, przekreśliliby jego teksty z góry jako „ciechowszczyznę”.

– Kiedy „Dziewczyna Szamana” zdobyła popularność, miała dużo nominacji do Fryderyków, wszyscy zaczęli interesować się dziewczyną, która pisała dla mnie teksty – wspomina Steczkowska. – Zrobiło się gorąco i pojawiły się pytania, gdzie ona mieszka, czy można z nią po-

rozmawiać. Opowiadałam o niej, że jest miłą młodą dziewczyną, ale nie chce się kontaktować z prasą. Na Fryderykach wyciągnęłam go na scenę i powiedziałam, że to jest właśnie Ewa Omernik.

Jakim cudem mężczyzna napisał wiarygodne kobiece teksty?

– Grzegorz jest... no, niestety był... – Steczkowska podobnie jak Tolak łapie się na tym, że mówi o Ciechowskim nadal w czasie teraźniejszym – wnikliwym obserwatorem. I ponieważ my, nagrywając



FOT. W. GUINIA/EPRE

Tajemniczą dziewczyną, która pisała teksty Justyny Steczkowskiej, był Grzegorz Ciechowski

płytę, spędziliśmy pół roku ze sobą, to żyłam razem z jego rodziną, byłam jej członkiem. Grzegorz widział, co się ze mną dzieje. Widział, jak wracam nieszczęśliwa, bo coś się dzieje złego między mną a moim narzeczoną – na szczęście by-

łym – i tak dalej. Poza tym, chcąc nie chcąc, słyszał jakieś strzępki rozmów moich z moimi narzeczonymi. To wszystko tworzyło w jego głowie jakiś obraz tekstów na mój temat. Zresztą trafny.

– Mój Cmon to nie jest Ciechowski – zarzeka się Kowalewski. – Cmon to mógłbym być ja, gdybym miał to, czego mi Bozia poskaپیła – muzyczny talent. Oczywiście, pisząc „Bóg zapłać!”, myślałem o Grzegorzu, ale myślałem przede wszystkim

o procesie samego stawania się gwiazdą, idolem, o tym subtelnym momencie, którego nigdy nie potrafi wyłapać żaden biograf, kiedy zwykły człowiek nagle traci swoją prywatność i przechodzi do zbiorowego mitu, staje się sławą,

wielkością, pupilką mas. Uchwycić, opisać tę chwilę, pokazać, co się wtedy dzieje u niego tam, w środku! Grzegorz tak właśnie wystrzelił. Czy Ciechowski czytał „Bóg zapłać!”? Nie wiem.

Za dobre życie

Cmon w burzliwy sposób rozstał się z Jagienką. Rozstanie Ciechowskiego z Potocką stało się w roku 1994 pożywką dla raczkujących brukowców (Potocka opowiadała w wywiadach, że chciała wtedy popełnić samobójstwo, ale samochód, którym zamierzała zjechać ze skarpy do rzeki, zarył się w piachu), Tolak w imieniu zespołu mówi, że ta pani nie ma obecnie z Republiką nic wspólnego. Trzecia żona Cmona miała na imię Iweta, zaś Ciechowskiego – Ania.

Z pierwszą, Jolą, Ciechowski nawiązał znów przyjazne kontakty i tak się złożyło, że jej drugi mąż został w roku 1996 wydawcą „prawdziwego” tomiku poetyckiego lidera Republiki – „Wokół niej”. Książeczka przeszła bez echa. Przydała się jednak w nieoczekiwanym momencie. Kiedy w roku 1998 Republika nagrywała płytę „Masakra”, w studiu okazało się, że Ciechowski nie ma gotowych wszystkich tekstów, i Leszek Kamiński, realizator nagrań, powiedział przyjacielowi, żeby przerobił na piosenkę jeden ze swoich wierszy z tomiku – tak powstało „Trzyście cyfry”.

Z materiałem na nową płytę Republiki było podobnie. – Przypuszczam, że pisanie tekstów na płytę, której nie ma, to był dla niego najgorszy okres jako artysty, bo on nie miał pożywki – uważa Jerzy Tolak. – Znalazł normalny dom – żonę, która go kocha, idealne dzieci. Mielśmy taki plan, że jak on skończy produkcję muzyki do „Wiedźmina” we wrześniu, to październik i listopad przeznaczy na pisanie tekstów. Nie napisał. Może jeden.

Tolak był bardzo zdziwiony, kiedy po śmierci Grzegorza przeczytał to, co zmarły pozostawił w komputerze – zaledwie trzy nowe teksty. Tylko jeden z nich zdążył nagrać z muzyką – właśnie „Śmierć na pięć” promować będzie ostatnią płytę Republiki.

Wchodzących na stronę wita głos Ciechowskiego, można też ściągnąć sobie z niej między innymi melodie piosenek Republiki jako dzwonki do telefonów.

– Jest to piosenka o przemijaniu, tęsknocie – mówi Tolak. – Napisał też „Życie nie umierać”, o swoim świetnym okresie. Ale wszystko jest w kontekście śmierci – życia. Jest jeszcze jeden tekst, o rozstaniu ojca z synem. Jakbym go czytał przed śmiercią Grzeska, pomyślałbym, że po prostu ojciec daje rady dorastającemu synowi:

(...) nie zrobisz tego co
zrobiłem mimo że
już przeżywałem
obietaj mi
że będziesz kochał raz
obietaj mi
nie powiesz Bogu: pa
obietaj mi że wszystko co jest we
mnie złe
ominie cię i będziesz
inny niż ja.

– Daliśmy jako Republika podtytuł „Piosenka dla Bruna”. On się z nim normalnie żegna. To jest nieprawdopodobne. Od dawna zastanawiałem się, czy jest coś takiego jak przecucie – nie mam zielonego pojęcia, jestem daleki od parapsychologii. I co jest najgorsze, ja widziałem w jego problemie z pisanem tekstów to, że ma za dobre życie.

Niespełna trzy tygodnie przed śmiercią ukazał się w „Vivie” wywiad przeprowadzony z Ciechowskim przez Piotra Najsztuba. „Chciały go zniszczyć porzucona kobieta i kokaina. Przeżył. Czyżby był niezatapialny?” – zachęcał do czytania wstęp. W wywiadzie lider Republiki z dumą ogłaszał, że oczekują z Anią kolejnego dziecka.

Córka Józefina urodziła się 42 dni po śmierci swojego ojca.

Republika w telefonie

W księdze gości na internetowej stronie Republiki pierwsze 200 wpisów pochodzi sprzed 22 grudnia, następne 600 – z ostatnich dwóch miesięcy. Piszą 30- i 40-latkowie mieszkający w Polsce, ale często też emigranci (jak ci z drugiej wersji „Białej flagi”), że płakali i że tego dnia skończyła się dla nich młodość.

Ostatni raz Republika zagrała z Ciechowskim 11 listopada. Wcze-

śniej, jeszcze w październiku, Tolak i Ciechowski spotkali się z Wojciechem Kościelniakiem w sprawie spektaklu „Kombinat” na wrocławskim Przeglądzie Piosenki Aktorskiej, w którym piosenki Ciechowskiego mieli śpiewać z Republiką między innymi Kinga Preis, Jacek Bończyk, Mariusz Lubomski, Karolina Trębacz, Konrad Imiela, Sambor Dudziński...

– Nawet sobie Grzesiek jaja robił, że będzie musiał się nauczyć chórków do własnych piosenek – przypomina Tolak.

Reżyser wychował się na piosenkach Ciechowskiego. Scenografia i kostiumy mają przywoływać na myśl światy wykreowane w powieściach George’a Orwella i Franza Kafki.

Spektakl odbędzie się 16 marca i tego dnia Republika – bez lidera – zagra ostatni raz.

Po śmierci Ciechowskiego Czesław Apiecionek, znany warszawski księgarz, wystawił w swoim Odeonie tomik „Wokół niej”. Przez pięć lat sprzedano się kilka egzemplarzy, przez ostatnie dwa miesiące – 12. Ciechowskiego znał z widzenia – robił w swojej księgarni imprezy promujące płyty, na których spotykał zwykle milczącego lidera Republiki, ale ten ostatni nigdy nie był jego klientem i nie wiadomo mu, jakie książki czytał.

Czym różnił się Cmon od Ciechowskiego? – pytam Włodzimierza Kowalewskiego.

– Cmon był sentymentalny, Ciechowski nie – odpowiada autor „Bóg zapłać!”. – Cmon był wirtuozem instrumentu, Ciechowski może nie grał tak biegle, ale był intelektualistą i kreatorem. Cmona „kręciła” przeszłość, gitarowe klimaty, „druciane” brzmienia lat 60., Ciechowski tworzył władczo, kroczył własną drogą i zawsze do przodu, szukał, budował, nie bał się eksperymentów. To, co robił, jest okiem nowoczesności w zalewie postmodernizmu, widocznym także w muzyce. Ale czy można porównywać wymyślonego bohatera z prawdziwą postacią?

PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ

23 marca ukaże się pożegnalny album z materiałem koncertowym Republiki i kilkoma niepublikowanymi piosenkami

Inne gusta

Prawda o ludzkiej komedii pokazana bez sentymentalizmu



Opowieść o biznesmenie, który zabłąkał się wśród artystów, jest oczywiście komedią obyczajową. W dodatku bardzo francuską. Jednak bohaterowie szczęśliwie nie prowadzą długich i błyskotliwych rozmów. Nie mają na to czasu.

Przedsiębiorca Castella uwikłany jest w interesy i pracę nad sobą. Musi nauczyć się angielskiego, bo jakże dziś bez tego poradzić sobie w biznesie. Tyle że nie ma do tego cierpliwości. Z kolei artyści jak mróweczki krzątają się wokół sztuki i pieniędzy.

W tym filmie każdy jest traktowany z jednakową uwagą. Wątki spletają się z muzyczną precyzją. Nie widać wprawdzie jawnego dyrygenta, ale kto zna się na filmowej kuchni, wie, że to właśnie Manie (debiutująca jako reżyserka Agnes Jaoui, która jest także współscenarzystką wraz z Jean-Pierre'em Bacrim, na ekranie Castella, w życiu – swoim mężem).

Manie to paryżanka w każdym calu, swobodnie zmienia mężczyzn i uzupełnia zarobki w barze, sprzedając narkotyki. Tylko hasz, nic cięższego. Jest amoralna, ale z zasadami. Zresztą w tym filmie pełnym perypetii, które rozwijają się z komediową lekkością i wdziękiem, w gruncie rzeczy nic nie jest łatwe. I wszyscy mają kłopoty.

Żona jest snobką i zaciąga męża do teatru. „Mówią wierszem!” – wzdycha przerażony Castella, bo to tragedia Racine’a. Śmieszne, ale nieprzypadkowe, chodzi bowiem o sytuację symboliczną: w tym filmie Racine spotyka się – już poza sceną – ze współczesnym Moliere. Molirowską ostrość wyczuwa się w charakterystyce środowisk, które rzadko się spotykają, a jeszcze rzadziej przenikają. To prawda spoza ekranu i obowiązująca nie tylko we Francji. Jeśli środowiskowe granice się uchylają, sytuacja zasługuje na film.

Prostacki biznesmen Castella zwraca więc uwagę na subtelność aktorki. Ma 40 lat i nie jest ładna. Nie zrobiła kariery i nie znalazła życiowego partnera, ale wciąż marzy o dziecku. Kiedy nie występuje na scenie, uczy angielskiego. To ona jest nauczycielką Castelli, który początkowo nawet jej nie rozpoznaje w scenicznym kostiumie. Po czym rozpoczyna się historia nie tyle miłości, co jednostronnego zauroczenia. Castella snuje się za Clare, za wszelką cenę usiłując wejść do jej towarzystwa i robi z siebie dumia. Właściwie wszystkim drażni Clare. Ale jest inteligentny i zmienia się – powoli, lecz konsekwentnie. A Clare nie byłaby kobietą, gdyby nie doceniła uporu starającego się o jej względy mężczyzny.

Tylko czy to miłość? Zapewne Castella kocha Clare, ale przede wszystkim kocha wszystko, co ona reprezentuje: intelektualną swobodę, szerokość horyzontów. No i gust. A że przy okazji wychodzą różne przywary jej środowiska – małostkowość, cynizm i chciwość? Trudno. Castella ryzykuje jak każdy, kto usiłuje zmienić swoje życie.

Mądrość filmu tkwi nie tylko w pozbawionym złudzeń realizmie, z jakim się o tym mówi, lecz także w tym, że nie przynosi on żadnego rozwiązania. Każde jest możliwe.

ANDRZEJ KOŁODYŃSKI

„Gusta i guściki”, reż. Agnes Jaoui, Francja 1999, Gutek Film

Śnić jak Tom Cruise

Czy zdarza się wam śnić, że już się obudziliście?
A może chcielibyście wiedzieć, o czym śni
Tom Cruise? Może śnić razem z nim?
Jeśli tak – możecie się zakochać w tym filmie!

Davida Aamesa (Tom Cruise) budzi ze snu aksamitny kobiecy głos: „Open your eyes!” („Otwórz oczy!”). Po chwili bohater ulegnie temu wezwaniu, a my dopiero wtedy zorientujemy się, że tę uporczywie powtarzającą się frazę od twarza elektronicznego budzik.

David bez przesadnego pośpiechu idzie do łazienki, staje przed lustrem i z nieukrywana aprobatą przygląda się swojemu odbiciu. W skupieniu pozbywa się siwego włosa. Już podejrzewamy, z kim mamy do czynienia.

Kamera nieuważnie zahacza wzrokiem o rękę zgarniającą ze stolika zegarek i gruby plik kart kredytowych. I już ulica. Czarne ferrari rusza z piskiem opon. Tyle że nowojorski zaulek w dobrej dzielnicy, doskonale znany z niezliczonych filmów, teraz jest... pusty. Pierwsza myśl – David wstał za wcześnie. On też na to wpada. Ale zegar na desce rozdzielczej pokazuje dziewiątą z minutami. Tymczasem kolejne przecznice są



Spotkanie z Sofią (Penelope Cruz) odmieni życie Davida

kompletnie wyludnione. David wyskakuje z auta, zostawia je na ulicy i biegnie środkiem jezdni. Wokół – żywego ducha. Zewsząd otaczają go ludzkie postaci, ale to tylko obrazy – na wielkich ekranach pojawiają się reklamy, klipy, informacje. Osaczają go, natrętnie domagając się uwagi, ale nie kontaktu, istnieją same dla siebie, w pustej przestrzeni.

Ta sekwencja nie tylko niezwykle efektownie otwiera „Vanilla Sky” Camerona Crowe’a, budząc nieokreślony niepokój, który będzie towarzyszył widzowi aż do końca. To również klucz do całego filmu.

David Aames ma wszystko

Jest młody, zdrowy, piękny i bogaty. Jego rodzice zginęli w wypadku, zostawiając mu świetnie funkcjonujące wydawnictwo. Ma dobry gust, wdzięk i ten niepowtarzalny rodzaj pewności siebie, jaki dają młodość, pieniądze i władza.

Praca? Sprawia mu przyjemność, ale szefowania wydawnictwu nie traktuje zbyt poważnie. Ludzie? O nich można powiedzieć to samo. Dziewczyna (Cameron Diaz), z którą spędza noce, musi długo czekać na kolejny telefon. Przyjaciel, wierny i lojalny Brian (Jason Lee), nie ma złudzeń,

że David będzie się liczył z jego uczuciami.

David rozdaje uśmiechy i zaszczyca względami. Nawet wrogów – ustanowioną przez rodziców radę nadzorczą – traktuje z szacunkiem podszytym nonszalancją. Słowem – księżę Nowego Jorku. Uroczy drań. Daje się kochać. Ale tylko na jego własnych warunkach. To on rozdaje karty w tej grze, nie zastanawiając się, jakie uczucia budzi w pozostałych uczestnikach. W ten sposób nieuchronnie skazuje się na samotność. Nie wydaje się jednak, aby był tym zmartwiony. Do czasu.

Na party do Davida Brian przychodzi z Sofią (Penelope Cruz). Przedstawia ją przyjacielowi, twierdząc, że być może to ta dziewczyna, na którą czekał przez całe życie. Dla Davida to kolejne wyzwanie.

Trudno powiedzieć, czy jego fascynacja nową znajomą jest autentyczna, czy traktuje sytuację jako okazję do przećwiczenia wypróbowanych metod podboju, czy też powoduje nim chęć zirytowania Julie, która zjawia się na przyjęciu nieproszona. Sofia rzeczywiście może budzić jego zainteresowanie. Nie tylko urodą, ale też tym, że jest osobą z zupełnie innego świata, „ostatnią bezinteresowną



Film tajemniczy, przewrotny, poruszający. Julie Gianni (Cameron Diaz) i David Aames (Tom Cruise)

dziewczyną w Nowym Jorku” – jak mówi David – prostolinijną i bezpretensjonalną. Czy rzeczywiście dla kogoś takiego jak Aames mogłaby stać się kimś więcej niż postacią epizodyczną?

Tego się nie dowiemy. Bowiem konsekwencje nocy spędzonej na rozmowie z Sofią spowodują, że David już nigdy nie będzie tym samym człowiekiem.

David traci wszystko

Bo czymże innym jest utrata twarzy, zwłaszcza dla kogoś takiego jak on? To niemal utrata tożsamości.

I wtedy Sofia okazuje się najważniejszą osobą w jego życiu, kimś z waniliowego nieba z obrazu Claude’a Moneta, który wisi w apartamencie Davida. Kimś, kto pozwala mu przetrwać. To załuga Sofii? Czy raczej mitu romantycznej, uduchowionej, pełnej oddania, prawdziwej miłości, w którą, jak się okazuje, wierzy cyniczny playboy z pierwszych scen filmu.

To jedno z wielu pytań, które Cameron Crowe pozostawia bez odpowiedzi.

„Vanilla Sky” to film niepokojący. Reżyser prowadzi nas za rękę, precyzyjnie przeplatając wątki, stawiając znaki, bawiąc się powracającymi motywami. Te same dialogi w ustach różnych postaci zmieniają się odcieniami znaczeń, sugerując zarazem, że coś w opisywanym świecie jest nie w porządku.

Niepokój – na innym poziomie odbioru – budzi też kłopot z klasyfikacją gatunkową tego filmu. Thriller? Melodramat? *Science fiction*, jak się niespodzianie okazuje na końcu? A może studium obłądu?

Wszystko po trochu. Ale to nie zarzut. Reżyser po mistrzowsku żongluje konwencjami, całkowicie panując nad formą. Pozwala nam umościć się wygodnie w dobrze znanym świecie, by za chwilę wziąć go w cudzysłów.

Troje solistów i orkiestra

Siła filmu tkwi oczywiście również w kreacjach aktorskich. Muszę przyznać, że nie byłam wielbicielek Tom Cruise’a. W uznaniu jego talentu zbyt często przeszkadzał mi wyraz trudno ukrywanego samozadowolenia malującego się na gładkiej, chłopięcej buzi. W „Vanilla Sky” Cruise naprawdę imponuje. Mało tego: wzrusza.

A patrząc na Penelope Cruz, niewinną i zmysłową zarazem, zaczęłam odrobinę mniej współczuć Nicole Kidman, a odrobinę bardziej rozumieć Toma C.

No i jeszcze Cameron Diaz w popisowej roli Julie Gianni, która budzi równocześnie współczucie, irytację, przerażenie. I aktorzy drugoplanowi, z Jasonem Lee w roli Briana i Kurtem Russellem jako psychiatrą na czele.

Cameron Crowe jest wspaniałym dyrygentem, który bez jedne-

go fałszywego tonu poprowadził trudny koncert na troje solistów i orkiestrę.

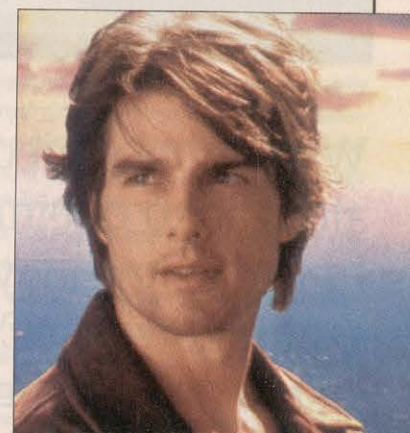
Żyjemy snami

Trudno interpretować sens tego filmu, nie zdradzając jego zaskakującej pointy. Ale spróbujmy. Prócz znaczeń oczywistych – dramatu miłości, zazdrości i poczucia winy – ten film opowiada również – czy może nawet przede wszystkim – o tym, że jesteśmy manipulowani. I o pozorach, że podlegamy manipulacji, gdy tymczasem sami ochoczo stajemy się jej narzędziem. Ale czy to jeszcze manipulacja?

„Vanilla Sky” przypomina, że żyjemy snami. Zbiorowymi snami produkowanymi od wieków przez kulturę, a od jakiegoś czasu – głównie przez jej wersję pop. Tytuł filmu nie jest przypadkowy. Waniliowe niebo Davida to symbol świata, do którego tęsknimy, do którego tęskni bohater. A że jego sny składają się z klisz, schematów i mitów, którymi karmi nas literatura popularna, a zwłaszcza – kino? Sny przetwarzają rzeczywistość, ale nie mogą od niej uciec. „Vanilla Sky” obnaża tę prawdę, nie pozbawiając nas zarazem przyjemności obcowania z mitami. Buduje własny mit, własną opowieść, pytając, do jakiego stopnia jesteśmy skłonni w nią uwierzyć i jak bardzo ta wiara jest nam potrzebna do życia.

Wszystkie niepokojące drogowskazy rozsiane w całym filmie, wszystkie wątpliwości co do ich znaczenia rozwiewają się w ostatniej, brawurowej scenie. Zagadka daje się wyjaśnić. Klocki układają się w precyzyjnie skonstruowaną całość. Ale czy rzeczywiście?

Kiedy w ostatnich sekundach filmu ekran wypełni białe światło i usłyszymy głos: „Otwórz oczy!” – czy będziemy umieli powiedzieć



Młody, piękny, zdrowy i bogaty.

coś na temat świata, który zobaczy David po ich otwarciu?

Tajemniczy, przewrotny, poruszający film.

Czy chcecie śnić jak Tom Cruise? Trafia się niepowtarzalna okazja...

LENA KOMSZCZYŃSKA
„Vanilla Sky”,
reż. Cameron Crowe,
USA 2001, UIP

Nikt nie spodziewa się hiszpańskiej inkwizycji...

...w wykonaniu fanów Monty Pythona



Przedmiot sporu: Latający Cyrk Monty Pythona

Pilotka. Co prawda, to prawda. Nie spodziewałem się zatem, że w imię sympatii do Pythonów można przyłożyć ekskomunikę wielbicielom Marcina Dańca. No cóż, kochać to nie znaczy zawsze to samo. Jeśli o mnie chodzi, można kochać Cleese'a, Idle'a, Jonesa, Palina, Gilliama bez wzywania na świadków tej miłości samego Pana Boga, a co najmniej Woody'ego Allena. Można minutą śmiechu uczcić pamięć Grahama Chapmana, ale lepiej nie prowokować go namaszczonego uwielbieniem, bo jeszcze zmartwychwstał i jak nic wyśmiewa wielbicieli.

Monty Python a inteligencja

Dla Andrzeja Saramonowicza fenomen Monty Pythona to „humor inteligentów dla inteligentów”. To tylko pół prawdy, a zatem coś, co powinno się serwować raczej półinteligentom. „Humor inteligentów”? No jasne. Tylko „dla inteligentów”? Ejże. Czy można z miłości do Monty Pythona uczynić obowiązkowym test na inteligencję? To już brzmi jak szantaż. Nie dajmy się jednak sprowokować, tylko zauważmy, że humor Monty Pythona bardziej wyróżnia inne cechy niż założona z góry obowiązkowa inteligencja widzów.

Po pierwsze, humor Monty Pythona nie jest inteligentki w tym samym znaczeniu, w jakim inteligentki jest humor Kabaretu Starszych Panów czy Woody'ego Allena, których przyzywa Saramonowicz. Nie jest to nawet humor jednorodny. Z imponującym rozmachem miota się między sztubackimi żartami ludzi odraewujących męki uczęszczania do ekskluzywnych *public schools* a ekskluzywnymi skeczami o egzystencjalizmie Sartre'a czy poetach recytujących klasykę „w każdym domu”. Natomiast absolutnie genialny „taniec z policzkowaniem rybami” potrafi docenić nawet pięcioletnie dziecko, co przetestowałem kiedyś na własnym synu. Rzeczy naprawdę śmieszne bawią na różnych poziomach odbioru.

Po drugie, humor Pythonów jest humorem angielskim. I w Wielkiej Brytanii zdobył (aczkolwiek nie tak od razu) uznanie o wiele szerszej publiczności niż tylko widzów z dyplomami wyższych uczelni. Nie objawił się też znikąd. Na ukształtowanie poczucia humoru Pythonów

wpłynęła długa tradycja angielskiego humoru w życiu i literaturze, współtworząca także amerykański *background* Terry'ego Gilliama. Obecnie zaś w twórczości Monty Pythona akcenty bluźniercze łatwiej zrozumieć, pamiętając o kulturowych skutkach anglikańskiego rozwoju z Rzymem i skutkach reformacji w ogóle. Nie trzeba od razu doszukiwać się tu boskiej inspiracji. Ten typ tak ma. Bo to jest inny typ niż nasz.

Monty Python a sprawa polska

Nasz rodzimy dorobek w dziedzinie humoru absurdu i obrazoburczego jest na tle angielskiego bardziej niż skromny. Polska mentalność (nie tylko inteligentka) czerpie z innych źródeł. Dlatego całkiem spory sukces Monty Pythona wśród części polskiej inteligencji w wieku produkcyjnym wypada uznać za kolejny „cud nad Wisłą”.

Polacy nieskłonni do konwersji na pythonowe wyznanie niekoniecznie muszą być ograniczeni umysłowo. Nie jest także prawdą, że uwielbienie dla Kabaretu Starszych Panów automatycznie musi iść w parze ze zdolnością pokochania humoru Monty Pythona. Znam inteligentnych inteligentów starszej daty, u których nie idzie, żeby szło. Przybora tak, Python nie. Nigdy wreszcie dość przypominania, że bez inwencji tłumacza pythonowskich skeczy świętej pamięci Tomasz Beksiniński Monty Python nie byłby w Polsce tym, czym jest. Są to przekłady tyleż „piękne”, co „wierne inaczej”. Beksiniński uczynił humor Pythonów bardziej polskim i bardziej inteligentnym zarazem. Coś za coś.

Monty Python a telewizja

Około 50 proc. (kto nie wierzy, niech policzy) skeczy Monty Pythona to specyficznie uprawiana satyra na... telewizję. Nawet wtedy, gdy punktem dojścia jest absurd niemający nic wspólnego z publicystycznym wymiarem satyry. Na przełomie lat 60. i 70. brytyjska publiczność była już nieźle oswojona ze śmiesznościami telewizyjnymi, co medium dla głupich robionego przez jeszcze większych idiotów. Monty Python ku uciesze i nauce tych pierwszych przystawił krzywe zwierciadło tym drugim. Wolność słowa i angielski dystans do wszystkiego, co nie dotyczy rodzimej piłki nożnej, dopełniły resztę. To właśnie BBC „puściła” Johnowi Cleese'owi tekst, że „chciałby układać ramówkę [BBC - przyp. D.R.], ale niestety ma wyższe wykształcenie”.

Takiej swobody w ośmieszaniu telewizji w telewizji u nas nie było, nie ma i nie będzie. Saramonowicz ma rację, pisząc, że „żadna telewizja świata nie wyemituje już takiego programu”. Przesadza natomiast, twierdząc, że stanie się tak z powodu potencjalnie niskiej oglądalności. W Anglii Monty Python też nie powstał za pieniądze stacji komercyjnych. Bez publicznej kasy wyłożonej przez BBC w ogóle by nie zaist-

niał. Gdyby Starsi Panowie urodzili się 40 lat później, nie mogliby zrobić swojego kabaretu w Polsce czy TVN. (Co gorsza, do obecnej TVP nie wpuściłaby ich Nina Terentiew, chyba że „Walczyki przy ognisku” wykonaliby na jakiejś telebieszczadzie). Ale jest jeszcze inny powód. Cuda rozrywkowego geniuszu, zarówno te nad Wisłą, jak te nad Tamizą, mają to do siebie, że nie chcą się powtarzać na zawołanie. A telewizji (bo niekoniecznie jej odbiorcom) można i trzeba dołożyć nie tylko za schlebienie niskim gustom. Otóż dzisiejsza telewizja tak się w sobie zakochała i tak dba o własny wizerunek, że nie byłaby pewnie zdolna do tolerowania w swoich ramówkach żadnej piątej kolumny o antytelewizyjnym posmaku. W przypadku Polaków dodatkową trudność stwarza ograniczona zdolność telewizji do akceptacji bezlitosnego szyderstwa z medium, które tak lubią.

Trochę luzu

Pogódźmy się z tym, że humor Pythonów pozostanie w Polsce zjawiskiem niszowym. Brak wrażliwości na niego nie jest automatycznie dowodem zidiocenia, chociaż zidiocenie gwarantuje pełny sukces w opieraniu się jego urokom. Urokom zresztą niejednoznaczny. Nie wszystkie skecze Monty Pythona są równie genialne. Dla inteligentów, którzy swój kabaretowy gust szlifowali na Starszych Panach, niektóre mogą być naprawdę ciężkostrawne. Nigdy nie polubię skeczu z rzyganiem zakończonym eksplozją brzucha Terry'ego Jonesa w filmie „Sens życia”. Jeśli z tego powodu Andrzej Saramonowicz wyklunie mnie z grona wtajemniczonych inteligentów, to trudno. Ale może nie wyklunie, tylko z angielską flegmą przemyśli sobie parę spraw.

Nie jest tak źle. Minimalne ślady pythonizmu oko nieuprzedzonego obserwatora może wykryć nawet w „Świecie według Kiepskich”. Stan członkowski PPMP (Polskiej Partii Monty Pythona) jest na pewno większy niż przeważającej części tutejszych partii politycznych. Dlatego proponuję się spokoju. Wspólnota śmiechu to fajna rzecz, ale rzadko obejmuje całe narody. I nie da się jej wymusić za pomocą szantażowania Czytelników „Przekroju” testami na inteligencję. Już lepiej zacząć publicznie szantażować i naciskać władze TVP, by pieniądze topione w coraz bardziej stetryczałym i zalatującym polityczną dyspozycyjnością Kabarecie Olgi Lipińskiej zainwestowały rozsądniej. Mogłyby, na przykład, dać szansę tym, którzy zamiast tylko tęsknić wzdychać za Starszymi Panami czy Monty Pythonem, woleliby dać się im natchnąć i pójść w ich ślady. Najlepiej inteligentnie.

DOBROSLAW RODZIEWICZ
(autor jest dziennikarzem Radia Kraków)



Jacek Kawalec i Piotr Zelt

Gad zastępczy

W ogóle mam małe poczucie humoru. Cały weekend siedziałem, gryzłem paluszki i myślałem, co z tym zrobić. Recenzent z poczuciem humoru napisałby pewnie tak:

Miła wiadomość dla fanów „Latającego Cyrku Monty Pythona”. Angielski show dostępny jest także w wersji polskiej. Premierowy pokaz odbył się niedawno na scenie warszawskiego Teatru Nowego. Rozpoczęło się od trzech gołych siedzeń, a skończyło na okładaniu tortami. Nie ma się jednak czego obawiać. Nie podzielił się losu premiera Buzka, któremu uroki swej anatomii zaprezentował ongiś znany rockowy muzyk. Siedzenia wypięte były nie w stronę widowni, lecz w lewą kulisę, zaś tortami okładano jednego tylko wykonawcę. Widzów oszczędzono.

Iść, nie iść? Miłośników tego programu z pewnością nic nie odwiejdzie od obojętności i posłuchania skeczy znanych z telewizyjnego ekranu. Oczywiście ten trwający półtorej godziny kabaretowy program jest zabawny, nawet największy ponurak zachichocze. Trudno jednak pozbyć się myśli, że opowieść faceta, który stał się myślarzem, cierpienia fryzjera marzącego o byciu drwalem, pikantne szczegóły seksualnych obyczajów mięczaków, słynne Ministerstwo Głupich Kroków, skatologia i obyczajowa prowokacja, w której celowali panowie spod znaku Monty Pythona – śmieszne są dlatego, że znakomity jest sam literacki materiał. Angielski *pure nonsense*, który w oryginale miał przewrotny i prowokacyjny urok, na scenie Teatru Nowego traktowany jest zbyt często z finezją, którą można by określić raczej jako bawarską. Niestety, Polska to kraj nie aż tak wyrafinowany. Brak angielskiego *understatement* musi nam zastąpić tort na twarzy Piotra Zelta, dyszkant Jacka Kawalca kilkakrotnie przebiegający się w damskie ciuszki, nonszalanca Piotra Szwedesa i *vis comica* Arkadiusza Jakubika, który jest reżyserem i najlepszym aktorem wieczoru.

Recenzent wyzuty z poczucia humoru rzuciłby na odchodnym:

– Nie wiadomo, kiedy znów w telewizji założą nam prawdziwego (monty) pytona. Wobec braku dużego gada z pierwszej ręki musimy się zadowolić zaskrońcem.

(most)

Teatr Nowy w Warszawie
(i inne teatralne miejsca w Polsce), „Cyrk Monty Pythona”,
według tekstów Monty Pythona, reż. Arkadiusz Jakubik

Wspólnota śmiechu to fajna rzecz, ale rzadko obejmuje całe narody. I nie da się jej wymusić za pomocą szantażowania Czytelników „Przekroju” testami na inteligencję

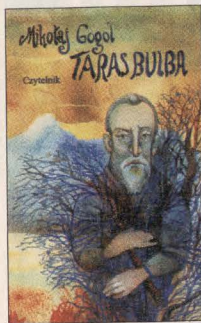
W odpowiedzi ANDRZEJOWI SARAMONOWICZOWI

Artykuł o fenomenie „Latającego Cyrku Monty Pythona” („P” 10/2959) przeczytałem w całości. Nie było to łatwe, bowiem autor co chwila stawiał mi kolejne warunki, uzależniając od ich spełnienia sens dalszej lektury. A nawet sugerując, że bez spełnienia tych warunków nie można uważać się za inteligenta. Ale jakoś zdołałem wytrzymać tę musztrę i rzecz przeczytałem do końca. Dzięki temu wiem przynajmniej, że niemożliwe jest możliwe. Wiedziałem (podobnie jak autor), że można o Monty Pythonie wygłaszać opinie świadczące o trwałej od-

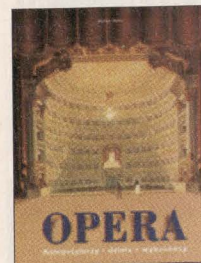
porności na ten rodzaj humoru. Ale do głowy mi nie przyszło, że kiedyś przeczytam egzaltowaną apologię Monty Pythona napisaną przez surowego strażnika świętego (aczkolwiek bluźnierczego) ognia pythonizmu.

Można mieć do Monty Pythona stosunek wyznawczy. Sam nie jestem daleki od tego i dysponuję nawet 15 relikwiami w postaci kaset VHS. Ale uprawiać kult telewizyjnej rozrywki z inkwizytorską powagą? Toż to i śmieszno, i straszno. „Nikt nie spodziewa się hiszpańskiej inkwizycji” – tryumfalnie wołał Terry Jones jako kardynał

● SLABE ●● PRZECIĘTNE ●●● ZACNE ●●●● ZNAKOMITE ●●●●● WYBITNE



Mikolaj Gogol, „Taras Bulba”, przeł. Aleksander Ziemny, Czytelnik, Warszawa 2002



Andras Batta (red.), „Opera. Kompozytorzy, dzieła, wykonawcy”, tłumacze różni, Wydawnictwo Baran i Suszczyński, Kraków 2001



Tony Parsons „Za moje dziecko”, przeł. Andrzej Szulc, Albatros, Warszawa 2002

Na tę książkę czekali od dawna – brak polskiego przekładu „Tarasa Bulby” Gogola zdumiewał. Ale oto Aleksander Ziemny dokonał znakomitego tłumaczenia – i tak dotarło do nas wreszcie to słynne „czarne lustro” powieści „Ogniem i mieczem” Sienkiewicza opisujące Dzikie Pola i zmagania z Lachami z kozackiej perspektywy. Tych jednak, którzy cieszą się na przeżycie raz jeszcze emocji znanych każdemu, kto skończył 12 lat i z panem Skrzetuskim na Sicz posłował, wypada przestrzec: to nie to. I nie o „antypolskie akcenty” tu chodzi – prawda, że Lachy niezbyt sympatycznie opisane, nie surowiej jednak niż w znanych mowach Chmielnickiego. Nie w tym rzecz, że butni oni i okrutni, ale że papierowi. Powieść Gogola okazuje się podręcznikowym przykładem romansu lotrzykowego epoki romantyzmu ze wszystkimi nużącymi dzisiejszego czytelnika staroświeckościami. Gdyby „Taras Bulba” był zapisem dawnych, sławnych, anonimowych pieśni, można by uśmiechać się wyrozumiale nad naiwnością anachronizmów rzucających się w oczy niczym autobus na planie filmu „Pan Wołodyjowski”. Jak na dumkę, to zbyt powieściowe; jak na powieść – zbyt wydumane. Jeśli Trylogia to wedle formuły Gombrowicza pierwszorzędną drugorzędną literaturą, „Taras Bulba” wydaje się drugorzędną literaturą trzeciorzędną. Tak więc książka przeznaczona jest raczej dla tych, co pragną lepiej zrozumieć przeszłość, niż dla miłośników kresowego czytadła. Dla tych pierwszych jednak – nieodzowna. (WS)

Tę monumentalną księgę ogląda się z wielką przyjemnością. Zgromadzone w niej – i świetnie reprodukowane – fotografie z przedstawień, wizerunki artystów, projekty scenografii czy plakaty dokumentują cztery wieki opery. Obok dzieł najpopularniejszych zostały tu umieszczone znane opery z ostatniego półwiecza, na temat których próżno szukać informacji w znanych po polsku wydawnictwach: Nono, Kagela, Ligietiego, Tippetta. A wszystko w formie alfabetycznego przewodnika zawierającego również coś w rodzaju komentarza. I właśnie owe komentarze nasuwają największą wątpliwość. Nie zawsze nawet można polemizować z poglądami autorów, ponieważ ich spolszczenie – praca siedmiorga tłumaczy! – trywializuje lub wręcz ośmiesza przekazywaną treść. Przy okazji „Jenufy” czytałem, że jej „psychiczne tło jest ciemne”, a o libretcie „Umarłego miasta”, że „posługuje się poniekąd iluzją sceny, aby przedstawić rozwiązanie patologicznej fiksacji”. Wszystkie te potknięcia irytują, zwłaszcza wobec imponującego rozmachu przedsięwzięcia. Warto mieć tę książkę, a jednak żal, że wciąż na coś trzeba przysmykać oko. (JM)

Nie należy się zrażać tytułem – źle przetłumaczonym i trudnym do zapamiętania. Owszem, w książce jest mowa o dzieciach, ale „One for My Baby” z całą pewnością oznacza wypity chińskim piwem toast za miłość. Zarówno „Mężczyzna i chłopiec”, jak i kolejna powieść Parsonsa to współczesne melodramaty z mężczyzną w roli głównej. Jest to, zaryzykuję, najbardziej przepełniona czułością – bez popadania w czułośćkowatość – literatura popularna na naszym rynku. Bohater „Dziecka”, Alfie, to mężczyzna w średnim wieku, nauczyciel angielskiego dla obcokrajowców, który wrócił do Anglii po dłuższym pobycie w Hongkongu. Spotkała go tam tragedia, utrata ukochanej żony. Życie ma jednak swoje prawa, więc i nasz połamaniec próbuje się jakoś pozbiierać. Ma kompleks ojca dziennikarza, który zrobił fortunę spisawszy w „Pomarańczach na Boże Narodzenie” (dobry tytuł!) wzruszające wspomnienia z dzieciństwa. Uwielbia matkę – dzielną ogrodniczkę – oraz babcię – słodką staruszkę. Ten ideał rodziny nieco się jednak sypie – ojciec przed sześćdziesiątką dostaje mądrego rozumu i ucieka z czeską służącą w typie Ivany Trump, matka dewastuje ogród, u babci wykrywają raka. W tle pojawia się wątek jak z „Pigmaliona” – ambitna sprzątaczką pobiera u Alfiego prywatne lekcje, a on przechodzi przez takie same fazy uczuć jak profesor Higgins w sztuce Shawa: irytację, wstyd, fascynację, podziw, by na koniec się zakochać. Ratuje tę książkę dobre pióro – Parsons sprawdza się zarówno w oddawaniu klimatu opisywanych miejsc, jak scenek rodzajowych i charakterystycznych środowisk, np. londyńskich yuppie. No i ta wszechobecna miłość, a o miłości lubią czytać wszyscy, nawet jeśli się z tym kryją. (HB)

Opium dla pisarzy

W autobiografii z roku 1822 De Quincey stosuje się do klasycznych reguł powieści sensacyjnej. A przy tym wynajduje psychoanalizę na długi przed Freudem

Czy pamiętacie, że Sherlock Holmes był namiętym kokainistą? Na początku „Znak czterech” pocciwy Watson ze zgrozą widzi, jak Holmes wstrzykuje sobie jakąś substancję, i pyta (ośmielony kieliszkiem wina wypitym do obiadu): „I cóż to było dzisiaj? Morfina czy kokaina?”. Holmes grzecznie wyjaśnia, że przyjął właśnie siedmioprocentowy roztwór kokainy i że stosuje go zawsze, gdy świat nie dostarcza mu wystarczająco mocnych podniet intelektualnych. W opowiadaniu „The Man with the Twisted Lips” (w Polsce znanym pod tytułem „Żebrak”) Watson, poszukując jednego ze swych pacjentów w londyńskiej palarni opium, nieoczekiwanie spotyka tam (przebranego oczywiście) Holmesa, który odzywa się do niego w te słowa: „Pewnie myślisz sobie, że do zastrzyków z kokainą i pozostałych słabostek, które jesteś łaskawy komentować z medycznego punktu widzenia, dorzuciłem jeszcze palenie opium?”. I choć akurat wtedy Holmes opium nie palił, to jednak i ta rozrywka nie była mu obca.

Watson nie znalazłby się w owej palarni przy Upper Swandam Lane (zwanej obrazowo Bar of Gold, co można by dziś przetłumaczyć jako Bar pod Złotym Strzałem), gdyby jego pacjent nie był uzależniony od opium. To zaś nigdy by nie nastąpiło, gdyby w szkole średniej, naczytawszy się „opisów snów i doznań sporządzonych przez De Quinceya”, nie próbował wywołać tych samych objawów, dodając tytoń do nalewki z opium, czyli laudanum. W ten oto sposób dochodzimy do głównego winowajcy. Thomasa De Quinceya, angielskiego eseisty i filozofa, pierwszego wybitnego zjadacza opium (opium-eater) w dziejach europejskiej literatury.

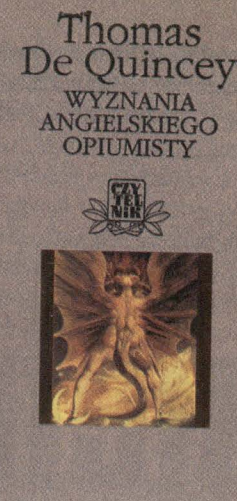
Thomas De Quincey (1785–1859) był umysłem nieprzeciętnym. W wieku młodzieńczym tak świetnie poznał grekę, że mógł swobodnie w niej konwersować, roz-

czytywał się w Kancie, napisał książkę o ekonomii politycznej, a w czasopiśmie publikował eseje o Goethem, różokrzyżowcach, masonach, Szekspirze, niemieckich słownikach, angielskich poetach, teologii oraz – jest to być może najlepszy jego esej, szczególnie dzisiaj wart uważnej lektury – „O morderstwie jako jednej ze sztuk pięknych”. Mimo to za życia znany był właściwie z jednej tylko książki. Ale za to jakiej! Gdy

w roku 1860 inny sławny opiumista i palacz haszyszu Charles Baudelaire będzie wydawał swoje „Sztuczne raje”, klasykę literatury narkotycznej, połowę książki poświęci właśnie De Quinceyowi i jego „Confessions of an English Opium-Eater”.

„Wyznania angielskiego opiumisty” ukazały się w roku 1822. Jest to właściwie autobiografia, w której De Quincey postępuje wedle klasycznych reguł powieści sensacyjnej, a więc robi wszystko, by dopiero na samym końcu powiedzieć najważniejsze, czyli wyjawić skutki działania narkotyku zażywanego przez kilka lat w straszliwej dawce tysiąca kropli dziennie. Narracja jest zajmująca, czasami przypomina ponure historie Dostojewskiego, co oznacza, że balansuje między kiczem a wzniosłością. Czytelnikowi oszczędzę jednak szczegółów i podsunę nieanegdotyczny sposób lektury.

Otóż jeśli ktoś do tej pory sądził, że psychoanalizę wynalazł Zygmunta Freud, to jest w grubym błędzie. Pierwszy bowiem był De Quincey, który na długi przed Freudem i jego „Objaśnianiem marzeń sennych” od-



cientki, De Quincey – za pomocą autoanalizy, jaką było dla niego pisanie autobiografii. W pewnym punkcie swoich naprawdę rewelatorskich wyznań De Quincey pisze: „Tak, czytelniku, zupełnie niezliczone są tajemnicze charaktery pisma smutku lub radości, które jeden po drugim same wpisywały się w palimpsest twojego mózgu i niczym spadające rok w rok liście w dziewiczych lasach lub nietopniejące nigdy śniegi na szczytach himalajskich, nieskończone ich warstwy pokryła jedna druga na wieczne zapomnienie”. Jasne jest, że charaktery pisma, jakimi została zapisana nasza psychika, odsłonić można, zamiast hipnozy stosując opium, choć równie dobrymi środkami zdają się pisanie i czytanie. Wynika stąd niedwuznacznie, że środkiem z wszystkich najskuteczniejszym – i jest to powód, dla którego trzeba czytać De Quinceya – może być lektura pism opiumisty.

MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI

Thomas De Quincey „Wyznania angielskiego opiumisty i inne pisma”, wybrał i przełożył Mirosław Bielewicz, wstępem opatrzyła Wanda Rulewicz, Czytelnik, Warszawa 2002

OKIENKO Z WIERSZEM

WIDZIAŁAM Julia Hartwig

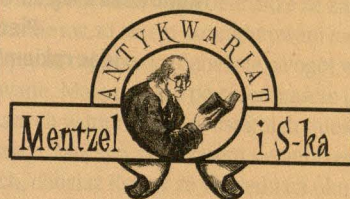
Widziałam te miasta we śnie

San Francisco i Nowy Orlean

Potem zobaczyłam je na własne oczy

A jednak w snach wracają te same co niegdyś krajobrazy
kpiąc sobie z tego co poznałam i z moich czterech zmysłów

Wiersz pochodzi z tomu „Wiersze amerykańskie”, który na początku kwietnia ukaże się nakładem wydawnictwa Sic!



Wiktor Gomulicki „Wspomnienia niebieskiego mundurka”. Ilustrował Konstanty Gorski. Przedmowę napisał Andrzej Kijowski, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1956; 291 s.

W dzieciństwie słynna książka Wiktora Gomulickiego była dla mnie ważna co najmniej z trzech powodów. Po pierwsze, zniszczyłem przez nią pamiątkowe kalosze dziadka (dlaczego? – wyjaśnię za chwilę). Po drugie, panicznie bałem się zamieszczonych w niej ilustracji, w szczególności rysunku do rozdziału „O chłopcu, co sypiał w trumnie”. Po trzecie, przebrałem zakład, że w pięć minut nauczę się na pamięć wiersza, którego bohater godzinami uczył się bezskutecznie. Chodziło o fragment ody Gawriła Dzierżawina „Boh”, z upodobaniem recytowanej po pijanemu przez nauczyciela rosyjskiego Jegorowa:

Chaosu bytność' dowremiennu
Iz biezdni Ty wieczności wozwał...
A wieczność', przedzie wiek roziennu,
W siebie samom Ty asnawał!

Mordercza ta strofa, także w dokonany przez Ignacego Szydłowskiego przekładzie na język polski, okazała się niemożliwa do zapamiętania:

Zamętu bytność czasem określoną,
W głębi bezdennej wieczności wezwales.
A przed wiekami wieczność urodzoną
Jej twórca w sobie samym osnowales.

Co się tyczy kaloszy dziadka, zniszczyłem je, by wypróbować podaną w książce technologię ręcznego wyrobu znakomitych piłek do gry w piłkę nożną, tak zwanych lanek: pokroić kalosze na drobniutkie kawałki, gotować w ukropie, jeszcze gorące zlepiać i zaokrąglać za pomocą kręcenia pomiędzy dłońmi... Szkoła we „Wspomnieniach niebieskiego mundurka” to dom wariatów opisany tak pogodnie, że się tego wcale nie zauważy. Być może na tym właśnie polega szczęśliwe dzieciństwo.

ZBMENTZEL@WP.PL

Najnowsza książka Güntera Grassa jeszcze przed ukazaniem się wywołała w Niemczech wielkie poruszenie. Pierwsze wydanie – sto tysięcy egzemplarzy – rozeszło się błyskawicznie. „Idąc rakiem” znalazło się na pierwszym miejscu listy bestsellerów tygodnika „Der Spiegel”

GÜNTER GRASS

Idąc rakiem

GRAFIKI GÜNTER GRASS, WSTĘP I PRZEKŁAD SŁAWOMIR BŁAUT



57 lat temu, 30 stycznia 1945 r., na Bałtyku został storpedowany niemiecki statek „Wilhelm Gustloff”. Na jego pokładzie znajdowało się wiele tysięcy ludzi – przytłaczająca większość zginęła. Czy ich cierpienie, cierpienie doznane przez Niemców, nie pozostawało zbyt długo w cieniu cierpienia przez samych Niemców zadanych? Czy tragedia „Gustloffa” nie stała się przez to orężem w rękach sił skrajnych? Te pytania stawia Günter Grass w swej najnowszej książce „Idąc rakiem”. W splecionej misternie z wielu wątków opowieści autor dokonuje literackiej rekonstrukcji tego, co wydarzyło się przed laty, i podejmuje spór o miejsce tej katastrofy w świadomości współczesnych. Narrator „Idąc rakiem” przeżywa tragedię „Gustloffa” w łonie ciężarnej matki Tulli Pokriefke, znanej czytelnikom Grassa z poprzednich książek – „Kota i myszy” oraz „Psich lat”. (SB)

On mówi, że moja relacja ciąży ku noweli. Nie będę się przejmował literackimi ocenami. Ja tylko relacjonuję: Tamtego dnia, który z woli Opatrzności czy jakiegoś innego specja od kalendarza miał być ostatnim dniem statku, Rzesza Wielkoniemiecka zdążyła już do upadku. Dywizje Brytyjczyków i Amerykanów znajdowały się w okolicach Akwizgranu. Nasze przetrzebione u-booty donosiły wprawdzie o zatopieniu trzech frachtowców na Morzu Irlandzkim, ale na froncie reńskim rósł napór na Colmar. Na Bałkanach w rejonie Sarajewa przybierała na sile działalność partyzancka. Z duńskiej Jutlandii wycofano 2. Dywizję Strzelców Górskich dla wzmocnienia wschodnich odcinków frontu. W Budapeszcie, gdzie z każdym dniem pogarszała się sytuacja zaopatrzeniowa, front przebiegał tuż koło zamku. Wszędzie po obu stronach pozostawali zabici, zbierano blaszki rozpoznawcze i rozdawano odznaczenia.

Co jeszcze się działo – poza tym, że nie pojawiły się obiecywane cudowne bronie? Na Dolnym Śląsku udało się odeprzeć natarcie pod Głogowem, natomiast wokół Poznania sytuacja się zaostrzała. A pod Chełmem jednostki sowieckie sforsowały Wisłę. W Prusach Wschodnich wróg dotarł do Barsztyna i Biskupca. Bo tego dnia, który niczym się nie wyróżniał, zdołano wyprowadzić z Pilawy statkami sześćdziesiąt pięć tysięcy cywili i wojskowych. Wszędzie dokonywano bohaterskich czynów godnych pomnika. Zanościło się na dalsze. Podczas gdy „Wilhelm Gustloff”, płynąc obranym kursem na zachód, zbliżał się do Ławicy Słupskiej, a okręt podwodny „S 13” nadal był zlakniony zdobyczy, w nocnym nalocie na rejon Hamm, Bielefeld i Kassel uczestniczyło tysiąc sto czteromotorowych bombowców nieprzyjaciela, zaś amerykański prezydent opuścił już Stany Zjednoczone; Roosevelt był w drodze na konferencję w Jałcie na Półwyspie Krymskim, gdzie ten chory człowiek chciał się spotkać z Churchilllem i Stalinem, aby wytoczyć nowe granice, przygotować pokój.

Na temat tej konferencji i późniejszej, w Poczdamie, kiedy to Roosevelt już nie żył i prezydentem był Truman, znalazłem w Internecie strony nienawiści i w *website* mego wszechwiedzącego syna dość zdawkowy komentarz: „W taki sposób rozparcelowano nasze Niemcy” oraz mapę Rzeszy Wielkoniemieckiej z zaznaczonymi stratami terytorialnymi. Następnie syn spekulował, jakie to cuda mogłyby się zdarzyć, gdyby młodzi, bliscy już końca szkolenia marynarze na pokładzie „Gustloffa” dotarli szczęśliwie do Kilonii, portu przeznaczenia, i tworząc załogi dwunastu lub więcej u-bootów nowej, bajecznie szybkiej, w dodatku niemal całkowicie bezszelestnej XXIII klasy, wzięli z powodzeniem udział w walce. Na jego liście życzeń figurowały same bohaterskie wyczyny i komunikaty specjalne. Nie znaczy to, że Konny roił poniewczasie o ostatecznym zwycięstwie, był jednak pewien, że gdyby nawet te cudowne łodzie podwodne zostały zniszczone przez bomby głębinowe, młodym podwodnikom byłaby pisana lepsza śmierć niż godne politowania utopienie się na wysokości Ławicy Słupskiej. Również jego oponent David zgodził się ze zróżnicowaną oceną rodzajów śmierci, potem jednak wyłożył w sieci swoje obiekcje: „W każdym razie wybierać chłopaki nie mogli. Tak czy owak nie mieli szans, żeby najnormalniej w świecie dorosnąć...”

Mam przed sobą zdjęcia gromadzone dziesiątkami lat przez ocalałego z katastrofy asystenta płatnika okrętowego: wiele formatu legitymacyjnego i jedno duże ukazujące wszystkich marynarzy-uczestników czteromiesięcznego zazwyczaj kursu w 2. Dywizjonie Szkolnym Łodzi Podwodnych, którzy stanęli w ordynku na pokładzie słonecznym, ażeby powitać komandora podporucznika Zahna i po komendzie „Spocznij!” przyjąć swobodniejszą postawę. Na tej szerokoformatowej fotografii można doliczyć się przeszło dziewięćuset, ku rufie coraz bardziej malejących, marynarskich czapek i jako tako rozróżnić twarze

aż do siódmego rzędu. W głębi uszeregowana masa. Jednakże ze zdjęć legitymacyjnych spoglądają na mnie raz za razem umundurowani mężczyźni, których młodzieńcze rysy są co prawda różne, ale na ogół wydają się jeszcze nieukształtowane. Mają pewnie po osiemnaście lat. Kilku chłopaków sfotografowanych w mundurze w ostatnich miesiącach wojny jest jeszcze młodszych. Mój syn, tymczasem siedemnastoletni, mógłby być jednym z nich, chociaż Konny ze względu na okulary nie bardzo by się nadawał do podwodnej służby.

Wszyscy noszą swoje – trzeba przyznać: twarzowe – marynarskie czapki okolone wstążką z napisem *Kriegsmarine* na ukos, przeważnie lekko przekrzywione w prawo. Widzę zaokrąglone, pociągłe, kanciaste jak i puchowate twarze kandydatów na śmierć. Mundur to ich cała duma. Patrzają na mnie poważnie, jak gdyby prze-czuwając, że to ich ostatnia sfotografowana mina.

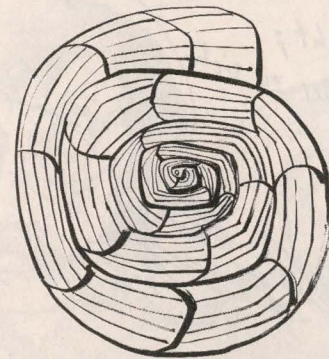
Nieliczne dostępne mi zdjęcia trzystu siedemdziesięciu trzech zaokrętowanych junaczek ze służby pomocniczej marynarki wydają się bardziej cywilne, mimo założonych na bakier furażerek z powyginanym na przedzie stylizowanym orłem. Staranne fryzury młodych dziewczyn – wiele zapewne po trwałej albo wodnej ondulacji – zwijają się w loki, opadają modnie podkreścone. Trochę dziewczyn mogło być zaręczonych, kilka – zamężnych. Dwie lub trzy, które z gładko opadającymi włosami działają na mnie chłodną zmysłowością, są podobne do mojej by-
leją. Taką ujrzałem Gabi, kiedy z pewnym zapałem studiowała w Berlinie Zachodnim pedagogikę i z miejsca przypałała mi o zawrót głowy. Prawie wszystkie junaczki wyglądają na pierwszy rzut oka ładnie, a nawet ślicznie, u kilku występuje wczesna skłonność do podwójnego podbródka. Spoglądają z mniejszą powagą niż chłopaki. Każda z patrzących na mnie uśmiecha się, nie podejrzewając niczego złego.

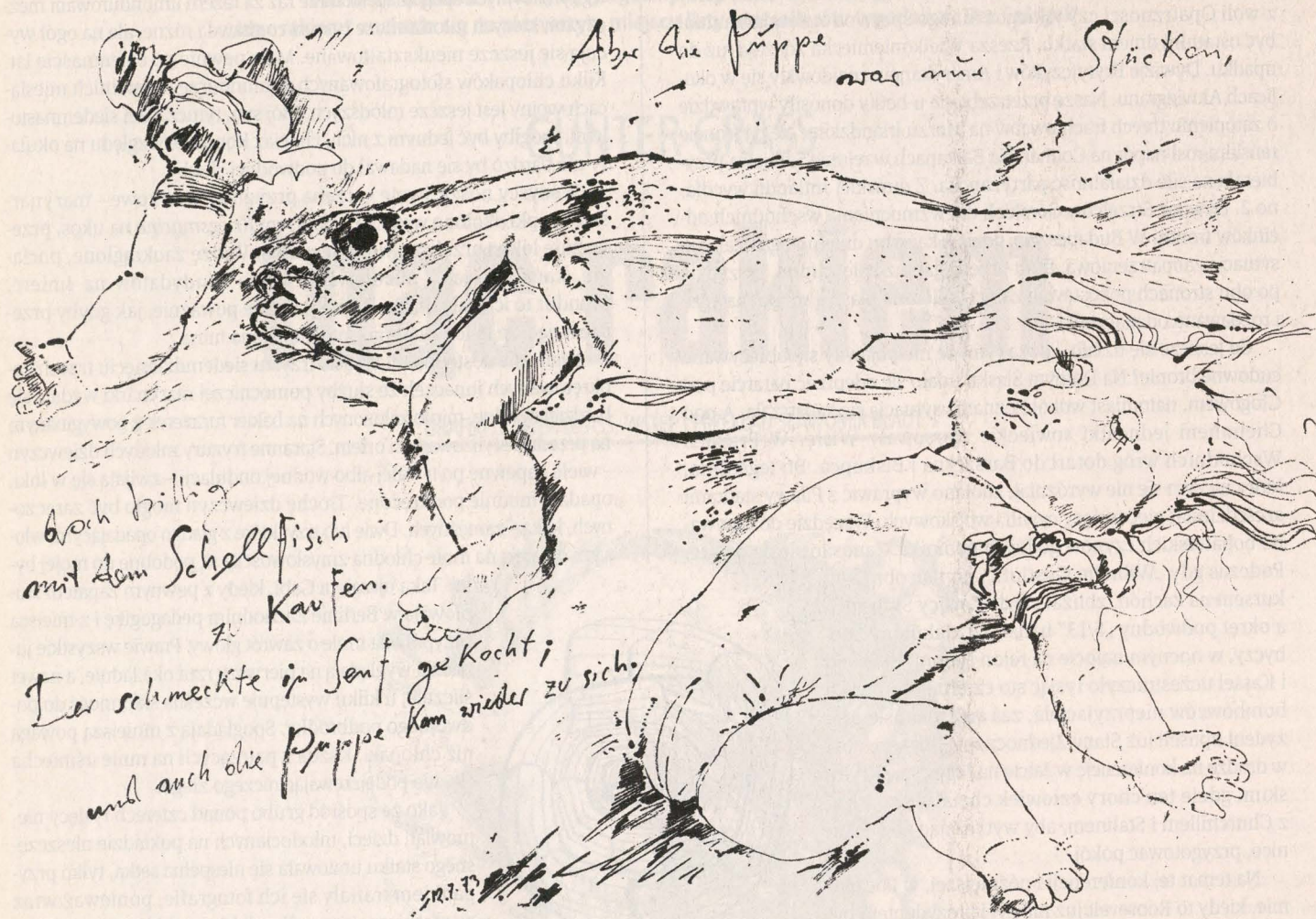
Jako że spośród grubo ponad czterech tysięcy niemowląt, dzieci, młodocianych na pokładzie nieszczęsnego statku uratowała się niespełna setka, tylko przypadkiem trafiały się ich fotografie, ponieważ wraz ze statkiem przepadł uciekinierski bagaż, a w nim albumy z fotografiami rodzin zbiegłych z Prus Wschodnich i Zachodnich, Gdańska i Gdyni. Widzę

dziecięce buzie z tamtych lat. Dziewczynki z warkoczami i kokardami we włosach, chłopcy z przedziałkiem po lewej albo prawej stronie. Po niemowlętach, i tak wyglądających ponadczasowo, nie ma prawie żadnego śladu. Zachowane zdjęcia matek, dla których Bałtyk stał się grobem, i tych niewielu, które ocalały, z reguły bez swych dzieci, powstały na długo przed katastrofą albo wiele lat po niej, pstryknięte z okazji rodzinnych uroczystości, jak mówi matka, która nie ma żadnej fotografii – podobnie jak i ja – z wieku niemowlęcego.

Nie uchowały się także podobizny owych starych mężczyzn i kobiet, mazurskich chłopów i chłopiek, emerytowanych urzędników, wesołych wdówek i wysłużonych rzemieślników, tysiące otumaniałych okropnościami ucieczki starowin i staruchów, którzy zdołali dostać się na pokład. Przy wchodzeniu na statek na oksywskim nabrzeżu zatrzymywano wszystkich mężczyzn w średnim wieku, ponieważ mogli się nadać do ostatnich zaciągów *volksszturmu*. Pomiędzy ocalonymi nie było prawie ludzi sędziwych, pań w podeszłym wieku. I żadna fotografia nie daje świadectwa o ciężko rannych uczestnikach walk w Kurlandii, którzy łóżko przy łóżku leżeli w „altanie”.

Do garstki uratowanych ludzi starszych należał kapitan statku Petersen, dobrze po sześćdziesiątce. Wszyscy czterej kapitanowie o godzinie dwudziestej pierwszej stali na mostku i kłócili się, czy słuszne było zapalenie świateł pozycyjnych na rozkaz Petersena, tylko dlatego że wkrótce po osiemnastej nadeszła radiotelegramem wiadomość o płynącej z naprzeciwka grupie poławiaczy min. Zahn był przeciwny. Tak samo drugi oficer nawigacyjny. Wprawdzie Petersen kazał wygasic kilka lamp, ale nie światła bak- i sterburty. Tak więc po części





tylko statek eskortowany tymczasem jedynie przez kuter torpedowy „Löwe”, zmagając się w zanikającej śnieżycy z silnym falowaniem, utrzymywał kurs i zbliżał się do zaznaczonej na wszystkich morskich mapach Ławicy Słupskiej. Zapowiadany średni mróz oznaczał osiemnaście stopni poniżej zera.

Podobno to pierwszy oficer sowieckiej łodzi podwodnej „S 13” wypatrzył dalekie światła pozycyjne. Bez względu na to, kto złożył meldunek, w wieżycie płynącej na powierzchni łodzi natychmiast pojawił się Marinesko. Jak wieść niesie, do granatowej, obszytej futrem czapki, uszanki, nosił wbrew przepisom nie watowany płaszcz, służbowy strój oficerów łodzi podwodnych, lecz narzucony na ramiona wyplamiony smarem kozuch.

W zanurzeniu, podczas długiej żeglugi na napędzie elektrycznym, kapitana informowano tylko o dźwiękach wydawanych przez małe statki. Na wysokości Helu Marinesko rozkazał wynurzyć się na powierzchnię. Ruszyły dieslowskie silniki. Dopiero teraz usłyszano odgłosy statku napędzanego przez bliźniacze śruby. Nagła śnieżycy dawała łodzi osłonę, ale utrudniała widoczność. Kiedy zamieć zelżała, dostrzeżono kontury oszacowanego na dwadzieścia tysięcy ton statku do przewozu wojsk i towarzyszącego mu kutra. Nastąpiło to od strony morza, z widokiem na sterburtę transportowca i pomorskie wybrzeże, które można było sobie tylko wyobrazić. Na razie nic wielkiego się nie działo.

Mogę tylko się domyslać, co skłoniło kapitana „S 13” do opłynięcia na dużej prędkości statku transportowego i eskortującego okrętu ryzykownym manewrem od tyłu, aby potem od strony wybrze-

ża, mając pod sobą niespełna trzydzieści metrów głębokości, szukać pozycji do ataku. Wedle późniejszych wypowiedzi chciał on dopaść, gdziekolwiek się da, faszystowskich łotrów, którzy najechali i spustoszyli jego ojczyznę; dotychczas mu to nie wychodziło.

Od dwóch tygodni poszukiwanie zdobyczy nie przynosiło rezultatu. Ani w pobliżu Gotlandii, ani nieopodal portów w Windawie i Kłajpedzie nic się nie nawinęło. Żadna z dziesięciu torped na pokładzie nie opuściła wyrzutni. Marinesko był przypuszczalnie coraz bardziej głodny sukcesu. Na dodatek niezawodnemu tylko na morzu kapitanowi doskwierała chyba obawa, że jeśli wróci z niczym do bazy w Turku czy Hango, z miejsca stanie przed sądem wojennym, którego domagało się NKWD. Można było mu zarzucić nie tylko ostatnią pijacką eskapadę i wykraczające poza przewidziany przepustką czas przebywanie w fińskich burdelach; ciążyło na nim podejrzenie o szpiegostwo – a tego oskarżenia, które od połowy lat trzydziestych stało się w Związku Sowieckim narzędziem czystek, nie sposób było odeprzeć. W najlepszym razie mogło go uratować jakieś spektakularne osiągnięcie.

Po blisko dwóch godzinach nawodnej żeglugi manewr opływający został zakończony. „S 13” poruszała się teraz równolegle z nieprzyjacielskim obiektem, który ku zdziwieniu obsady wieżyczki mimo zapalonych światel pozycyjnych nie płynął zygżakiem. Jako że śnieżycy całkowicie ustała, groziło niebezpieczeństwo, iż rozstąpi się pokrywa chmur i w świetle księżycy znajdzie się nie tylko transportowy olbrzym i eskortujący go okręt, lecz także łódź podwodna.

Mimo to Marinesko podtrzymał decyzję o ataku nawodnym. Dla „S 13” korzystny okazał się fakt, że aparatura do namierzania łodzi podwodnych na kutrze torpedowym „Löwe” – o czym na „S 13” nikt nie mógł mieć pojęcia – była oblodzona i nie odbierała żadnych sygnałów. Angielscy autorzy Dobson, Miller i Payne w swojej książce wychodzą z założenia, że sowiecki dowódca długo ćwiczył praktykowaną przez niemieckie u-booty na Atlantyku metodę ataku nawodnego i mając na względzie ich sukcesy, chciał wreszcie zastosować ją sam; atak nawodny pozwala przy lepszej widoczności na szybsze poruszanie się i większą celność.

Marinesko wydał rozkaz napełnienia zbiorników wodą zaburtową aż do momentu, kiedy kadłub łodzi był już niewidoczny i tylko wieżyczka wystawała z nadal wzburzonego morza. Na krótko przed atakiem z mostka namierzonego obiektu wystrzelono jakoby rakietę świetlną i widziano rzekomo sygnały migaczy, ale źródła niemieckie – raporty ocalałych kapitanów – tego nie potwierdzają.

„S 13” zbliżał się zatem bez przeszkód do bakburty upatrzonego celu. Na polecenie dowódcy cztery torpedy dziobowe w rurach wyrzutni zostały nastawione na głębokość trzech metrów. Szacunkowa odległość od nieprzyjacielskiego obiektu wynosiła sześćset metrów. W peryskopie dziób statku znalazł się na przecięciu nitek celowniczych. Według czasu moskiewskiego była dwudziesta trzecia cztery, według niemieckiego równo dwie godziny wcześniej.

Zanim jednak na tym miejscu padnie rozkaz kapitana Marinesko: „Ognia!” i już nie będzie można go cofnąć, trzeba włączyć do mojej relacji przekazaną tradycją legendę. Zanim „S 13” opuściła port w Hango, bosman nazwiskiem Piechur ozdobił wszystkie torpedy wymalowanymi pędzlem dedykacjami, w tym i te cztery gotowe do wystrzelenia. Pierwsza była przeznaczona „Za Ojczyznę”, torpeda w drugiej rurze – „Za Stalina”, w rurach trzeciej i czwartej dedykacje wypisane na śliskiej jak węgorz powierzchni brzmiały: „Za naród sowiecki” i „Za Leningrad”.

Tak zadedykowane trzy z czterech torped – ta poświęcona Stalinowi utknęła w rurze i trzeba ją było w pośpiechu rozbroić – po wydanym w końcu rozkazie pomknęły ku bezimiennemu z perspektywy Marinesko statkowi, gdzie na oddziale dla położnic i ciężarnych przy cichej muzyce z radia matka wciąż jeszcze spała.

Podczas gdy trzy opatrzone napisami torpedy mkną do celu, kuś mi, żeby wyobrazić sobie sytuację na „Gustloffie”. Łatwo odnaleźć junaczki ze służby pomocniczej marynarki, które zaokrętowały się na ostatku i zostały zakwaterowane w pozabawionym wody basenie pływackim, a także w sąsiadujących z nim pomieszczeniach schroniska młodzieżowego, przeznaczonego dawniej dla wysyłanych na wakacyjne rejsy członków Hitlerjugend i BdM. Stłoczone siedzą w kucki i leżą. Fryzury jeszcze się trzymają. Ale nie ma już śmiechu, nie ma sympatycznych czy złośliwych ploteczek. Kilka cierpi na morską chorobę. Tam i wszędzie indziej, na korytarzach poszczególnych pokładów, w niegdyśiejszych salach balowych i jadalnych czuć wymiocinami. Toalety, i tak zbyt nieliczne jak na tę masę uciekinierów i osób związanych z marynarką, są zapchane. Wentylatory nie nadążają z wysysaniem fetoru wraz ze zużytym powietrzem. Od wypłynięcia statku wszyscy na rozkaz powinni mieć na sobie rozdane kamizelki ratunkowe, ale z powodu coraz większego gorąca wielu podróżnych zdejmuje zbyt ciepłą bieliznę i również kamizelki. Starcy i dzieci narzekają cicho. Nie ma już nadawanych przez głośniki komunikatów. Wszystkie hałasy przytłumione. Zrezygnowane wzdychanie i pojękiwanie. Wyobrażam sobie nie nastrój zagłady, lecz raczej jego preludium, zakradający się strach.



Tylko na mostku kapitańskim, po odbytej kłótni, nastrój był ponoć do pewnego stopnia optymistyczny. Czterej kapitanowie sądzili, że docierając do Ławicy Słupskiej, mają za sobą największe niebezpieczeństwo. W kabinie pierwszego oficera dowództwo zasiadło do posiłku: grochówka z wkładką mięsną. Potem komandor Zahn kazał stewardowi podać koniak. Nadarzyła się okazja, żeby wypić za szczęśliwy rejs. U stóp swego pana spał owczarek Hassan. Na mostku pełnił służbę tylko kapitan Weller. A tu czas upływał.

Od dziecka mam w uszach zdanie matki: „Od razu żem całkiem się przebudziła, jak pierwszy raz pieprznięło, a potem jeszcze raz i jeszcze”.

Pierwsza torpeda ugodziła dziób statku głęboko pod linią wodną, tam gdzie znajdowały się pomieszczenia załogi. Kto zszedł z wachty, żuł kawałek chleba albo spał na swojej koi i przeżył wybuch, nie uszedł jednak z życiem, ponieważ zaraz po pierwszym meldunku o uszkodzeniach kapitan Weller kazał zamknąć automatycznie wszystkie grodzie do części dziobowej, żeby zapobiec szybkiemu zatonięciu przez dziób; akcję ratowniczą „Zamykanie grodzi” ćwiczone na krótko przed wypłynięciem. Wśród spisanych na straty marynarzy i chorwackich ochotników było wielu przygotowanych w czasie ćwiczeń do sprawnego obsadzania i spuszczenia łodzi ratunkowych.

Nikt nie wie, co zdarzyło się nagle, z poślizgiem, ostatecznie w odciętej części statku.

Zapadło mi w pamięć również następne zdanie matki: „Za drugim pieprznięciem to żem z łóżka zleciała, taką siłę miało...”. Ta torpeda z trzeciej rury nosząca na gładkiej powierzchni wypisaną dedykację: „Za naród sowiecki” wybuchła pod basenem pływackim na pokładzie E. Przeżyły tylko dwie albo trzy junaczki ze służby pomocniczej marynarki. Mówiły później o zapachu gazu i dziewczynach rozszarpanych na strzępy przez odłamki roztrzaskanej szklanej mozaiki na przedniej ścianie kąpieliska i przez kafelki basenu. Na powierzchni szybko przybierającej wody widziało się dryfujące ciała i ich

części, kanapki i inne resztki kolacji, także puste kamizelki ratunkowe. Prawie nikt nie krzyczał. Potem wysiadło światło. Dwie albo trzy junaczki ze służby pomocniczej marynarki, których zdjęć legitymacyjnych nie mam, zdołały uratować się na razie wyjściem awaryjnym, za którym strome żelazne schody prowadziły na wyżej położone pokłady.

A matka mówiła jeszcze: „Przy trzecim dopiero pieprznięciu doktor Richter był przy położnicach i ciężarnych. A wtedy to już się piekło rozpętało!” – wołała za każdym razem, ilekroć jej opowiadana w nieskończoność historia dochodziła do „numeru trzy”.

Ostatnia torpeda trafiła w maszynownię w śródookręciu. Nie tylko stanęły silniki statku, nawaliło też oświetlenie wewnętrzne pokładu i cała technika. Odtąd wszystko rozgrywało się w ciemnościach. Od biedy włączone po paru minutach światła awaryjne pozwalały jako tako orientować się w chaosie narastającej paniki we wnętrzu statku o długości dwustu metrów i wysokości dziesięciu pięter, z którego nie można było nadać przez radio sygnałów SOS: odmówiły posłuszeństwa także urządzenia radiotelegrafu. Tylko z kutra torpedowego „Löwe” szło w eter wielokrotnie powtarzane wołanie: „»Gustloff« tonie trafiony trzema torpedami!”. Na przemian z tą wiadomością, bez końca, godzinami, podawano drogą radiową położenie tonącego statku: „Pozycja Ustka. 55 stopni 07 północ – 17 stopni 42 wschód. Uprasza się o pomoc...”.

Przełożył SŁAWOMIR BLAUT

Fragment książki, która ukaże się w Polsce nakładem wydawnictwa Polnord-Oskar w Gdańsku.



Spieszcie do modnych knajp,
nim podniosą ceny!
Wyrzuciście ujął to recenzent
londyńskiego
„Daily Telegraph”,
kończąc pean na cześć
nowej restauracji słowami:
„Hurry, hurry, hurry...”.
Jasna sprawa – ale jak
się tam dostać?

TADEUSZ PIÓRO

Zjeść Masę

Jest regułą, że pochlebna recenzja restauracji opublikowana w wysokonakładowej prasie przynosi dwa skutki. W pierwszych tygodniach, czasem nawet miesiącach, od jej ukazania bardzo trudno jest zarezerwować stolik w zachwalanej restauracji. Skutkiem nieco odleglejszym w czasie jest wzrost cen potraw. Opanowanie sztuki rezerwacji, czyli zamawiania stolika

w modnej knajpie, jest konieczne dla wszystkich smakoszy, których nazwiska nic nie mówią osobie odbierającej telefon i informującej, że w najbliższych trzech tygodniach nie ma wolnych miejsc.

Przez wiele lat za najlepszą restaurację w San Francisco uchodził Masa's, elegancki lokal serwujący francuskie potrawy przyrządzane przez Japończyka

Masę Kobayashiego. Rezerwacje przyjmowano raz na trzy tygodnie. Chętnych – i to z całej Ameryki – były tysiące. Wiedziałem, że muszę skosztować smakołyków Masy.

Postanowiłem zadzwonić i się przedstawić, licząc na to, że cudzoziemskie nazwisko może wytrącić z kontenansu nadętą konsjerżkę. Lecz moje nazwisko nie zrobiło na niej żadnego wrażenia – odłożyła słuchawkę. Dodzwonienie się pod jej numer zajęło mi godzinę.

Zacząłem wymyślać najdziwniejsze pomysły, żeby tylko zjeść u Masy. Doszło do tego, że poprosiłem kolegę, którego przyjaciel był synem wiceprezesa firmy Bechtel, której byłem prezesem był George Schulz, w tamtym okresie sekretarz stanu w rządzie Reagana, żeby – on, kolega – poprosił przyjaciela, żeby ten poprosił ojca o zrobienie rezerwacji dla siebie i sekretarza stanu, po czym ja poszedłbym do Masy zamiast George'a Schulza, którego zatrzymała pilna sprawa państwowa. Oczywiście, nie tędy droga – misterny plan nie wypalił.

Inny z moich znajomych przyjaźnił się z recenzentem kulinarnym „San Francisco Chronicle”, osobą wpływową, przed którą stały otworem wszystkie lokale – i to nie tylko w tym mieście. Przedstawiłem mu sprawę i wkrótce otrzymałem odpowiedź.

Recenzent chętnie wprowadził mnie do Masy, lecz nie jestem pierwszą osobą, która wpadła na pomysł sforsowania murów w taki właśnie sposób. Przy obecnym harmonogramie jego wizyt w lokalu legendarnego Japończyka mogłem liczyć na łaskę za mniej więcej osiem miesięcy. Zgodziłem się.

Kilka tygodni później Masę zamordowano.

Zabito go nad ranem w dzielnicy portowej. Paskudna historia – ale co będzie z restauracją? Jak

się okazało, nie upadła. Szefem kuchni został jeden z zastępców Masy i w okresie zrozumiałego rozprężenia dyscypliny po tragicznej śmierci mistrza udało mi się po prostu zarezerwować stolik na własne nazwisko, i to na następny dzień. Jedzenie było wspaniałe i zastanawiałem się, jakież to niewypowiedziane cuda musiano tam podawać za życia Masy. Lecz rok po jego śmierci krytycy uznali, że zastępca szybko prześcignął mistrza. Zapewne płynie z tego jakaś nauka dla adeptów sztuki zamawiania stolików.

W Polsce, jak mi się wydaje, problem stolika w ogóle nie istnieje. Owszem, kilka lat temu, kiedy Flik był jedną z niewielu dobrych restauracji w Warszawie, miałem trudności z zarezerwowaniem stolika. Chciałem zabrać tam przyjaciół z Paryża, którzy nie mało się natrudzili, żeby podczas mojej u nich wizyty zdobyć miejsca w najmodniejszych lokalach. Dowiedziałem się, że we Fliku wszystkie stoliki są zarezerwowane na najbliższy tydzień – mówiono tak bez względu na to, czy przedstawiałem się jako ja, sekretarz naczelnego poczytnej gazety, czy jako ambasador Wielkiej Brytanii.

Lecz czasy te chyba już minęły. Kiedy po ubiegłorocznych wyborach przyszło mi na myśl, że najtrudniej o stolik będzie w podwarszawskim zajeździe U Witaszka, gdzie biesiadują promineneci z Samoobrony, okazało się, że nawet tam bez trudu można dostać stolik, ba, całą salę, i to dla niepalących.

Podobnie w stołecznej restauracji Dispensa, w której spotykają się biznesmeni i politycy i panuje power-atmosfera – power-krawaty i power-ceny w karcie win. Tam również nietrudno zarezerwować stolik, jak nie na dziś, to na jutro.

Wnoszę z tego, że owczy pęd do wykwinnych żłobów dopiero nas czeka. Być może wówczas powrócimy do praktycznych porad dla niewinnych smakoszy.

van Beeth
6.
Wielkanocny
Festiwal
Ludwiga
van Beethovena
Kraków
25 marca–1 kwietnia 2002

www.krakow2000.pl

PKO BANK POLSKI
KULTURZE NARODOWEJ

PZU
Polskie Linie Lotnicze LOT
ORLEN
Radio Kraków
wprost
PRZEKRÓJ
THE WARSAW VOICE
VIVA!
CITY
DZIENNIK POLSKI
europakrat

Na zdjęciu:
przykład modnego
garnituru
– głęboki dekolci,
wysokie klapy
z dwurzędówki.
Żakiet jest krótki
(bywają krótsze),
spodnie leciutko
dzwonowate,
no i tenis



U siłuję przebić się przez setki zdjęć z kolekcji wiosenno-letnich, żeby znaleźć jakiś przykład tego, co będzie modne, co będziemy nosić, i idzie mi to w tym sezonie dziwnie opornie. Moda jest zupełnie konkretna, nawet dość atrakcyjna. Zmienia się trochę, na tyle dużo, że daje to poczucie, iż będzie coś nowego. Ale na tyle mało, że nie czujemy nieprzeparłej chęci wyrzucenia całej szafy na śmietnik, gdzie odpowiedni obywatele wygrzebią to i z wdzięczności porysują nam samochód gwoździem. Ach, słodko byłoby mieć wszystko nowe i zamiast czarnej skórzanej kurtki i starych dżinsów nagle kupić sobie powiewne sukienki w różowe kwiatki czy w serduszka. A tu zero serduszek, kiedy realne życie wymaga od nas przebrania się za kobietę kompetentną, kobietę profesjonalną, kobietę poważnie myślącą. Młodą – rokującą nadzieję, starą – pełną wigoru, średnią – opanowującą sytuację. Mądrą żonę, wyrozumiałą kochankę czy przebaczącą matkę. Więc przedzieram się przez dziesiątki stron mody pełnych golizny, gołych biustów, roślin we włosach, ogromnych bufiastych rękawów, dekolci za pępek, bluzek noszonych tylko z majtkami, sukienek z trudem zasłaniających krok albo zakończonych ogonami czy puchem łabędzim, krynolin, bezkształtnych spodni, kreacji zrobionych z przezroczystych strzępów, falban we wszystkie strony i mnóstwa innych pomysłów, nawet czasem śmiesznych, a czasem strasznych, ale wydaje się jednak, że nieobliczonych na to, iż ktoś je kiedykolwiek założy. Czy należy się na to obrażać? Ależ nie. Moda płynie sobie nurtem nierealnym, widowiskowym, teatralnym i nurtem ubrania do włożenia oraz pewną trzecią drogą na styku tych dwóch prądów, dość odjazdowo, ale jeszcze, jeszcze.

Więc szybko powiem Wam, na co się trzeba nastawić, co się zmienia: modny jest garnitur damski, spódnice są nadal (mini i pod kolano), ale wyraźna przewaga spodni. Spodnie typowe to te, które znamy: dość szerokie, równe, też wąskie i dużo dzwonów od lekko do wyraźnie dzwonowatych. Ale bardzo modne są na obniżonej talii, cicho, nie ma przymusu. A żakiet, uwaga, są nowe żakiety! Jest tendencja do żakietów krótkich, bardzo krótkich, nawet wprost ledwo za talię. Małych, ciasnych, dopasowanych. Ale też są luźniejsze, nie wcięte, ale jakby całe z młodszego brata. Młodszy brat w ogóle jest hasłem mody na tę wiosnę. Modny szczegół: klapy zachodzą bardzo wysoko, prawie na ramię, czyli kołnierz żakietu jest bardzo krótki. Inny modny szczegół: bardzo modne są klapy o fasonie jak z dwurzędówki, tej męskiej. Duże, średnie i zupełnie małe, ale ten fason. Czyli dwurzędówkowe i wysoko. A dekolci w żakietach są różne, aż do długich, do talii włącznie. Inny bardzo modny szczegół to rękawy z główką. Wąskie ramiona i rękaw wszyty jak sprzed stu lat, lekkie marszczonko lub zakładeczki. Płaszczki wiosenne to nadal znane nam surduciki albo płaszcze z lat 60. z klapami.

Nadal modne są małe kurteczki na zamek, asymetryczne spódnice, proste w fasonie sweterki. Natomiast fala falbanek nas nie ominie, na razie umiejscowiły się na bluzkach, nawet tych prostych, koszulowych. Uff, wyraźnie coś się ruszyło w modzie.

Cieszymy się, że nie o 180 stopni.

INFINITE FOT. ROBERT KULESA

Jeśli w bramce będzie Karolak

Maciej Płażyński,
polityk,
w rozmowie
z Marią Czubaszek

FOT. ARTUR PAWIŃSKI/REPORTER



Panie Marszałku, pragnę Pana poinformować, że ma Pan prawo nie odpowiadać, zadzwonić lub poprosić o inne pytanie.

– Proszę.

O inne pytanie?

– O pierwsze.

Jakiej pokusie jest Panu wyjątkowo trudno się oprzeć?

– Świat jest pełen pokus...

Którym Panu wyjątkowo trudno się oprzeć?

– Pokus w ogóle. Którym w różnych sytuacjach trudno się oprzeć. Ale w końcu się udaje.

Czyli nie ma takiej, jakiej by się Pan nie oparł?

– Czasami nie chcę się opierać. Wtedy nie świadczy to o słabości. To jest po prostu kaprys.

To inne pytanie. Czy zgodzi się Pan z dosyć powszechną opinią, że wszystkie kobiety są piękne, tylko po niektórych (to już moja opinia) tego nie widać?

– Może inaczej. Wszystkie są piękne, tylko po niektórych widać to bardziej.

A po innych w ogóle?

– To Pani powiedziała. A ja podejrzewam, że niektóre tylko nie potrafią wyeksponować swej urody.

Skoro Pan taki podejrzliwy, to ja też. Otóż podejrzewam, że jak każdy mężczyzna jest Pan wzrokołcem. W związku z tym kobiety o urodzie nienachalnej raczej nie rzucają się Panu w oczy.

– I tu się Pani myli. Cała przyjemność to dostrzegać również to, co nie rzuca się w oczy.

Ale życie, nawet – a może zwłaszcza – z kobietą, nie składa się z samych przyjemności. A co mężczyznę bardziej boli? Kiedy partnerka zdradzi go z najlepszym przyjacielem czy z przyjaciółką? Może Pan strzelać.

– A mogę poprosić o inne pytanie?

Przecież mówiłam. Pomówmy więc o pieniądzach. Komu są bardziej potrzebne? Bogatym czy biednym? Dla ułatwienia powiem, że moim zdaniem bogatym. Bo biedni nie budują przecież willi, nie kupują samochodów, nie wyjeżdżają na Seszele... Oni nawet nie wiedzą, co zrobić z tymi groszami, które mają. Wszystko przejadają. A człowiek nie po to żyje, żeby jeść. Więc zgodzi się Pan, że pieniądze bardziej potrzebne są bogatym?

W tym tygodniu:
najkrótsze odpowiedzi
na najdłuższe pytania

– Poważnie?
Niekoniecznie.

– W takim razie Pani hipoteza jest generalnie słuszna. Bo apetyt rośnie w miarę jedzenia.

Pamięta Pan swoją ulubioną zabawkę z dzieciństwa?

– Piłka. I kolejka elektryczna.

A teraz, kiedy jest już Pan dorosłym chłopcem...

– Nie wyrosłem. Nadal piłka...

I kolejka?

– Z kolejki już wyrosłem.

Więc kolej? Z Gdańska do Warszawy i wprost przeciwnie? Ale poważnie. Skoro piłka, to znaczy, że jest Pan kibicem?

– Bardziej graczem. Tak jak w dzieciństwie. Zmieniło się tylko to, że wtedy wyłącznie grałem w piłkę, a teraz mogę pójść na piwo.

I dobrze Panu idzie?

– Piwo?

Granie.

– Niestety. Gorzej niż 20 lat temu. Choć stale gram w tym samym składzie.

To może zmienić drużynę? Przynajmniej przeciwników? Wystarczy, że zaprosi Pan do niej mojego męża Wojciecha Karolaka, a na pewno będzie Pan grać lepiej.

– To jest jakaś pokusa. Jedna z tych...

Którym wyjątkowo trudno się oprzeć?

– Ale w końcu się udaje.

Tylko po co?

– Będą strzelać...

Jeśli w bramce będzie Karolak, to jeden zero dla Pana. I Pańskiej drużyny.

Czego serdecznie życzę.

CHRISTIAAN VAN LIEROP Wujek Andrzej

Każdy kraj ma swój ulubiony sport. Anglicy kochają krykieta, Amerykanie *baseball*, Polacy zaś uwielbiają... częstować cudzoziemców wódką. To dyscyplina, w której Polska nie ma sobie równych. Nie bez przyczyny przewodniki po tym kraju często zawierają krótkie ostrzeżenia: „Nigdy nie próbuj pić więcej od Polaka. To może się dla ciebie źle skończyć”.

Kiedy jestem u kogoś z wizytą, zawsze przychodzi moment, gdy gospodarz (nazwijmy go wujem Andrzejem) wyciąga z kredensu dwa kryształowe kieliszki i zaprasza do stołu. Odmówić nie sposób. To, że jesteś cudzoziemcem, nie jest żadnym wytłumaczeniem. Wręcz przeciwnie: musisz spróbować, ponieważ – jak tłumaczy wujek Andrzej – „w twoim kraju tego nie ma”. Z wielką ceremonią napełnia twój kieliszek po brzegi. Wszystkie oczy są teraz skierowane na ciebie. „Do dna – ktoś mówi. – Zdroweczek”. Patrzysz na wujka Andrzeja. Jego kieliszek jest już pusty. Dłużej czekać nie możesz. Dzielnie opróżniasz całą ognistą zawartość szklaneczki. I wtedy staje się to, czego tak bardzo chciałeś uniknąć, a na co wszyscy tak czekali. Krztusisz się, wykrzywasz usta, twoja twarz staje się czerwona. Ktoś ruszy w pogotowiu ze szklanką soczku. „Ciężko wchodzi, co?” – pyta wujek Andrzej z troską. Popijasz sokiem, gasisz wewnętrzny pożar. „Może jeszcze jednego? Na drugą nogę?” – proponuje uśmiechnięty. Przedstawienie już się zaczęło, z tobą w roli głównej.

Jak się potoczą twoje dalsze losy tego wieczoru i z ilu aktów będzie się składał ten dramat, zależy wyłącznie od ciebie. Jedno jest pewne: nie możesz biernie siedzieć i pozwolić wujowi Andrzejowi, żeby robił z ciebie pośmiewisko.

Masz dwa wyjścia. Możesz pójść na łatwi-



drzeja będziesz skreślony na zawsze. Wiesz, że będziesz musiał patrzeć z upokorzeniem, jak leje wódkę najmłodszemu z rodziny, Maciusiowi. I słuchać, jak opowiada o wojску („szkoda, że to były tylko dwa lata”) oraz o tym, jak mało jest dzisiaj prawdziwych mężczyzn. Co prawda twoja żona odetchnie z ulgą, no i zyskasz aprobatę cioci Ziuły, słuchaczki Radia Toruń, która dba o zdrowie moralne całej rodziny, tylko co z twoją godnością? Jak będziesz mógł Maciusiowi spojrzeć później w oczy?

Zostaje więc druga opcja. Ale najpierw – krótka nauka. W Anglii jest takie powiedzenie, że Anglicy jedzą, by żyć, a Francuzi żyją, by jeść. Pamiętaj, że Polacy jedzą, by pić. Kosztuj więc alkoholu dopiero po tym, jak coś przekąsisz. Kiedy wujek Andrzej leje ci następny kieliszek, poproś o łyżeczkę pieprzu. Wymieszaj go dokładnie w kieliszku i patrząc głęboko w oczy wujka, wypij trunek jednym haustem. Uśmiechnij się (uwaga: nie jest to łatwe!), mówiąc, że dopiero teraz wódka smakuje ci naprawdę. Kategorycznie odmawiaj też jakiegokolwiek popitki. Wyraż gotowość wypicia kolejnego kieliszka. Rzecz jasna, długo tak nie pociągniesz, więc co jakiś czas wstap do łazienki i napij się dyskretnie zimnej wody.

Twoja żona nie będzie tym wszystkim zachwycona, ale wuj Andrzej i jego szwagier uznają cię za „swojego”. Musisz jednak wiedzieć, kiedy powiedzieć „dość”. Bo tak to już jest z wódką – cały czas czujesz się wspaniale, aż nagle ścina cię z nóg. Ludzie od przewodnika wiedzą, co mówią. Powyższa metoda jest może efektowna, ale wysoce ryzykowna. Możesz

znę, odmawiając dalszego spożywania gorzały, albo zgrywać twardziela i pić łeb w łeb z gospodarzem. Wiesz, że wybierając pierwszą opcję, w oczach wujka Andrzeja

dużo zyskać, ale jeszcze więcej stracić. Możesz stracić wszystko. Nawet przytomność.

Postanowiłem zaprosić wujka Andrzeja na rewanż. Jak sport, to sport. W końcu grać u siebie to nie to samo co na wyjeździe. Z tym, że zamierzam zmienić nieco konkurencję. Z picia na jedzenie. Kuchnia angielska ma to do siebie, że – mówiąc językiem wujka Andrzeja – „ciężko wchodzi”. Myślę więc o tym, żeby przyrządzić klasyczne paszteciki z nerek, węgorka w galarecie i marynowane jajka. Niesprawiedliwe? Może. Jak już pisałem, Anglicy kochają krykieta. A z tą miłością do *fair play* to tylko mit.

m y ś l i

Na przyszłość zastanawiaj się nie tylko nad tym, czy prawdą jest to, co mówisz, lecz czy ten, do kogo mówisz – wytrzyma prawdę.
Alberto Moravia

Kiedy ktoś mówi, że nie chodzi o pieniądze, lecz o zasady, wiedz, że idzie o pieniądze.
Kim Hubbard i Stawian Trocki

Kobiety myślą o wszystkich kolorach z wyjątkiem braku koloru.
Coco Chanel

Złotego człowieka łatwiej sprzedać.
Stawomir Wróblewski

Dobre postanowienie to najczęściej czek wypisany na pustą rachunek.
Jules Renard

Myślenie ma kolosalną przyszłość i kiepską przeszłość.
Krecia P.

Myśli zebrala Stella Varcaby

MAŁGORZATA BARANOWSKA



O celu

Nasze codzienne życie dziwnie przyspiesza, jakbyśmy biegli za pociągami. Może tego wymaga zakładana efektywność, może to moda. Zachód się spieszy. Praca zajmuje coraz więcej miejsca, święta mniej.

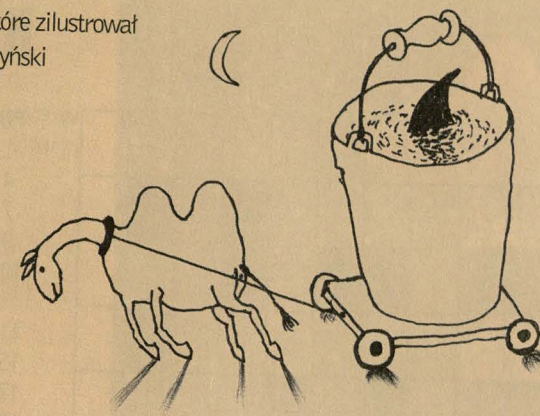
Zwłaszcza życie tych, którzy mają dobrą pracę, ulega ciągłemu przyspieszeniu. W samej szybkości nic nie ma złego. Wiadomo, że rytmy różnych ludzi, różnych narodów, różnych epok są zupełnie inne. Życie codzienne – tak skutecznie blokowane przez socjalistyczną nudę, indolencję i ogólne przeszkadzactwo – narazie ruszyło. Wspaniale, że pojawili się też ci, którzy umieją to wykorzystać.

Przyspieszyć – to marzenie człowieka zachodniego. To go czyni godnym szacunku i dobrego wynagrodzenia. Świat ucieka. Trzeba tyle zrobić. Tak wiele, że nigdy się nie dogoni. A przecież marzenie o dogonieniu tego czasu to marzenie o szczęściu. Więc dobrze by było dogonić. Niektórzy przecież zdążają więcej. Zdobywają więcej. Dają więcej swoim dzieciom. Doganianie i przeganianie stało się celem samym w sobie, celem całkowicie nadrzednym. Mówi się, że młodzi biznesmeni stosują używki jako przyspieszacze życia i kariery czy że sami u siebie zaciągają dług, które w efekcie pewnie ich zniszczą.

Wcale mnie to nie dziwi. To ci, którzy wiedzą, że szansa istnieje. Czują się zobowiązani jak najszybciej i jak najsilniej odciąć się od wielu pokoleń z przechłapanym życiorysem. Czy to w ogóle jest możliwe? Za tymi, co na świecie tak się spieszą, stoi „zasiedziata tradycja szybkości” i rywalizacji. Nasi młodzi przeważnie są „pierwszym pokoleniem przeganianiu”. Myślą prawie wyłącznie o przeganianiu.

Nie myślą o ludziach uważanych za genialnych. A genialni – jacyś odkrywcy, wielcy artyści, wielcy uczeni, nie mówiąc o mistykach – ciągle zachowują się tak samo dziwnie jak przed wiekami. Wygląda, jakby się ścigali z samymi sobą – zajęci jakimś celem dla nas niewidzialnym. Są szczęśliwi (oczywiście także miewają straszne upadki) w świecie dla większości nieznanym, a ich cele pozostają może niematerialne, ale za to wieczne. Ten umowny pociąg, który ściągają, nie znika tak łatwo za horyzontem.

Podaj hasło, które zilustrował Mariusz Wilczyński



Odpowiedź: Garbiate szczęście

PIĄTKA KLEPKA

Niektórzy twierdzą, że prawnikiem trzeba się urodzić.

Oto dowód, jak najbardziej rzeczowy, że jest tak naprawdę – zestaw prawdziwych tekstów wygłoszonych w sądzie przez sędziów, prokuratorów i adwokatów. To wszystko zostało zaprotokołowane.

Uwaga: jeżeli jesteś prawnikiem, nie załamuj się! Przestłuchiwanie okazali się równie błyskotliwi jak przesłuchujący. Jest to chyba okoliczność łagodząca.

- Czy to ten sam nos, który złał pan sobie jako dziecko?
- Panie doktorze, czy to prawda, że gdy ktoś umiera we śnie, nie zauważa tego aż do następnego ranka?

- I co się stało?
- Powiedział do mnie: „Zabi-

ję cię!”.

- I co, zrobił to?

- Który z was, pan czy pański brat, zginął na wojnie?

- Co oznacza obecność spermy?

- Że doszło do stosunku.

- To męska sperma?

- Innej nie znam.

- Jak daleko od siebie były samochody w momencie zderzenia?

- Panie Clark, pojechał pan wtedy na długi miodowy miesiąc?

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Zabrał pan żonę?

- Ma pan jakieś dzieci czy coś takiego?

- Kogo przedstawia zdjęcie?

- Mnie.

- Był pan przy tym, jak pana fotografovano?

- Pani Johnson, jak zakończyło się pani małżeństwo?

- Śmiercią.

- Czyją?

- Mówi pan, że schody prowadziły w dół, do piwnicy?

- Tak.

- Czy te schody prowadziły też z powrotem w górę?

- Czy żył pan w tym mieście przez całe swoje życie?

- Jeszcze nie.

- Panie doktorze, jak wiele sekcji dokonał pan na zmarłych?

- Wszystkie.

- Wysoki Sądzie! Oskarżony prosi o 15-minutową przerwę. Musi się wysmiać.

Ufff. Przyznaję się do winy. Przepraszam za opublikowanie tego materiału. To za moją sprawą przed sądami staną teraz tasiecowe kolejki widzów. Może zaczniecie sprzedawać im popcorn?

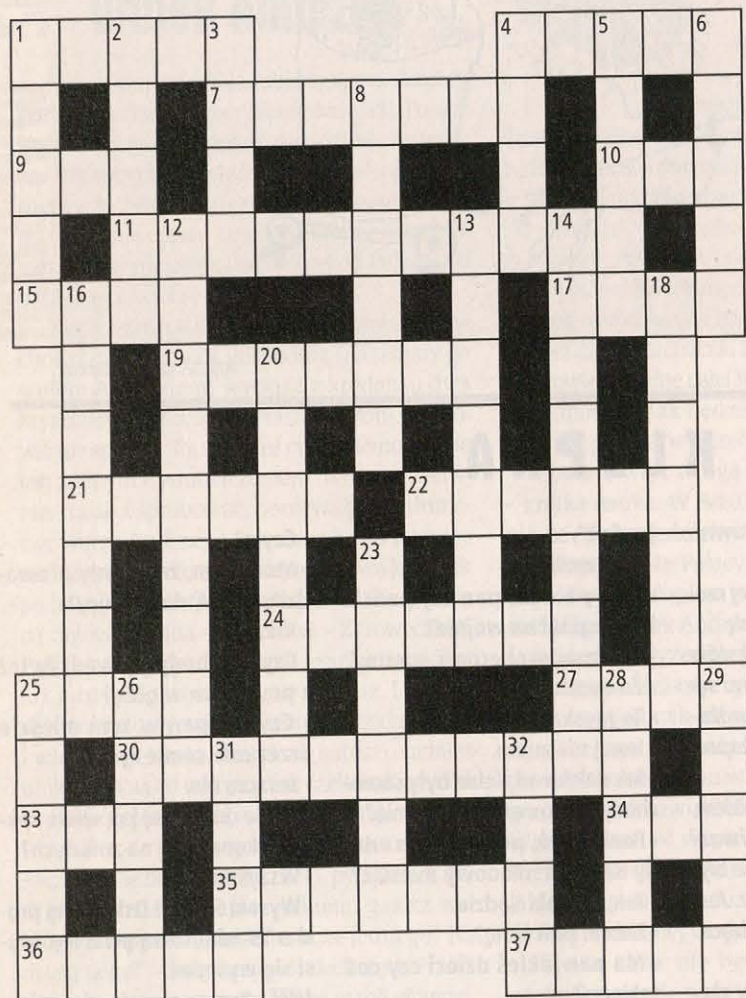
TOMASZ PIĄTEK



WYTYŻ WZROK...



...i znajdź 10 szczegółów, którymi różnią się te dwa rysunki Piotra Młodożeńca. Rozwiązanie na s. 72.



KRZYŻÓWKA nr 11

POZIOMO:

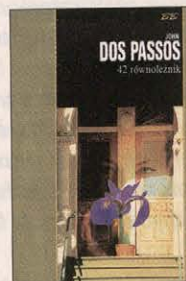
- 1 chóralny o góralu, któremu żal
- 4 rekordzista w skoku w dal
- 7 brzęczą u kowbojskich butów
- 9 miejsce Parysowego sądu
- 10 najwyżej położona wieś koło Zakopanego
- 11 jedna miała chłopca z drewna
- 15 zimny
- 17 popisywaczka z delfinarium
- 19 bardziej ufa praktyce niż rozumowaniu
- 21 niektórym pali się w rękach
- 22 Reymonta
- 24 ważny składnik sztucznych tkanin
- 25 patroluje lotniskom
- 27 przełożony meczetu
- 30 paple i paple
- 33 na co klną wszyscy podatkowicze
- 34 będzie on, gdy nas nie będzie

35 napastnik

- 36 rozpoczęcie lotu
- 37 sześciobarwny tuk

PIONOWO:

- 1 za igłą
- 2 tam Penelopa oganiała się od zalotników
- 3 masz w sobie około 70 proc.
- 4 wieża w Pizie go nie trzyma
- 5 dawny żołnierz lekkiej jazdy na Węgrzech
- 6 z kaszalota do perfum
- 8 zakłète Worcella
- 12 Fidiusz
- 13 nie w reklamowanym piwie
- 14 nomada
- 16 szelma i hultaj
- 18 pieścizłotliwie o tej, co rosła z liściem szerokim
- 20 kalumnia
- 23 trawowy grzebień
- 25 dusza brydżowej gry
- 26 choroba uczuleniowa
- 28 chłopczyk
- 29 Azor lubi, gdy jest pełna
- 31 internetowa rozmowa
- 32 weselny piętrowy



● **Pomiędzy Czytelników**, którzy do niedzieli 24 marca (decyduje data stempla pocztowego) nadeślą poprawne rozwiązanie krzyżówki lub jolki, rozlosujemy książki „42 równoleżnik” Johna Dos Passosa oraz „Trzej panowie Dumas” André Maurois). Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 16, 00-490 Warszawa, z dopiskiem „Krzyżówka 11” lub „Jolka 11”.



JOLKA nr 11



Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu należy rozszyfrować następujące hasło:

G14 - G1 / F12 - M4 - M11 - A15 - G4 - E8 - I3 / Ł1 - H15 - A11 - D3 / J16 - B15 - I4 / A2 - C4 - H11 - E7 - I8 - Ł10 / J8 - L13 - H9 - D1 - J11 - F11 - M2 - A13 - E13 - J4 - B9

Wyrazy 11-literowe:

- fotograf czaszek • zdradziecki nadawca

Wyrazy 10-literowe:

- Małysz leci • Waterloo proporcji
- kto jest harcerzem, na wieczórę go bierze • disco polo Wersalu

Wyrazy 9-literowe:

- pije Kuba po pubach • cesarskie imię Kulki

Wyrazy 8-literowe:

- wyrzuca diabła z pudełka • bardzo utrudnia wiązanie końca z końcem
- dla dzieci Tytus, dla poliglotów Pan • w ogródku jubilera • dyskusyjny pojmaniec Krzykalskiego • cztery kąty i dach piąty

Wyrazy 7-literowe:

- my tu mytu damy do dumy tytuł
- zapisuje na trwałe

Wyrazy 6-literowe:

- strażniczka elegancji mankietu
- tancerz duży albo tancerz mały
- zdławił pucz Janajewa • czarna owca wśród stachanowców • ostatnia przystań Scyty • kółko rozumowania • wierzycielom skończyła się cierpliwość • szczypawa

Wyrazy 5-literowe:

- kurnikowe znalezisko • mija ją, kto z Grajewa do stolicy zdąży

Wyrazy 4-literowe:

- raj mu się... przejadł • posrebrza litewskie pola • i w walentynki kole
- bywa godny lepszej sprawy • malarz Pasikowskiego • dwuzaimkowiec z „Otella”

Guillermo MORDILLO

● Rozwiązanie jolki nr 9:

RYŻY PUDEL Z RZĄDKĄ SIERŚCIĄ, ZIEŻYWSZY SIĘ, WARCZAŁ NA TRZMIE-LA, KTÓRY GO UŻĄDLIŁ

- Rzędami: oprzęd, Grochów, żywiol, czółno, polonez, wróż, Gawęł, brew, pacierz, okaryna, ryba, stora, spiż, zasłona, jagnię, kwitek, dzikość, Aleuty.

- Kolumnami: piastka, Kreolka, cukinia, schodek, Brytyjka, owczarz, regle, gwara, żołza, obrzędy, dżokejka, rozłaka, wibramy, nośność, służąca.

- Za poprawne rozwiązanie jolki nr 7 nagrody wylosowali: E. Paśławska-Udolf, Katowice; D. Siwa, Poznań; H. Sowińska, Kraków; K. Dąbrowska, Szczecin; Ł. Gronau, Warszawa.

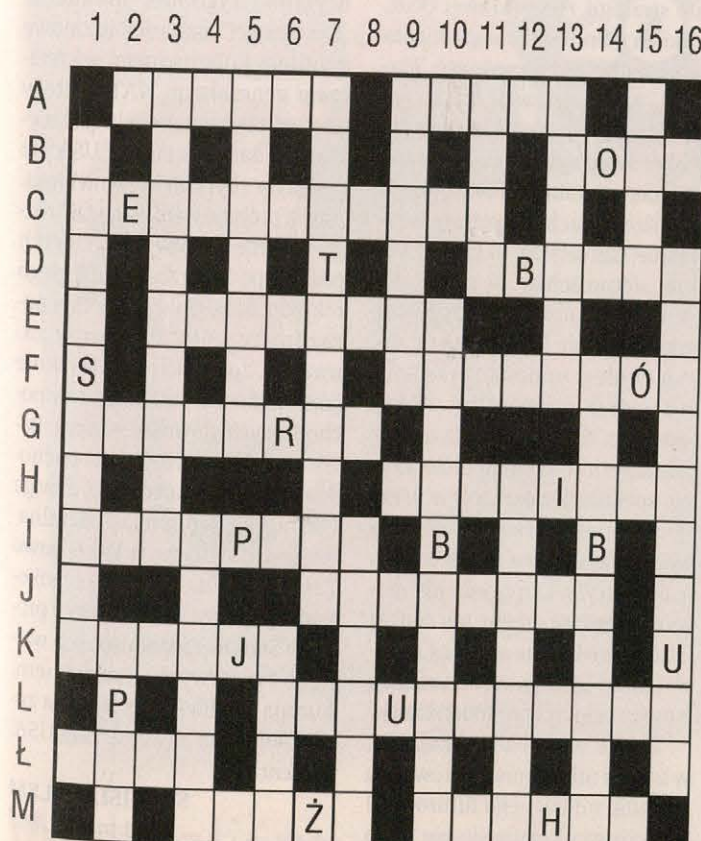
- Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 7 nagrody wylosowały: H. Kaniowska, Jarosław; L. Wojtkowska, Białystok; J. Gałgowska, Gdańsk; D. Wiza, Oborniki; J. Szymczyk, Gorlice.

Gratulujemy!

● Rozwiązanie krzyżówki nr 9:

Poziomo: 1. komornik 5. kwadrans 9. nasyp 10. limit 11. spotkanie 13. stop 15. stal 16. entuzjasta 18. przesieka 19. gwardia 21. lansady 22. pokrowiec 25. matematyka 26. otok 27. Arno 29. wieczera 31. Izera 32. dętki 33. Charbyda 34. ziemniak.

Pionowo: 1. kineskop 2. masło 3. ryps 4. kartoteka 5. kamasze 6. dyle 7. armata 8. sztolnia 12. pieniądze 14. przedsnak 15. starowinka 17. adwersarz 20. koryfeusz 21. lodowiec 23. człowiek 24. karczma 25. morena 28. ratki 29. wady 30. Adam.



AUTOR: JERZY BUZEK

ODPOWIEDŹ ZA TYDZIEŃ

Dwie baszty

Królewski stolarz dostał zamówienie. Ucieszył się. „Jest zamówienie, będą pieniądze” – pomyślał. Zamówienie było proste.

Przy zamku stoją dwie baszty – północna i południowa. Obie są tej samej wysokości. Obie są kwadratowe (mają kwadratowy przekrój). Południowa jest dwa razy szersza niż baszta północna – to znaczy jedna ściana baszty południowej jest dwa razy dłuższa niż jedna ściana baszty północnej.

Stolarz ma wykonać dokoła każdej z baszt schody wiodące od samego dołu aż do samej góry. Schody mają być zamocowane na zewnątrz baszt – w ten sposób, że stopnie będą wmurowane (każdy tyle samo) w mur baszty. Schody obydwu baszt mają być wykonane z takich samych stopni. Odległość między stopniami ma być taka sama w pionie

i w poziomie. Na każdym zakręcie schodów ma być platforma – na poziomie ostatniego stopnia przed zakrętem. Już na pierwszy rzut oka widać, że schody okrążą każdą z baszt więcej niż jeden raz.

Czym będą się różnić schody wokół baszty północnej i południowej?

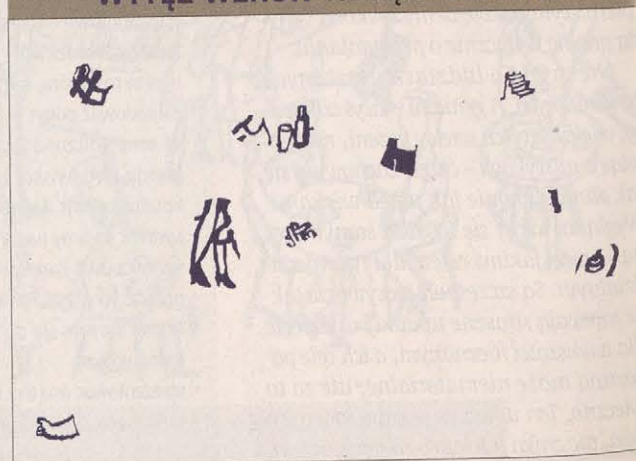
Które będą dłuższe – te wokół węższej baszty czy te wokół szerszej?

Benek i Zenek

(rozwiązanie z numeru 10)

Prawdopodobieństwo, że Zenek na początku wskazał zły kubek (bez kostki) wynosiło dwie trzecie. Prawdopodobieństwo, że wskazał dobry – jedną trzecią. Inaczej ujmując – prawdopodobieństwo, że pod kubkiem wskazywanym przez Zenka jest kostka, wynosi jedną trzecią. Prawdopodobieństwo, że kostka jest pod drugim z nieodkrytych kubków, wynosi dwie trzecie. Zenek powinien więc zmienić decyzję. Jego szanse na wygraną wzrosną wtedy dwukrotnie.

WYTYŻ WZROK rozwiązanie ze s. 70.



Zbrojony kosmos

Do niedawna głównymi producentami broni w Stanach Zjednoczonych były firmy wytwarzające ciężki sprzęt wojskowy. Obecnie jednak tego typu jednostki bojowe stanowią zaledwie platformy dla wielkich informatycznych systemów zwiadowczych

W przyszłości – jak powiedział amerykański sekretarz obrony – będą liczyć się tylko konsorcja zdolne budować „cały świat systemów złożonych z systemów”.

Terminem „system systemów” określa Pentagon stan rzeczy, w którym wszystkie tak zwane „węzły walki” połączone są w jednolitą sieć internetowego typu usprawniającą krążenie informacji. Chodzi o to, żeby na przykład Global Hawk – czyli bezzałogowy samolot szpiegowski zbudowany przez firmę Grumann – mógł się porozumiewać bezpośrednio z satelitami orbitalnymi i zbiorczą informację przekazywać do systemu umieszczonego na przykład

na niszczycielu skonstruowanym przez tę samą zbrojeniową korporację. Przede wszystkim nowy kierunek ekspansji zbrojnej wykracza w kosmos: okołoziemiska przestrzeń będzie coraz bardziej doniosła strategicznie w zakresie militarnym.

Boeing bierze się do jednego z członków obrony przeciwbalistycznej, budując latający laser, który będzie mógł zestrzeliwać wrogie głowice. W dalszym ciągu stawia się więc na rozwój technologii zwanych minoderyjnie przez Amerykanów „usamoczynianiem obrony”. Konkurować będą ze sobą firmy angażujące się w inżynierię nowego ty-

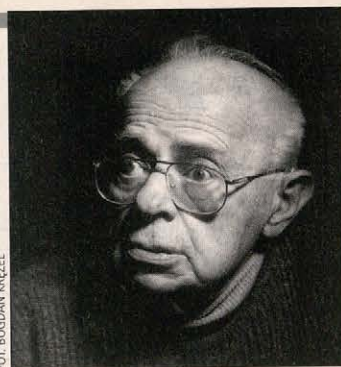
pu starające się stworzyć zespoły satelitów będących kluczową częścią systemu wczesnego ostrzegania.

Te w gruncie rzeczy radykalnie nowe kroki Stanów Zjednoczonych uruchomiły wzmożoną odmianną wyścigu zbrojeń składającego się na wypadkową już kosmiczną. Pominę już objęte nowymi programami projekty budowania wielkich bezludnych jednostek pancernych zwanych lądowymi krążownikami, a także działobitni strzelających wielkimi ładunkami mikrofalowymi czy laserów olbrzymiej mocy zawieszonych na orbicie naszej planety.

Muszę wyznać, że czytając o tej wyraźnej i radykalnej zmianie strategii zbrojeniowej USA, całkiem mimowolnie wspominam moją fantastyczną powieść „Fiaszko”, w której zwalczające się na planecie wrogie siły utworzyły wokół swego globu gigantyczną otoczkę orbitalnych i bezludnych urządzeń szachujących się wzajemnie, zaś cały ów układ nazwał „sferomachią”. Tę moją „sferomachię” zauważyli w zeszłym roku Rosjanie i właśnie pod takim tytułem umieścili przedruk w dzienniku „Izwestia”. W ten sposób to, co było w latach osiemdziesiątych wytworem mojej czystej spekulacji mierzącej w przyszłość nieziemskiego, obcego świata, uzyskuje na moich oczach realne zarysy. Doprawdy nie mogę powiedzieć, ażeby ten rodzaj urzeczywistniania się fikcji napałował mnie szczególną satysfakcją z mojej celności prognostycznej.

Pisząc wymienioną książkę, w żadnej mierze nie aspirowałem do rangi militarnego futurologa! Straszliwa okazuje się nie tylko

Co Pan na to,
Panie LEM?



FOT. BOGDAN PRZEJEL

perspektywa wciąż rosnącego w potęgę pancernego King Konga, ku jakiej zmierzają USA, lecz także podstawy w ten sposób zaplanowanych i realizowanych przedsięwzięć, mianowicie już utopijne miliardy dolarów. Podczas gdy Unia Europejska rozpaczliwymi wezwaniami do opamiętania stara się wyhamować zbrojny marsz amerykański w kosmos, wielcy decydenci USA zdają się całkowicie głusi na te wołania i, zamiast wdawać się w dyskusję, stwarzają obraz przyszłych wojennych starć metodą faktów dokonanych.

Szczególna rola w rozszerzającym się rozziwie pomiędzy doktryną militarną Europy i Ameryki przypadła Wielkiej Brytanii. Tygodnik niemiecki „Der Spiegel” zamieścił rozmowę z lordem Robertsonem, sekretarzem generalnym NATO, który wręcz z oburzeniem odrzucił niemieckie zarzuty, jakoby USA już podążyły zbyt daleko w niebiosa. Anglia próbuje więc złagodzić rozgorzenie państw Unii, których pozycja po 11 września ubiegłego roku doprawdy nie jest godna pozazdroszczenia. Wystarczy zauważyć, że Francję zamieszkuje sześć milionów muzułmanów pochodzących głównie z Algierii. Bałast podobny, mniejszości pochodzenia głównie tureckiego, dźwiga Niemiecka Republika Federalna. Nie jest to sytuacja, w której łatwo Zachodniej Europie podporządkować się i poprzeć wojowniczy program Stanów Zjednoczonych walki ze światowym terroryzmem. Europa truchleje, zaś Irak ma zostać kolejnym adwersarzem USA. Sapieniti sat.

STANISŁAW LEM
1 marca 2002



RYŚ. DMITRI SZEWKOW-KSMIELOW

JUŻ W KIOSKACH!

GORĄCZKA, KASZEL – kiedy do lekarza?

Mamotaja

120 stron

ISSN 1233-7366
CENNIK 4,50 zł (w tym 7% VAT) Nr 4 (IV) 2002

MIESIĘCZNIK NOWOCZESNYCH RODZICÓW

KWIECIEŃ

www.mamotaja.pl

Jem jak dorosły

Rozszerzamy dietę malca

Pamięć dziecka

• Jak ją rozwijać?

Seks po porodzie

• Zalecamy

hit 2001

Najlepsze dla Dziecka

Dodatek specjalny: 14 stron ekstra!
50 firm! 250 artykułów! 9 kategorii!

Wybraliśmy najlepsze produkty dla dzieci

Kategorie: Żywność • Wózki i foteliki • Akcesoria dla dzieci: różne • Konfekcja • Artykuły pielęgnacyjne • Zabawki • Akcesoria i kosmetyki dla mam • Wydawnictwa dla dzieci • Wydawnictwa dla mam • Nagroda specjalna – Idea przyjazna dziecku

Słodyczne

Zdrowe czy nie?

Dodatek specjalny

Wybraliśmy najlepsze produkty dla dzieci!

ROZMAITOŚCI



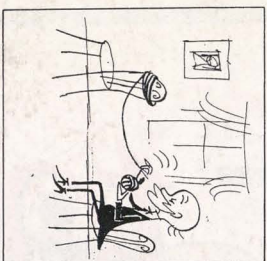
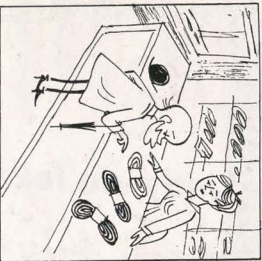
PROSIMY O ODPowiedź

Jak się upewnić,
że wyrazu w słowniku
nie wydrukowano z błędem?



FILITER

Skoczek
zmienny jest

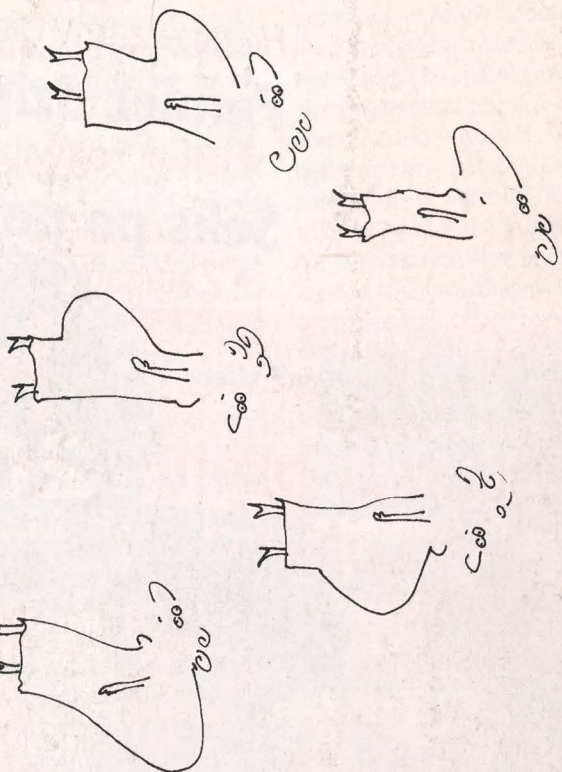


„Trybuna Ślaski” z 14 lutego
pisze o skoczku, który dotych-
czas znany był jako Simon Am-
mann, ale nie tylko. Nowa twarz
skoczni, Simona Annamanna,
chyba nie może podjąć ostatecznej decyzji co do swojej toż-
samości, gdyż jak pisze MIK:
„Simona Annamanna półwiel-
dził swoją dyspozycję”.
(Nadesłał Bolesław Hajas z Łodzi)

KINOTEATRZYK P. JURKA

„Mulholland Drive”

Występują:
CHÓR KRZTYKÓW
PUBLICZNOŚĆ
DZIECIĘ – postać symboliczna
PUBLICZNOŚĆ: (z mocą)
CHÓR KRZTYKÓW
(dystansuje się)
DZIECIĘ: (nałwinięte)
– Tatusiu, ale o czym to było?
KURTyna/THE END



Rys. Karolina Piwowarska

HA!

– Antologię pozna-
je się po tym, że
nigdy w nich nie
ma tego, czego
szukamy.

PRZEZ RĄCZKĘ DO SERCA

„Tygodnik
Ciechanowski”
(nr 5/2002) zamie-
ścił ogłoszenie to-
warzystkie:
„Wysoka szatyn-
ka pozna pana do 40,
bez nałogów, poważ-
nie myślicy o ży-
ciu, czyli zlotą rącz-
kę”.
Skoro o kolorach,
to złota myśl.
(Nadesłał Andrzej
Kozarzewski z Pułtuska)

POCZYTAJ MI, MAMO

W dodatku „GW” – „Ma-
gazyne z Książkami” z 21 lu-
tego Hanna Baltyń z wyd-
Egmont zachęca do kupie-
nia serii dla dzieci autor-
stwa Lemmy'ego Snickela:
„Bohaterów, trójkę sie-
rot nazwiskiem Baudelaire
(?), spotyka seria kosmar-
nych wypadków, począwszy
od śmierci rodziców w pło-
nieniach, a skończysz na
trafieniu pod kuratelę
prawą Hrabiego Ołafa,
który przez 13 tomów po-
wieści w coraz bardziej wy-
rafinowany sposób próbuje
dobrać się do małego ro-
dzeństwa. »Jeśli lubicie
szczegółowe zakończenia, na-
tychmiast odczytajcie tę książ-
kę«, zachęca autor”.
Straśnie fajna książeczka.
(Nadesłał Sergiej G. z Warszawy)

HUMOR ZESZŁY SZKOLNYCH

Zeus, jak wynika z nazwiska, był
gromobezwładny.
Gitara to instrument szarpano-
smyczkowy.
Królowa Bona sprowadziła
do Polski zielone produkty.
Jakość naszych towarów posiada
dużo do zaranowania.
Stopnie kwadratowe wraz z bo-
kami są równe.
Krosno to miasto tkaczy tkają-
cych na krosne.
Konie, stojąc dęba, przenoszono
na pomniki.
Ziemia nocą kręci się wokół
księżycy, a za dnia wokół słońca.

PRZEMYSLAW BORKOWSKI Mieć święty spokój

Raz pewien człowiek
(powiedzmy: Stanisław)
pytał, gdzie losu
jest spokojna przystań.
Kiedy się w życiu
wreszcie tak ułoży,
żeby już było
wciąż lepiej, nie gorzej.
Cóż odpowiedzieć
by mu można na to?
Raczej niewiele,
ale radę za to
mam dla niego,
która czyni cuda:
spokojna przystań
w życiu zwi się nuda.
Każdy nieboszczyk
co to, Stasiu, powie:
Żyć, choćby ciężko.
Ponudzisz się w grobie.

Wierzydale

„Trybuna” z 20 lu-
tego zamieszcza list
od czytelnika:
„Małżeństwo ho-
moseksualne mężczy-
zny z mężczyzną to
szansa na sukces
w naszym dziwnym
kraju. Tylko bowiem
w takim małżeństwie
można zwiazać ko-
niec z końcem”.
Pod warunkiem, że
się ma długi.
(Nadesłał Sebastian K.
z Konstantin)

HI!

– Jeśli żona zabiera
dzieci, a mąż pomoc
domową, to z punktu
widzenia męża jest to
rozwód idealny.